



ANDRZEJ KALININ  
Zbigniew Ciałowicz  
Józef Gierczak  
Jan Hatys  
Jan Zając



OPOWIEŚCI  
O ŚWICIE I ZMIERZCHU

rzecz o dawnym  
Jędrzejowie i nie tylko

# Wstęp

Wspomnienia podobno nie mają wad. I chyba to prawda, bo tak to z nami jest, że im więcej przybywa lat tym bardziej łagodniejemy i stajemy się sentymentalni. Nie patrzymy już na życie tak rygorystyczne jak kiedyś, a niegdysiejsze zdarzenia, te nawet tragiczne i często bolesne, wydają się teraz jakby mniej ważne, niewarte ani tamtych smutków, ani tamtych łez. Wynika to zapewne z jakiegoś irracjonalnego przeświadczenia, że dawniej, za naszej młodości, wszystko na świecie było lepsze i ładniejsze. Zimy bardziej białe, wiosny wcześniejsze, lata upalne, a noce tylko księżycowe. Upływ czasu bowiem to ma do siebie, że skraca perspektywę widzenia i potrafi zmieniać rzeczywistość na kształt naszych o niej wyobrażeń.

Ileż to razy dom zapamiętany w dzieciństwie jako ogromny, niby zamek, albo stary kościół z wieżami do chmur oglądane po latach okazują się nagle nie takie jak dawniej, jakby przez czas naszej nieobecności zmały lub zapadły w ziemię. Z ludźmi zresztą bywa też podobnie. Kiedyś wielcy, często heroiczni, a potem jacyś zwyczajni, codzienni z laseczką w rękę i co miesięczną emeryturą na pocztę. Być może wynika to wszystko z faktu, że myśmy w międzyczasie wydorośleli, poznali nowych, jeszcze wspanialszych ludzi i zobaczyli inne, jeszcze piękniejsze miejsca na świecie? A może jest to tylko dowód naszych błędnych wyobrażeń o trwaniu i przemijaniu? Kto to dziś wie?

Każde pokolenie ma przecież swoje, jak to mówią teraz młodzi, niezbywalne prawo do własnych przeżyć i związanych z tym wspomnień.

Nasz więc, autorów tej książki, zamiar powrotu w przeszłość nie stanowi tu żadnego wyjątku, zwłaszcza, że młodość przypadła nam w czasach szczególnie trudnych, bywało nawet tragicznych z niewyobrażalną dziś ludzką i materialną biedą.

A mimo to śniegi wtedy rzeczywiście były najbardziej białe, a wiosny najbardziej wiosenne.

I jest to chyba jedyny powód, dla którego wracamy znów do tamtych, bardzo zaprzyszłych już lat.

\* \* \*

Kiedy to było? Chyba gdzieś w roku 2005 a może w 2006 ówczesna przewodnicząca Rady Miasta Jędrzejowa pani doktor Teresa Szwach zaprosiła na święto miasta wszystkich, jej zdaniem najwybitniejszych Jędrzejowian, szczególnie tych, którzy dawno już z naszego miasta wyjechali w świat i tam gdzieś zabłysnęli sukcesami. Zjechały wtedy z różnych stron Kraju rzeczywiście same znakomitości. Wszyscy starsi już panowie, na tak zwanej „zasłużonej emeryturze”, ale wciąż pełni animuszu i życiowego optymizmu. Wymienię ich nazwiska w kolejności alfabetycznej, bo wszyscy byli jednakowo wielcy i zasłużeni dla Polski.

A więc:

dr inżynier Zbigniew Ciałowicz, kiedyś Dyrektor Naczelny Zjednoczenia Budownictwa Wiejskiego a także Kombinat Budownictwa Miejskiego w Kielcach. Mówią, że połowa współczesnych Kielc to jego dzieło. Dla Jędrzejowa też bardzo zasłużony. Jeszcze wcześniej, bo już w młodości wstąpił się jako niezrównany bramkarz naszego „Naprzodu”

dr inżynier, Józef Gierczak, wybitny polski architekt, profesor Politechniki Wrocławskiej. Wykształcił ponad stu architektów w tym kilku tytułami doktorskimi, także na Uniwersytecie Technicznym w Bagdadzie. Jego projekty architektoniczne są nie tylko w różnych miejscach świata, ale w Jędrzejowie również.

Jan Hatys, wybitny historyk i religioznawca z Akademii Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Józef Waldemar Wiejacz, były wiceminister spraw zagranicznych PRL Ambasador Polski we Włoszech i na Malcie. Poprzednio jako dyplomata na placówkach w Turcji, Iranie, Norwegii i USA. Ambasador RP w Finlandii..

Jan Zajac, prawnik. Były Prezes Sądu Wojewódzkiego w Kielcach, a już w Polsce Niepodległej Sędzia Trybunału Stanu RP.

dr Andrzej Zając, z Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie, że wymienię tylko tych, z którymi w Jędrzejowie się spotkałem.

Ale są jeszcze inni znani w świecie jędrzejowianie, którzy z różnych powodów nie mogli w tamtej uroczystości uczestniczyć, jak choćby prof. dr Henryk Majecki z Uniwersytetu w Białymstoku, prof. Mieczysław Lech, dziekan wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej, Wiesław Kołkiewicz, były dyrektor Kopalni Barytu w Boguszowie – Gorcach. Jerzy Wylądała, główny konstruktor traktorów w Ursusie, Henryk Jach, były komendant Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Ludwik Pak, wybitny aktor teatralny i filmowy. prof. Teresa Łatkiewicz - Podsiadło z Kielc, Malina Baranówna i Joanna Socha, malarki z Krakowa. Wszystkich ich łączą więzy tego samego pokolenia i lat chyba najtrudniejszych, bo okupacyjnych i tych zaraz powojennych, kiedy do życia brakowało właściwie wszystkiego. No, może jedynie poza młodością i marzeniami.

I to właśnie o nich i o tamtym, naszym Jędrzejowie będzie ta opowieść.

Tylko jak teraz o tym wszystkim napisać? Jak przywołać tamten, zaprzeszy już przecież czas, kiedy słowa inny miały sens, niż mają dziś, inne obowiązywały obyczaje i inne mieliśmy tęsknoty. Nie ma już przecież modnych wtedy ubiorów, ani powiedzonek na czasie. Dzwonki nie dzwonią już przy drzwiach, gdy wchodziło się do sklepu. I nie jeździ się dorożką z Janem Kłamką do „Gubałówki” na Kielecką, żeby spotkać kumpli. Gnani wtedy tęsknotami zjeżdżaliśmy z innych miast do naszego Jędrzejowa, najczęściej na święta, albo w przerwach międzysemestralnych. Mówiło się wtedy, że wracamy do domu.

Jakże więc opisać tamten czas, żeby w prawdę naszą można uwierzyć?

Może od początku?

# Gniazdo

Dla tych, którzy o Jędrzejowie wiedzą niewiele, napiszę, że jest to nieduże, ale za to bardzo stare miasteczko na trasie z Krakowa do Kielc z kwadratowym rynkiem i kilkoma wbiegającymi do niego uliczkami. To tak ogólnie, bo dla nas Jędrzejowian jest to miasteczko, oczywiście najładniejsze. Szczególnie zimą, gdy śnieg przykryje wszystkie jego mankamenty, to wtedy rzeczywiście wygląda pięknie, niczym taki zimowy widoczek ze starych, świątecznych pocztówek. Liczy sobie już, no chyba ponad 850 lat, gdyż jak piszą kroniki założyli go Cystersi w roku pańskim 1147, nad rzeczką o nazwie Brzeźnica, do dziś zresztą płynącą przez cały Jędrzejów.

Ich klasztor musiał być, jak na tamte lata, budowlą nowoczesną i bezpieczną, skoro nawet ekscelencja biskup krakowski Wincenty Kadłubek zapragnął w nim zamieszkać. W tym celu złożył swoją biskupią infułę, to znaczy zrezygnował ze wszelkich biskupich godności i uwaga! Na piechotę udał się do klasztoru Cystersów w Jędrzejowie. Był to w tamtych czasach wyczyn nie lada, wręcz heroiczny. Kraków dzieli bowiem od Jędrzejowa jakieś 80 kilometrów, które biskup musiał przebyć lasami i bezdrożami, a tam, jak wiadomo, pełno było zwierza i zbójców na drodze. Postanowił jednak, że tu w klasztornej celi, napisze dzieło swojego życia, wiekopomną „Chronica Polonorum”, czyli Kronikę Życia Polaków. Niejako w nagrodę za tę uczoną pracę król Jan III Sobieski wystarał mu się w Rzymie o beatyfikację na błogosławionego, co znajduje swoje potwierdzenie w napisie wyrytym nad oknem głównej kaplicy klasztornej, że w tej celi Wincenty Kadłubek pisał swoje historyczne kroniki.

- A to niekoniecznie musi być prawdą - sprzeciwia się temu nasz gimnazjalny kolega, historyk i religioznawca, profesor Jan Hatys. W tamtych czasach bowiem cystersi nie mieli osobnych cel. Panowała tu zasada równości. Zakonnicy spali razem, jedli przy wspólnym stole w refektarzu, razem się modlili i razem pracowali. Być może, że dla biskupa krakowskiego zrobili wyjątek. Pisał on przecież pracę naukową o Polsce i Polakach, a to wymagało spokoju, skupienia i wygody. A ów napis nad oknem celi, to jak byśmy dziś powiedzieli, taki medialny chwyt, reklama dla klasztoru, że oto żył tu i pracował jeden z wielkich Polaków, kronikarz ich dziejów, błogosławiony Wincenty Kadłubek.

Te kroniki, pracowicie oczywiście skopiowane można zobaczyć w Jędrzejowskim klasztorze. Jan Hatys zna je doskonale i twierdzi, że jest w tej pracy naukowej sporo ciekawych i bardzo zaskakujących opisów.

O Wandzie i Kraku na przykład i smoku wawelskim, który, co tu dużo mówić, właśnie za sprawą naszego Kadłubka zieję do dziś ogniem na podwawelskich błoniach.



Minęło potem trochę czasu i oto okazało się, że Jędrzejów nie tylko Wincentym Kadłubkiem i zabytkowym klasztorem stoi. Szczyci się również unikalnym na światową skalę muzeum wspaniałych, słonecznych zegarów, a także kolejką wąskotorową, zbudowaną przez Austriaków jeszcze w czasach I-szej wojny światowej, do której to „ciuchci” wszyscy jędrzejowianie odnoszą się niezmiennie z ogromnym sentymentem.

Relikty z tamtych czasów są do dziś znakiem firmowym naszego miasteczka i dobrze świadczą o jego historii i korzeniach. Jest to, oczywiście stwierdzenie typu takiego ogólnego, informacyjnego. Dla każdego bowiem jędrzejowianina to miasto powstaje i rodzi się od nowa razem z pierwszą świadomością życia, miejsca i czasu. I jest to dla nich tak samo subiektywnie prawdziwe, jak dla pierwszych cystersów, którzy miasto nasze nad Brzeźnicą zakładali.

\* \* \*

Jędrzejów chyba od zawsze, i dzisiaj zapewne również, dzielił się na ten przed kapliczką i ten za kapliczką.

Kapliczki stoją dwie w połowie ulicy 11-go listopada co oznacza, że przed kapliczką jest Jędrzejów a za kapliczką Podklasztorze. Był to podział tak naturalny i zwyczajowo uświęcony, że ci z Podklasztorza kiedy szli do apteki, na pocztę albo do kina to mówili, że idą do miasta. Tam przecież był Rynek ze sklepami tam chodziło się pospacerować i pogadać z ludźmi i gospoda Ludowa pod tytułem „Tęcza” i postój autobusów odjeżdżających do Kielc, czy Pińczowa.

Na rogu ulicy Kościelnej, gdzie dziś jest parking samochodowy, stał budynek Magistratu, w którym urzędował burmistrz Jędrzejowa, oraz pan Maj, znany w tamtych latach woźny magistracki. To właśnie on co czwartek, stojąc na środku Rynku najpierw walił w bęben, a gdy zebrała się odpowiednia ilość gawiedzi, ogłaszał wszem i wobec zarządzenia magistrackich władz.

- „Uwaga ludzie!” – wołał - „burmistrz zdycha, zakazuje się z niego mięsa jeść”.

Pan Edward Łuszczkiewicz, jędrzejowianin i czołowy aktor miejscowych teatrów amatorskich, opowiadał mi kiedyś, że ten Maj to lubił sobie popić i chyba wtedy coś mu się pokręciło, bo komunikat powinien brzmieć następująco. „Uwaga ludzie! Bydło zdycha. Burmistrz zakazuje z niego mięsa jeść”. A wyszło jak wyżej.

Zaraz po zakończeniu wojny burmistrzem został niejaki pan Stanisław Konczewski, wyznaczony przez nowe władze maszynista z kolejki wąskotorowej. Panisko to było co się zowie, wysoki, opasły, w butach, jak wtedy należało, z cholewami. Do pracy w Magistracie dojeżdżał z Podklasztorza piękną bryką w parę koni i przemawiać lubił z balkonu ratusza.

Miasto miało także Starostwo i posterunek Milicji Obywatelskiej oraz placówkę niedobrej sławy Urzędu Bezpieczeństwa, zwaną w skrócie UB.

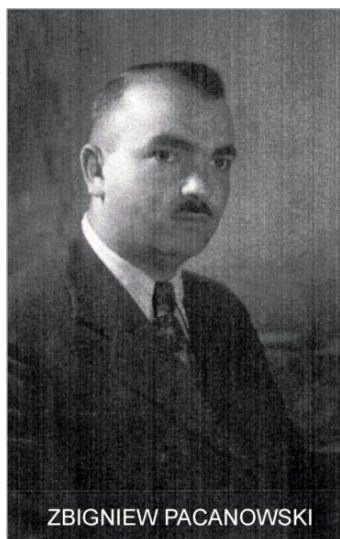
W mieście były dwie apteki: Państwa Smagłowskich w Rynku i państwa Krajewskich na Kościelnej, gdzie mieszano różne specyfiky ziołowe i chemiczne, żeby stworzyć medykament zgodny z lekarską receptą. Wymagało to czasu i cierpliwości, więc przepisane leki odbierało się za dzień lub dwa, zażywając w międzyczasie tabletki, na przetrzymanie.

Pan Bekman miał wytwórnę lemoniady, a pan Sitarski cukiernię z lodami. Latem, co sobotę, naszą ulicą Klasztorną jechał lodziarz, właśnie od pana Sitarskiego i z takiej specjalnej taczki sprzedawał lody. Nakładał je łyżką na wafłowy rożek i potem się smakowało i smakowało.

Boże mój wielki, jaki te lody miały niezapomniany smak. Nigdy już potem tak dobrych nie jadłem, choć świata zjechałem kawał, a lody lubiłem zawsze.

Komunikację miejską zapewniały dorożki z których najsłynniejsze były: Jana Klamki, bo miał elegancki powóz i Mikołaja Skóry zaprzęzoną w parę koni. Ależ to był szpan wtedy, jechać sobie przez Jędrzejów dorożką, na sumę do klasztoru na przykład, albo z kina do domu.

A propos kino. Było takie w Jędrzejowie oczywiście i to jeszcze od czasów przedwojennych. Nazywało się „Bajka” i funkcjonowało na parterze kamienicy państwa Zabłockich przy zbiegu ulic Strażackiej i Klasztornej. Mój starszy brat, Staszek opowiadał, że w czasie okupacji niemieckiej chłopcy z podziemia wymalowali na jego ścianie napis: „Tylko świnię siedzą w kinie a Polacy w Oświęcimie”. Trochę źle to brzmiało po polsku, ale nie rym tu chodziło, ale o patriotyzm.



ZBIGNIEW PACANOWSKI

Kinem w Jędrzejowie rządził od zawsze pan Zbigniew Pacanowski, najpierw jego właściciel, a potem już tylko kierownik, gdy mu to kino władza ludowa znacjonalizowała.

Jego rodzony syn, Rysiu Pacanowski, znany jędrzejowski bard, a także muzyk, poeta, dziennikarz i niestrudzony działacz społeczny, przez prawie cały dzień historii swojej rodziny mi relacjonował. A ponieważ gaduła to ogromny i facecjonista wspaniały, przeto z konieczności w skrócie tę jego opowieść przytoczę.

Pacanowscy to jeden z najstarszych i najbardziej znanych jędrzejowskich rodów. Stanowią kawał historii tego miasta. Senior rodu, Stanisław Pacanowski, był nawet w latach 1927- 29, burmistrzem Jędrzejowa, a jego trzech synowie, znanymi i bardzo oryginalnymi osobistościami w mieście. Najstarszy, Bobek Pacanowski, „Pikuś” jak go nazywano, był komendantem, a potem nawet majorem w miejscowej straży pożarnej. Przyznać trzeba, że umiał tę funkcję prezentować, oj umiał. Nie było uroczystości religijnej czy patriotycznej, żeby nie brylował w niej Pikuś Pacanowski. Zawsze w srebrnym kasku na głowie i w paradnym mundurze z dużą ilością medali i orderów na piersiach. Złośliwcy mówili, że

niektóre robił sobie sam z kartofla i malował potem złotą farbą, ale były to tylko plotki, jak to u zazdrosnych ludzi bywa. Bo Pikuś był postacią piękną i bardzo kolorową. Zwłaszcza na koniu gdy jechał na czele pierwszomajowego pochodu, tuż przed orkiestrą, a koń mu się ploszył. Albo gdy w następnych już latach na motocyklu buchał głośno spalinami z tłumika, bo jako jeden z pierwszych w całym Jędrzejowie posiadał motocykl, marki „Triumpf”. Miał dzięki temu wielkie wzięcie u dziewczyn, oj miał, a u chłopaków zazdrość budził nie mniejszą, co opisuję, bo wiem po sobie.

Jego młodszy brat, ten od kina, Zbigniew Pacanowski, to postać również wspaniała, Tak się złożyło, że w młodości poznał pewną dziewczynę, której ojciec miał aż dwa własne iluzjony, jak w tamtych latach nazywano kino. Co mógł więc innego ofiarować młodej parze w prezencie ślubnym? Kino, oczywiście. Tak, tak, są na to dokumenty. Nazywało się „Bajka” i dało początek całemu życiu kulturalnemu Jędrzejowa. Było jeszcze nieme, bo rzecz działa się w latach dwudziestych ubiegłego wieku, kiedy na ekranach migały tylko czarno białe obrazki. Nie znaczy to oczywiście, że emocje budziły mniejsze niż dziś. Uzupełnieniem obrazu na ekranie była muzyka, grana na żywo, najczęściej na pianinie albo na skrzypkach w zależności od dramaturgii filmu i nastroju na sali.

Dopiero po wojnie, wszyscy jędrzejowianie, zaczęli chodzić do kina

„Gdynia”. Kto z nas nie pamięta tamtego budynku i tamtej sali? Pachniało tu pyłochłonem, takim smarowidłem do podłóg, a w czasie seansów również zapachami, jakie przynosili ze sobą widzowie. Sala nie miała przecież wentylacji i ogrzewana była w zimie dwoma piecami na węgiel.

To tu większość z nas pierwszy raz oglądała filmy. Boże, ależ to były emocje. Antek Rokicki schował się kiedyś pod krzesło, gdy czołg z ekranu jakby wjeżdżał wprost na nas, na salę. Chodziło się wtedy do kina na każdy nowo wyświetlany film. Niektóre z nich pamiętam się do dziś. „Świat się śmieje” na przykład, albo „Serenadę w dolinie słońca” z nieśmiertelną do dziś „Czatanogą czu, czu”.

Pan Pacanowski zaś, to była wtedy cała instytucja kulturalna. Wspierał sercem i czynem wszystkie miejscowe inicjatywy artystyczne. To w jego kinie odbywały się przedstawienia jędrzejowskich teatrów amatorskich i występy zespołów muzyczno - śpiewaczych. Tu celebrowano uroczyste akademie ku czci z częściami artystycznymi i organizowano festiwale filmowe. Ale odbywały się tu również procesy polityczne, takie pokazowe, żeby ludzie wiedzieli co ich czeka, gdyby zeszedli na jakieś ideologiczne manowce. Było więc to nasze kino takim miejscem do wszystkiego.

I tu mała ciekawostka. W czasach wczesnej komuny utarł się w mieście dziwny trochę zwyczaj, że wcześniej nim się poszło do kina, to dzwoniło się pod prywatny telefon pana Pacanowskiego, numer 64 z pytaniem, czy na obraz ów (tak wtedy nazywano film), który właśnie idzie w kinie, warto pójść, czy też nie? Moja mama tak robiła, dlatego znam tę historię, że tak powiem z pierwszej ręki. Pan Zbyszek chętnie oczywiście odpowiadał, ale czynił to rozważnie, bo ubecja takich jak on skrzętnie podsłuchiwała, więc gdy szła akurat jakaś radziecka, socrealistyczna chała, typu „Czapajew” albo „Sekretarz Rejkoma”, to chwalił ten film a chwalił pod niebiosa, że warto, że trzeba zobaczyć koniecznie. Gdy zaś pytano o film amerykański, albo zachodnio europejski, to mówił, odwrotnie, że mizerota to straszna, jak to zwykle u imperialistów.

Ten jego przewrotny szyfr wszyscy znajomi odczytywali bezbłędnie, bo wiedzieli, że taki właśnie był czas i taka konieczność. Dlatego na filmach typu „Casablanca” albo „Serenada w dolinie słońca”, frekwencja, jak to się wtedy mówiło, sama waliła do kina, w większej nawet ilości, niż było miejsc na sali.

Tę świetną prosperitę kina przerwała dopiero era telewizorów. Pan Pacanowski był tym faktem najwyraźniej zbulwersowany.

- Co to za inteligencja w tym Jędrzejowie – mówił - co telewizory sobie kupuje? Bez kina, proszę państwa, żyć przecież nie można. A tu niektórzy złośliwcy umyślnie przychodzą i mówią: „Panie Pacanowski, muszę pana poinformować, że więcej moja noga w pana kinie nie postanie.

- A niby to dlaczego?

- Bo kupiłem sobie telewizor.

- Nie, to już jest obłąd proszę państwa, to jest obłąd.

Ale był jeszcze trzeci z braci Pacanowskich, trochę mniej sławny od tych dwóch, a mianowicie Stanisław. Działał głównie w harcerstwie. Był podharcemistrzem, ale i zapalonym żeglarzem, w czasie wojny partyzantem ze słynnych, akowskich „Jędrusiów”. Kolegował z moim starszym bratem Staszkiem i to dzięki niemu właśnie, bodaj w 1947 roku, pojechałem na swój pierwszy obóz harcerski, nad Wierną Rzeką w Bocheńcu koło Małogoszczy. Po latach prawdziwej, okupacyjnej biedy na tym obozie mogliśmy się wreszcie najeść do syta i do woli. Wyżywienie pochodziło bowiem z paczek „UNRRA”, (dziadkowie niech wytłumaczą wnukom, co to było) które w ramach humanitarnej pomocy, Amerykanie zaraz po wojnie przysyłali do Polski. Jedliśmy więc, ile kto mógł, na teraz i na zapas i pewnie dlatego pamiętam do dziś zapach kokosowego masła z tamtych paczek, „małpiego smalcu”, mielonki z zakonserwowanej słoniny, czy cierpkiego soku z nieznanym nam wówczas grejpfrutów.



Komendantem obozu był Janek Wiejacz, (starszy brat Waldka) po latach podpułkownik w Okręgowej Prokuraturze Wojskowej w Warszawie, oboźnym, czyli takim szefem sztabu, Józek Gierczak, (na fotografii powyżej) moim zastępowym zaś Zdzisiek Dudkiewicz, późniejszy dyrektor Zakładu Komunalnego w Jędrzejowie.

To właśnie na tamtym obozie, nad Wierną Rzeką, otrzymałem swój krzyż harcerski, który mam do dziś, mimo, że minęło już sześćdziesiąt lat. Wisi w moim domu w Kusiętach na takiej specjalnej macie, gdzie są również medale mojego Ojca, a między innymi jego Krzyże Walecznych: za wojnę w 20 roku z bolszewikami z napisem na rewersie „Polska swojemu obrońcy”.

Tamte nasze obozy harcerskie, w odróżnieniu od współczesnych, były, zupełnie samowystarczalne. Nie było tam kucharek, opiekunek, higienistek ani ochroniarzy. Druhowie sami przygotowywali obozowisko stawiali namioty, budowali w nich drewniane prycze do spania wyplatane gałęziami sosen, na które kładli potem sienniki ze słomą. Sami też przygotowywali posiłki, obierali ziemniaki, gotowali zbożową kawę, wałkowali ciasto na kluski. Wodę czerpało się prosto z Wiernej Rzeki, bo była smaczna i kryształowo czysta. I na tym wszystkim właśnie polegała cała frajda harcerskiego obozowania.

Któregoś dnia mojemu zastępowi przypadła służba w obozowej kuchni. Lepiliśmy na obiad pierogi z uzbieranych wcześniej jagód. Dla draki, jak to u młodych, i dla zabawy, co dziesiąty pieróg zamiast jagodami napychaliśmy ugniecioną trawą. Boże drogi, co to się wtedy narobiło. Tych pierogów nie dało się jeść, tak wszystkie przesiąknięte były zieloną goryczą naszego dowcipu. Śmiechu wtedy było sporo, uciechy także, co zresztą potwierdza pewną starą prawdę, do której dochodzi się dopiero po latach, że nawet najlepsze urlopy nigdy nie były ani tak dobre, ani beztroskie, jak najgorsze nawet wakacje. Gdzieś tam bowiem na ich styku, między młodością a dorosłością, znajduje się owa wyrwa w przeżywaniu beztroski, której potem nigdy już i nikomu nie udaje się zasypać.

Takie to właśnie nostalgiczne myśli naszły mnie któregoś lata, że namówiłem swoją córkę Kasię, dziennikarkę tygodnika katolickiego „Niedziela” na taką sentymentalną podróż do swoich niegdysiejszych, harcerskich obozów. Pojechalśmy do Bocheńca nad Wierną Rzekę.

Szliśmy sobie potem jej brzegami, zaglądali w każdy kąt, a ja porównywałem sobie dziś z wczoraj. Zmian w krajobrazie było rzeczywiście sporo. Za moich bowiem lat „Wierna” wila się pięknie między starymi wierzbami, okalała zielone łąki i tworzyła różne odnogi rzeczne pełne wtedy wodnego ptactwa i pasącego się obok bydła, nad którym unosiły się największe jakie w życiu widziałem, latające bąki, zwane Gzami. Ciekawiło mnie też czym różnią się obecne obozy harcerskie od tamtych moich ze wspomnień. Tu jednak stanął nam na drodze jakiś zawodowy ochroniarz i zapytał: gdzie? I to było pierwsze zaskoczenie. Nie harcerz stał na warcie jak to ongiś bywało, ale wynajęty osiłek w cętkowanym kombinezonie i ostrzyżony na łyso. Z daleka więc zobaczyliśmy tylko, jak harcerze ładowali się do autobusu i wyjeżdżali gdzieś na wycieczkę.

Po co więc z miasta przyjechali na łono natury? – pomyślałem.

Za to my z córką powędrowaliśmy sobie dalej brzegami Wiernej Rzeki I wtedy, jak na zawołanie, od strony skałek bielejących przy zakolu rzeki wymaszerował wprost na nas, jakiś harcerski zastęp. „Gdzie strumyk płynie z wolna” – śpiewali sobie nieśmiertelną, skautowską piosenkę.

- Więc harcerze wciąż tu przyjeżdżają – pomyślałem, nie wiedzieć czemu uradowany. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyłem, że na ich czele kroczy mój gimnazjalny kumpel, też jędrzejowianin Mirek Kaleta, pełniący, jak się później okazało, funkcję wychowawcy w domu poprawczym w Zawierciu. On też wiedziony starymi sentymentami przywiódł swoich podopiecznych w miejsce zapamiętane jeszcze z młodości, bo tak to już jest ze starymi ramolami, że ciągną do wspomnień.

Wieczorem tego samego dnia siedziałem przy ich ognisku, śpiewałem z nimi harcerskie piosenki i opowiadałem swojej dorosłej córce, jak to przed laty w tych oto lasach razem z Mirkiem zdawaliśmy egzamin na sprawność harcerską „leśnego człowieka”.

- Mirek wtedy, ha, ha, ha, całą noc przesiedział na gałęzi drzewa – mówiłem - zamiast w zbudowanym przez nas szałasie, bo bał się buszujących po lesie dzików. Taki to z niego był odważny harcerz.

Pośmialiśmy się wtedy zdrowo, ale rano przy śniadaniu Mirek jakby trochę nadąsany powiedział, że do wczorajszej mojej opowieści wnosi małe dementi.



- Bo nieprawdą jest, Kasiu – mówił do mojej córki - że to ja całą noc przesiedziałem na drzewie, bo bałem się dzików. Prawdą jest natomiast, że to właśnie twój tata uciekł przed dzikami na drzewo, gdzie przesiedział do rana. Moja córka zaczęła się wtedy śmiać.

- Wiec jak to było tato? – zapytała.

- No, cóż? chyba coś pokręciłem – odpowiedziałem. Tyle przecież minęło lat.

Harcerstwo, zaraz po wojnie, było w Polsce czymś naprawdę wspianiałym i w najwyższym stopniu patriotycznym. Z jaką dumą po latach okupacyjnej niewoli śpiewaliśmy nasz hymn „Wszystko co nasze Polsce oddamy” i jak bardzo to harcerstwo zaważyło na dalszym naszym życiu w sensie intelektualnym i wyborze właściwych postaw moralnych.

Najwięcej o tamtym naszym powojennym harcerstwie może opowiedzieć Waldek Wiejacz, ponieważ z wszystkich nas, jędrzejowskich chłopaków, zaszedł najwyżej w harcerskiej hierarchii.

Gdy więc przygotowywałem tę książkę, poprosiłem go o kilka wspomnień z tamtych jego skautingowych lat.

I oto one.

„Do harcerstwa wstąpiłem wcześniej, bo już jesienią 1945 roku. Rozwój tej młodzieżowej organizacji w Jędrzejowie był zasługą właściwie kilku osób które naszemu harcerstwu poświęciły cały swój zapał, siły i fantazję. Niektórych z nich pamiętam do dziś. Druha Kazimierza Jęczmyka na przykład, podharc mistrza sprzed wojny, albo Zygmunta Biernackiego, pierwszego w powojennych latach komendanta naszego hufca ZHP. Jego następcą został Zygmunt Pawłowski, który gdzieś w 1948 r. niespodziewanie zniknął nam z oczu. Okazało się później, że został aresztowany pod zarzutem przynależności do Narodowych Sił Zbrojnych i dopiero po 1956 r. zrehabilitowany.

Cała ówczesna działalność harcerska wzorowana była na tradycjach przedwojennego skautingu, ale z odnośnikami do okupacyjnej działalności. Atrybutem tego była wydana w masowym nakładzie książka Aleksandra Kamińskiego pt „Kamienie na szaniec”. W naszym Jędrzejowie, gdy tylko była pogoda, wiosną, latem czy jesienią, organizowane były ogniska harcerskie najczęściej w lesie łączynskim, gdzie poszczególne drużyny popisywały się śpiewaniem, skeczami i innymi występami artystycznymi. Cały Jędrzejów przychodził na te ogniska. Co tu mówić, było pięknie.

Na swój pierwszy harcerski obóz wyjechałem w roku 1946 do Jabłonki k. Szczytna na Mazurach. Do dziś z podziwem wspominam organizację, całego, tamtego przedsięwzięcia. Bo oto do dwóch wagonów towarowych, załadowanych zostało: uwaga! 120 chłopców z plecakami, namiotami, kuchniami polowymi, prowiantem i innym ekwipunkiem obozowym. Nikt jednak nie narzekał. Sama podróż (wyżywienie, toaleta, spanie) też była niemałym wydarzeniem.

Obozowisko umiejscowione zostało w przepastnym lesie, nad dużym i pięknym jeziorem. Najbliższe wsie zamieszkiwali głównie autochtoni, czyli ludzie, którzy twierdzili, że nie są Niemcami, ani Polakami, ale Mazurami. Życia obozowego nie będę opisywał, bo toczyło się normalnym, harcerskim trybem, powiem tylko, że była to dla mnie pierwsza, znakomita szkoła życia.

Drugi mój harcerski obóz ulokowano w Paczkowie na Opolszczyźnie. Byłem już wtedy podharc mistrzem i zastępcą komendanta hufca w Jędrzejowie. Z tego obozu, razem z Mańkiem Kuderą i Jurkiem Skrobiszewskim pojechaliśmy do Wrocławia, gdzie akurat odbywał się Kongres Zjednoczeniowy Ruchu Młodzieżowego. Wzięliśmy udział w wiecu na stadionie olimpijskim, wysłuchaliśmy okolicznościowych przemówień, które zupełnie, ale to zupełnie nie pasowały do naszych dotychczasowych harcerskich zasad. Nikt jednak wtedy nie mówił jeszcze oficjalnie o likwidacji starego harcerstwa. Dopiero gdzieś w grudniu 1948 roku, gdy zostałem zaproszony na kurs hufcowych w Zakopanem, zjawiała się tam wysłanniczka z Warszawy, niejaka Pelagia Lewińska, która poddała totalnej wręcz krytyce całą filozofię Baden-Powelowskiego harcerstwa, sprzeczną jak mówiła z nową, polską racją stanu. Jedynym przyjemnym momentem na tym kursie był fakt, że otrzymałem tam stopień harc mistrza RP, najwyższego stopnia w ZHP.

Potem wypadki potoczyły się już szybko. Gdzieś z początkiem 1949 roku, władze polityczne i administracyjne Jędrzejowa przejęły cały nasz harcerski majątek i przekazały go Związkowi Młodzieży Polskiej. Był to podobno rezultat kongresu zjednoczenia młodzieży polskiej, jaki odbył się we Wrocławiu. Próbowałem się temu jakoś przeciwstawić i jeździłem do innych miejscowości powiatu: Wodzisławia, Sędziszowa, łudząc się, że może tam sytuacja jest inna. Ale i tam również na

harcerskie zbiórki nikt już nie przychodził. Zadziałał strach. Zrozumiałem, że to niestety koniec starego harcerstwa w jego pięknym, patriotycznym wydaniu. Mimo to, moja harcerska przeszłość towarzyszyła mi jeszcze przez kawał życia. Nie raz stanowiło to dla mnie wielkie polityczne obciążenie, stokroć większe nawet niż fakt że byłem ministrantem.

Kiedy gdzieś w roku 1953, zgłosiłem chęć przystąpienia do PZPR, a było to w czasie studiów w Szkole Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie, podniesiono wobec mnie zarzut przynależności do wrogiej, burżuazyjnej organizacji harcerskiej i wyrażono wątpliwość czy aby już całkowicie uwolniłem się od jej ideologii.

Wielu harcerzy z tamtych lat patrzy na swoją harcerską młodość z dumą i satysfakcją. Była to bowiem znakomita szkoła życia, zarówno w sferze wychowawczej jak patriotycznej. Z pewnym więc żalem myślę, że tak głupio władza ludowa zgasła ów wspaniały żar i entuzjazm młodych ludzi, którzy rwali się do odbudowy Polski po kataklizmie wojennym. I nie tylko w sensie materialnym, ale duchowym również.

## **Curriculum vitae**

### **Józef Waldemar Wiejacz – dzieciństwo**

*Urodziłem się w Jędrzejowie ósmego marca 1933 roku, w takim niewielkim domku przy ulicy Polnej, obecnie Stefana Okrzei. Mój ojciec Wincenty Wiejacz był rodowitym jędrzejowianinem. Jego przodkowie od ponad dwóch pokoleń mieszkali w tym mieście. Pamiętam, że dom moich dziadków oddalony był od Rynku nie więcej niż 300 metrów i zawsze pełen był drobiu, kaczek, kur, gęsi, z krową żywicielką włącznie. Był to wtedy w Jędrzejowie zwyczaj dość powszechny i nawet przez kilka lat po wojnie w taki właśnie sposób ludzie ratowali się od biedy.*

*Dziadkowie do Jędrzejowa przybyli, jak to się wtedy mówiło, za chlebem z jednej z pobliskich wiosek. Dziadek Kudera szczęśliwie dostał robotę na kolei, a ponadto dorabiał jako stolarz, cieśla. Babcia natomiast dbała o dzieci oraz cały żywy i martwy inwentarz. I właśnie w tę rodzinę wżenił się mój ojciec. Był już wtedy po wojsku, gdzie jako artylerzysta uczestniczył w wojnie roku 1920-go. Lubił o tej wojnie opowiadać: o wyprawie na Kijów z Marszałkiem Piłsudskim, o którym mówił zawsze z dużą estymą. Już będąc w cywilu nauczył się zawodu ślusarza i tokarza, co dało mu pracę w warsztatach naprawczych kolejki wąskotorowej w Jędrzejowie. Zarabiał niewiele, bo około 150 złotych miesięcznie, więc żyło nam się bardziej niż skromnie. Może dlatego, że rodzice spłacali kredyt zaciągnięty na zbudowanie maleńkiego ale własnego domku. Raz w tygodniu w niedzielę na obiad było mięso, przeważnie z kurczaka. W każdy czwartek zaś matka udawała się na targ i przynosiła 30 lub 40 deko różnej wędliny, kroїła ją w cienusieńkie plasterki i robiła wyśmienite kanapki na kolację. Z czasów przedszkolnych, niewiele pamiętam. Jedno co jakoś mocno utkwilo mi w pamięci, to była data 19 marca. Imieniny Marszałka. Otrzymywaliśmy wtedy na śniadanie w przedszkolu kolejowym, bułkę z szynką i herbatę jako luksusowy posiłek w odróżnieniu od codziennej, niesmacznej kawy zbożowej i chleba z twarogiem.*

*Raz na dwa tygodnie ojciec odwiedzał bibliotekę Związku Zawodowego Kolejarzy przy naszej kolejce wąskotorowej, gdzie wypożyczał książki. Najczęściej byli to Sienkiewicz, Żeromski, Prus lub Krasiński. Ich dzieła czytali nam na przemian, raz tata, raz mama, najczęściej gdy zśliśmy już spać i oczywiście przy lampie naftowej. Tamte wieczory z książką były wtedy wielkimi lekcjami uczciwości i patriotyzmu.*

*W każdą niedzielę, całą rodziną, odświętnie ubraną, udawaliśmy się na sumę do kościoła. Nikt w ten dzień nie pracował. Sklepy były pozamykane, tylko w żydowskich, od tyłu można było coś kupić.*

*Moja mama, jeszcze za cara, ukończyła trzy, lub cztery klasy szkoły rosyjsko-polskiej, ale musiała to być dobra szkoła, albo też mama była wyjątkowo zdolną uczennicą, bowiem do końca życia posiadała niebywałą zdolność przyswajania sobie wiedzy. Potrafiła rozmawiać po rosyjsku, umiała szereg słów po węgiersku (podstuchanych od żołnierzy madziarskich) i nawet po hebrajsku nauczyła się mówić w czasie zabaw z żydowskimi dziećmi. W jej rodzinie tylko starszy brat, Stanisław Kudera skończył szkołę średnią i pracował jako urzędnik na kolei, co dawało wówczas dobre pieniądze i wysoki prestiż. Zastrzelili go Niemcy, gdy usiłował im zbiec w czasie konwoju.*

*Pewnie wiedzieli już, że był aktywnym członkiem akowskiego ruchu oporu. Mama bardzo to przeżyła. Wiedziała przecież, ile wyrzeczeń kosztowało dziadków wykształcenie syna.*

*Swoim dzieciom chciała tego oszczędzić.*

*- Będę harować – mówiła. Gdy zajdzie potrzeba, kamienie będę tłuc na drodze, ale moi synowie będą wykształceni. I dotrzymała słowa. Nie aż takimi wyrzeczeniami, ale jednak.*

*Najstarszy Janek, ukończył prawo, a potem pracował w Prokuraturze Wojskowej, gdzie dosłużył się stopnia podpułkownika. Ja po ukończeniu Szkoły Głównej Służby Zagranicznej stałem się dyplomatą. Najmłodszy zaś, Ireneusz, został lekarzem. Niestety zmarł przedwcześnie w powodu wylewu krwi do mózgu.*

*Oczywiście, sprzyjały nam w tym wszystkie, tak zwane warunki obiektywne, związane z okresem ówczesnych przemian społecznych. Nie umniejsza to jednak w niczym poświęcenia rodziców, a zwłaszcza naszej kochanej mamy.*

\* \* \*

W Polsce tymczasem zaczęto tworzyć tak zwane „Czerwone harcerstwo”. Jednym z jego głównych apologów był wówczas Jacek Kuroń, wielki potem solidarnościowy kontrrewolucjonista.

To nowe harcerstwo, jak się wkrótce okazało, zaczęło swoją działalność w sposób podstępny i niezbyt, powiedzmy uczciwy. Posługiwali się bowiem wszystkimi zwyczajami i atrybutami starego, polskiego skautingu. Nosili te same mundury i lilijki na czapkach rogatywkach Przysięgi składano na Boga i Ojczyznę, choć inną mieli ideologię i inny przyświecał im cel.

Chcieli w ten sposób rozbić stare harcerstwo niejako od wewnątrz i uczynić z niego organizację na wzór i podobieństwo radzieckich pionierów.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przesadzam, dlatego przytoczę tu fragment autentycznych wspomnień Janka Zająca, późniejszego działacza ZMP, organizacji młodzieżowej stworzonej przecież na moduł radzieckiego komsomołu.

Janek pisze tak: „Idee harcerstwa przywiózł do naszej gminy Jerzy Cichy, syn miejscowego organisty. Był on zaraz po wojnie uczniem Liceum Ogólnokształcącego w Pińczowie i tym harcerstwem po prostu nas oczarował. Uprosiłem mamę, żeby mi kupiła materiał na harcerski mundur, a mojego mistrza krawieckiego, żeby go uszył. Bo harcerstwo było wtedy fascynacją, jakiej wcześniej nikt z naszego, wojennego pokolenia nie doświadczał. Zbiórki i ogniska ze śpiewami, podchody i zdobywanie sprawności harcerskich, których znamiona nosiło się potem na rękawach mundurów, defilady z werblami i proporczykami. Jakież to wtedy miało urok.

Oczarowany tym wszystkim założyłem niezwłocznie swój własny zastęp z chłopaków rówieśników z mojego Jakubowa. Byli to koledzy: Sewek Dębiński (zginął tragicznie w 1949 roku), Edek Cofor, Edek Kwiecień, Zdzich Waligórski, Jerzy Stępień, Heniek Kamień, Staszek Faryna.

W tym składzie, uwiecznionym zresztą na zdjęciu (poniżej) przez przypadkowego fotografa latem 1946 roku, uczestniczyliśmy w zlocie w Pińczowie w 30 tą rocznicę sprowadzenia harcerstwa do Polski (1916-1946). Na zlocie były władze powiatowe i harcerskie z całego województwa



Pamiętam do dziś nazwisko harcmistrza z Pińczowa, druha Dąbrowskiego, z którym rok później byłem na obozie harcerskim we Frywałdzie koło Krakowa. Sami na ten obóz transportowaliśmy namioty, sami gotowaliśmy stawę, pełniliśmy wartę, a największą atrakcją było zdobywanie sprawności „człowieka leśnego”. Na 24 godziny trzeba było pójść w las i zadbać, żeby nikt nas nie widział.

Wszystko więc było pięknie, ale o jednym tylko nie miałem pojęcia, że było to harcerstwo OMTUR-owskie, czyli czerwone, jak je wtedy nazywano. Praktycznie nie różnił się w niczym od tego prawdziwego, skautingowskiego. Nosiliśmy takie same mundurki, takie same były kolory funkcyjnych sznurów i nawet krzyże harcerskie miały napis: Bóg, Honor i Ojczyzna.

O tym, że były to jednak inne harcerstwo dowiedziałem się dopiero na ostatniej naszej zbiórce, kiedy wiadomo już było, że wyjeżdżam do gimnazjum w Jędrzejowie.

Mój drużynowy Jurek Cichy wręczył mi wtedy na pamiątkę taki okrągły znaczek z napisem u góry: „Czerwone harcerstwo” a w środku skrzyżowane dwa młoty.

## **Curriculum vitae**

### **Jan Zajęc - dzieciństwo**

*Urodziłem się drugiego maja 1932 roku, w wiosce o nazwie Jakubów, leżącej na zachodnim obrzeżu gminy Imielno, dawniej Mierzwin w powiecie jędrzejowskim. Wieś jest do dziś taka klasyczną ulicówką licząca wtedy ledwie 175 numerów. Ojciec mój Wincenty Zajęc był rolnikiem, uprawiał 3,5 hektara ziemi, bo tylko tyle otrzymał od ojca. Matka Marianna pochodziła z Umianowic koło Pińczowa i w ślubnym wianie wniosła do małżeństwa 7000 złotych, co było wówczas równoważne około 4 hektarom ziemi. Z tej kwoty ojciec pożyczył swojemu przyrodniemu bratu 4500 złotych, których to pieniędzy nigdy już nie odzyskał. Sprawa o ich zwrot toczyła się nieprzerwanie od 1938 roku w Sądzie Powiatowym w Jędrzejowie bez korzystnych dla mojego ojca skutków. Fakt ten oraz tragiczny pożar całej wioski w 1935 roku był najważniejszą przyczyną naszej ciągłej biedy. Przez parę lat, jako pogorzelnicy, mieszkaliśmy kątem u rodziny mamy i dopiero w 39 roku ojcu udało się odbudować oborę, a przy niej tak zwaną letnią kuchnię. Wprowadziliśmy się do niej jesienią tego samego roku, szczęśliwi, mimo wszystko, że jesteśmy u siebie.*

*W tej odbudowie po pożarze bardzo nam pomógł dziadek, Kazimierz Zajęc. Pamiętam, że był wysoki, szczupły, chodził po podwórku i kręcił laską trzymaną w ręce. Dziadek to był w całej rodzinie wielki autorytet, Ojciec mówił, że w młodości służył w armii carskiej, zabrany na podstawie „losu” czyli takiego specyficznego naboru do ówczesnego, rosyjskiego wojska. Każda gmina miała wyznaczony limit ilości rekrutów i wszyscy zdolni do armii mężczyźni losowali z kapelusza, kto pójdzie w żołdacy a kto nie. Dziadek nie miał szczęścia, padło na niego. Służył potem na Zabajkalu i z tamtych lat mam do dziś po nim pamiątkę, „Krzyż Świętego Jerzego”, jakim został odznaczony za czyny chwalebne w wojnie z Japończykami. To dzięki temu właśnie odznaczeniu skrócono mu służbę w wojsku z 20- tu, do 10- ciu lat. W nagrodę otrzymał też dwie włóki ziemi i krowę, jak to wtedy mówiono, żywicielkę.*

*Do domu z carskiego Zabajkala szedł pieszo około sześciu miesięcy i zaraz potem poszukał sobie żony. Żenił się zresztą trzykrotnie. Z pierwszą miał trzy córki i tylko przez niedopatrzenie, baby akuszerki, żona zmarła mu przy porodzie czwartej. Z drugą żoną poszło mu jeszcze lepiej, bo miał z nią aż sześciu synów. Mój ojciec był najmłodszy. Niestety, przy kolejnym porodzie ona też zmarła. Dziadek więc ożenił się po raz trzeci i miał kolejnych, czterech synów. Jeden z nich, to właśnie ten, któremu ojciec pożyczył owe 4500 złotych.*

*Reasumując: Wszyscy chyba zawdzięczamy to dziadkowi, że w naszej rodzinie rodzą się przeważnie chłopcy. Ja mam syna Leszka, on zaś trzech synów. Mój brat Staszek miał czterech synów, zaś średni syn mojego brata, Darek jest ojcem aż sześciu synów i jednej uroczej Asi.*

*Rodziców do dziś wspominam ze wzruszeniem. Nigdy nie słyszałem kłótni, szanowali siebie i innych ludzi. Żyli w biedzie a jedyną ich rozrywką były książki. Pasjami lubili czytać Do dziś mam w pamięci obraz, gdy w zimowe wieczory obydwójce siedzieli przy piecu i każde z książką w ręku.*

*Naszą wieś zamieszkiwało w zasadzie parę rodzin, a właściwie takich klanów rodzinnych. Najczęstsze nazwiska to Faryna, Kowalczyk, Zajęc, Kwiecień, Stępień, Karasek. Żeby dojść o którego z nich chodzi nadawano im różne przydomki. Na przykład na jednego z Farynów mówili, „Cimój” bo nie wymawiał litery „rz” i zamiast trzymaj mówił „cimoj”. Innego nazywali „Jagną” bo ich matce było na imię Agata – „Jagna”.*

*Nas, Zająców nazywano Salamonkami, bo babcia nosiła imię „Salomea”*

\* \* \*

Ale wracając do opowieści o dawnym Jędrzejowie. Była tu pewna, powszechnie znana, ogólnie dostępna i na wskroś ludowa instytucja, która od pokoleń łączyła większość mieszkańców naszego grodu. Miejska łaźnia mianowicie, przy ulicy Wodzisławskiej. Pamiętacie?

Wprawdzie łaźnienny, pan Kaziu twierdził, że głównie „entelegencja” tam się kąpała, bo lud prosty wolał się myć w miednicy na podwórku, albo w pobliskiej rzeczce. Tak jednak czy siak, większość moich jędrzejowskich kolegów, co sobotę do tej łaźni chodziło i nie zawsze tylko dla kąpielowych rozkoszy. Było to bowiem miejsce także rozrywkowe. Śmiechów tam i radosnych chichotów było co niemiara, łaźnia bowiem miała status koedukacyjny i obsługiwała również kobiety. Pachniało tam lizolem, szarym mydłem, parą wodną i jeszcze czymś, co można by nazwać ciepłem rozgrzanych kobiet. Oczywiście każda płeć kąpała się w oddzielnych, kiluosobowych kabinach, ale że ścianki działowe były cienkie, więc słyszało się i plusk wody i chichoty dziewczyn, co rzecz jasna, jeszcze bardziej podniecało naszą, też rozgrzaną wyobraźnię. Niektórzy próbowali je podglądać przez taką wolną przestrzeń pod sufitem, ale mimo starań nic im z tego nie wychodziło.

Różnych zresztą imano się sposobów. Opowiadał mi Andrzej Latacz, jak to razem ze Zbyszkim Ciałowiczem wiercili szczyrykiem dziurę w ścianie, żeby choć zerknąć sobie na kąpiące się dziewczyny, ale nakrył ich łaźnienny i z wilczym biletem przepędził do domu.

\* \* \*

Wracając jednak do opowieści poważnych. Każdy z nas przyzna, że prawdziwą dumą i chlubą wszystkich mieszkańców Jędrzejowa, było i jest, oczywiście, Muzeum Słonecznych Zegarów. Jego kopulasta wieża od ponad stu lat góruje nad jędrzejowskim rynkiem. Tu od zawsze mieściło się obserwatorium astronomiczne w którym Przypkowscy obliczają promienie słoneczne padające na ich gnomowe czasomierze.



Kto był w tym muzeum ten wie, że zegary są tu wszędzie. Leżą za szkłem w gablotach, wiszą na ścianach, stoją na podłodze, zwisają z sufitu. Niektóre wyglądają jak jarmarczne cacka, inne niby drogocenne dzieła sztuki. Kształty też mają różne:

maleńkie niby guziki u surduta, albo wielkie jak szafy gdańskie. Są drewniane, szklane, żelazne, złote, na wodę i strzelające armatkami kiedy słońce stanie w zenicie nieba.

I jest w tym Muzeum również coś niebywale mistycznego i irracjonalnego zarazem, gdy porówna się te niegdysiejsze czasomierze z naszymi współczesnym, niecierpliwym i rozpędzonym życiem.

Ile ja mogłem mieć lat, kiedy pierwszy raz ze swoją klasą z powszechniaka znalazłem się w tym niezwykłym muzeum? Dziesięć może. Pamiętam, że jedna ze złożonych ram na ścianie zasłonięta była szkarłatnym materiałem. Aż kusiło, żeby ją odchylić i zobaczyć co się za nią kryje. A tam był napis. „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. Ha, ha. Kilka tego rodzaju mądrych sentencji życiowych poukrywanych było w kątach muzealnych sal. Umieszczał je podobno sam pan doktor Tadeusz Przypkowski, ku, jak mawiał żartem, edukacji narodu.

Nic więc dziwnego, że tym miejscem zachwycało się wielu wybitnych artystów, pisarzy, poetów i to z całego świata. Ślady ich bytności w Jędrzejowie znalazły się potem w licznych, artystycznych dziełach. Władysław Broniewski na przykład w swoim poemacie „Wisła” pisał jak to: „Biją słoneczne godzin w Jędrzejowie...”

Również Jean Anouilh, światowej sławy francuski dramaturg, w jednej ze swoich sztuk też o naszych słonecznych zegarach mówił.

Dziś owe sławne jędrzejowskie zegary już od ponad trzydziestu lat ustawia wielki znawca tej sztuki, jedyny bodaj w Europie, słoneczny zegarmistrz, dyrektor jędrzejowskiego Muzeum, pan Piotr Maciej Przypkowski. Z wykształcenia historyk sztuki, ale z zamiłowania i tradycji rodzinnych również astronom, a przy tym wszystkim człowiek przeuroczy, z niegdysiejszą już galanterią w życiu, byciu, słowie i obcowaniu z ludźmi.

Tak, tak. Jest to rodzony syn owego legendarnego już, nieżyjącego niestety, doktora Tadeusza Przypkowskiego, o którym mówiło się jako o „ostatnim, już szlachcicu Rzeczypospolitej Polskiej”.

Bo też osobowość była to niezwykła. Wyglądem przypominająca sienkiewiczowskiego Zagłobę, który przez pomyłkę tylko zawędrował w XX wiek. Wesoły, rubaszny, kochający życie, z olbrzymim poczuciem humoru.

Oprócz Słonecznych Zegarów zostawił jeszcze po sobie legendę i całą masę ucieśnych dykteryjek, opowiadanych chętnie przez wszystkich prawie jędrzejowian.

Podobno kiedyś w Warszawie, na bankiecie po jakimś zjeździe ludzi kultury i sztuki, ówczesny premier rządu PRL, Józef Cyrankiewicz zapytał doktora Przypkowskiego.

- Jak się tam panu żyje w tym Jędrzejowie, panie Tadeuszu?

A na to Przypkowski: To małe miasteczko, panie premierze, więc przeważnie z żoną.

Kolekcjonowanie słonecznych czasomierzy rozpoczął jeszcze przed pierwszą wojną światową dziadek dzisiejszego dyrektora, Feliks Przypkowski, lekarz z zawodu i astronom z zamiłowania. Pasją zbierania starych zegarów owładnięty był całkowicie, a jako lekarz? No, leczył trochę dziwnie.

Mój starszy brat, Staszek Kalinin mówi, że lubił na przykład badać chorych przez lufcik. W każdym oknie ówczesnych domów było takie dodatkowe okienko zwane lufcikiem. Otwierano je najczęściej w zimę, gdy w chałupie kończyło się powietrze, więc dr Przypkowski najpierw stawał na dworze przed takim właśnie lufcikiem i wypytywał o objawy choroby. Jeśli nie wynikał z tego tyfus, ani inna zaraza, to wchodził do mieszkania i badał dokładnie. Nie powinno to dzisiaj dziwić nikogo, gdyż różne wtedy epidemie i zarazy nękały ludzi. Stary doktor nie chciał po prostu ryzykować, żeby móc leczyć innych.

Jego gnomiczne zbiory wzbogacił i co najważniejsze, uchronił od obowiązkowej w tamtych latach nacjonalizacji, syn Tadeusz. Według bowiem realnego socjalizmu wszystko w Polsce musiało być państwowe albo co najmniej uspołecznione.

Przypkowskim udało się jednak. Wciąż utrzymywali swoje niezależne, prywatne muzeum, gdzie eksponowano nie tylko słoneczne zegary, ale na przykład nienaruszony przez lata pokój gościnny, gdzie w roku 1915, ponad 10 dni rezydował, komendant Pierwszej Kadrowej, brygadier Józef Piłsudski. Wróg publiczny numer jeden wszystkich polskich i nie tylko,

komunistów. W szarzyźnie PRL-owskiej codzienności był więc doktor Tadeusz Przytkowski postacią niezwykle barwną i kontrowersyjną zarazem, znaną już wtedy niemal w całej Polsce.

Gdzieś, chyba w pierwszych latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku (Boże jak to dziwnie brzmi i jak niedawno), byłem z Wojciechem Żukrowskim na wspólnym spotkaniu autorskim w Bibliotece Miejskiej w Lublińcu. Rozgadaliśmy się wtedy i nagle się okazało, że Żukrowski od lat zaprzyjaźniony był z rodziną państwa Przytkowskich. Dykteryjek więc różnych o Tadeuszu znał co niemiara. Opowiedział mi nawet jedna z nich. To nic, że znają ją pewnie wszyscy Jędrzejowianie. Ja opowiem ją jeszcze raz w myśl starej zasady. Znacze? To posłuchajcie.

„Otóż jakoś po roku 1956, czyli w okresie tzw. „odwilży”, kiedy próbowano w Polsce nadać socjalizmowi „ludzką twarz”, Stowarzyszenie Historyków Polskich postanowiło zorganizować w Krakowie na Wawelu taki swój, odnowicielski kongres. Zaproszono ludzi wcześniej usuniętych z tego gremium, a wśród nich doktora Tadeusza Przytkowskiego.

Pojechał. Szedł z dworca kolejowego na Wawel piechotą, więc po drodze dla kurażu łyknął trochę w tej i tamtej knajpce. Spóźnił się oczywiście na ceremonię otwarcia obrad, bo jak mówiono, lubił zawsze mieć swoje grande entre. Stojący przy wejściu jeden z organizatorów otworzył przed nim drzwi i głośno zaanonsował.

- Przybył doktor Przytkowski z Jędrzejowa.

Przytkowski zatrzymał się na progu sali i spojrzał na stół prezydialny. Zobaczył siedzące tam te same co poprzednio ideologiczne dzierzymordy więc zapytał swoim tubalnym i trochę ochrypłym głosem.

- Wejść czy nie wejść?

- Ależ tak, prosimy, panie doktorze, zawołano od prezydialnego stołu.

A na to Przytkowski.

- Nie was się pytam. Własnego sumienia się pytam. Odwrócił się i wyszedł.

Każdy z powojennych Jędrzejowian doktora Przytkowskiego znał prawie osobiście. Widywaliśmy go przecież jak zimą paradował po Rynku w tym swoim chłopskim, zniszczonym kozuchu z którego przez dziury wycierały baranie kudły. Albo gdy w wigilię Bożego Narodzenia jechał przez Jędrzejów w dorożce Jasia Klamki i razem na dwa głosy wyśpiewywali kolędy: „Bóg się rodzi, moc truchleje...”. Jedni mówili, że wypił za dużo, inni, że właśnie w ten sposób chciał pokazać komunistom, iż kara Boska ich nie ominie.

Dla Jędrzejowa był jednak zawsze postacią kontrowersyjną. Nieważne, że bywał na europejskich salonach i władał biegle kilkoma językami, a swoimi słonecznymi zegarami przysparzał miastu i Polsce chwały i sławy. Jędrzejowianie jakoś nie chcieli, albo nie mogli zaakceptować jego ekstrawaganckiego stylu bycia, tak w ubiorze jak zachowaniu. Bo niby doktor i uczyony, a przeklinał po furmańsku, brodę nosił i wąsy jak ruski pop. Lubiał też zaglądać do knajpy na rogu Rynku i Kieleckiej, o czym z przekąsem napisała kiedyś jedna z krakowskich gazet, że w Jędrzejowie wieczorami nudno bardzo, żadnych rozrywek, tylko doktor Przytkowski, zataczając się po ćwiartce wraca z gospody do domu. To, oczywiście wywołało burzę.

- Co to za wstyd dla Jędrzejowa – mówiono – taki despekt na całą Polskę. Rada Miasta również zajęła się sprawą w wyniku czego, w tej samej gazecie dr Tadeusz Przytkowski takie oto opublikował dementi:

*Nawiązując do reportażu w waszej gazecie, w którym to w jawny sposób naruszono dobre imię mojej rodziny, pragnę niniejszym zakomunikować, że jeszcze nigdy, żaden Przytkowski po ćwiartce się nie zataczał.*

To był właśnie cały wielki Przytkowski. Ostatni człowiek w PRL-u z takim poczuciem humoru.

Jednym z wielkich i znanych ludzi w ówczesnym Jędrzejowie był, oczywiście, profesor Edward Gugulski, pieściotliwie przez uczniów nazywany „Edziem”. O, to dopiero była osobowość niezwykła. No, może nie tak światowa jak doktor Przytkowski, ale równie oryginalna i nietuzinkowa. Profesorem był podobno jeszcze za cara w Seminarium Nauczycielskim mieszczącym się wówczas przy klasztorze ojców Cystersów. Uczył również przed wojną w gimnazjum, a także na tajnych kompletach w czasie okupacji niemieckiej. Wychował w ten sposób i wykształcił kilka pokoleń Jędrzejowian, a wśród nich wielu naprawdę wybitnych.

Wszystkich więc, jego uczniów, przywołuje teraz na świadków, że nauczyciel był to wielki i człowiek wspaniały. Taka przysłowiowa alfa i omega. Uczył nas przecież wszystkiego: matematyki i historii, fizyki i łaciny, logiki i geografii i zawsze w sposób dla uczniów niezapomniany. Władał w dodatku kilkoma językami, tak w mowie jak w piśmie, choć nigdy w życiu nie wyjechał do żadnych zagranic. Ileż to ucieśnych anegdot do dziś kursuje o nim po Jędrzejowie, że przypomnę tylko niektóre, zapamiętane przez autorów tej książki.

Otóż szedł sobie któregoś dnia profesor Gugulski ulicą Klasztorną i jak zwykle dla fantazji wywijał swoją nieodłączną laseczką. W pewnym momencie ustąpił drogi jakiejś pani z dzieckiem i wtedy tą laseczką przez nieuwagę kropnął w szybę wystawową. Szyba brzęk, spadła z łomotem na ziemię, ale profesor, bynajmniej nie stracił animuszu. Wsadził głowę w wybitą wystawę i zawołał:

- Przepraszam!!! Jestem profesor Edward Gugulski. Ile płace za szybę?

Zdarzenie to w pełni potwierdza opinię, że nasz pan profesor posiadał niezwykłą wprost zdolność kreowania zabawnych, a nawet anegdotycznych sytuacji. O fragment jednego z jego wykładów w naszym gimnazjum:

„...wtedy na pola pod Grunwaldem przybył król Władysław Jagiełło, popatrzył na swoje hufce, a potem zawołał na cały głos: Wizental, wyjdź mi natychmiast z klasy”.

Wiesiek Wizental, to był nasz kolega, chłopak wybitnie inteligentny, potem wieloletni redaktor katowickiej rozgłośni Polskiego Radia. Albo jak Janka Zająca, który się jąkał, uczył poprawnej wymowy, to cała klasa ryła ze śmiechu.

Syn profesora, Janek Gugulski chodził również do naszego gimnazjum i matematyki uczył go własny ojciec. Opowiadał mi kiedyś, Olek Ciekalski, że wobec syna, papa Gugulski też miał swoje niepowtarzalne metody wychowawcze. Na jednej z lekcji tak oto mówił do całej klasy.

- Słuchajcie! Nie bierzcie nigdy przykładu z takich uczniów jak: Ciekalski, czy Gugulski Jan, oni tylko łobuzować do szkoły przychodzą.

Stary, kochany profesor. Komu z nas on tak nie mówił?

Za naszych, gimnazjalnych czasów, jego najbardziej ulubionym uczniem był prymus szkoły, Waldek Wiejacz. Adwersarzem zaś, wiadomo, Józek Gierczak, też prymus, tyle, że przez „Edzia” nie za bardzo lubiany. Zdarzyło się, że zobaczył ich kiedyś obu na szkolnym korytarzu przyjaźnie ze sobą rozmawiających. Natychmiast więc zawołał Wiejacza do siebie.

- Słuchaj Waldek – powiedział. Jak się będziesz kolegował z tym huncwotem Gierczakiem, to nic dobrego z ciebie nie wyrośnie.

No i co? Jakże się pomylił zacny nasz profesor. Obaj jego uczniowie wybili się i to bardzo wysoko. Jeden został dyplomata, a drugi wybitnym architektem.

Od nas z Podklasztorza wywodził się też kolejny oryginał z usług której korzystali wszyscy prawie mieszkańcy naszego miasta. Nazywał się Stanisław Rabajczyk i był właścicielem jedyne w Jędrzejowie karawanu pogrzebowego. Wcześniej takiego tu nie było. Zrobił go podobno sam w swojej stodole, wyrzeźbił konieczne gzymy i aniołki, a potem całość wymalował elegancko w czarne i srebrne desenie. Ciągnęły ten karawan dwa kare konie, nakryte kirem w złotej uprzęży ze stojącymi między uszami pomponami.

Opisuje ten karawan tak dokładnie, ponieważ pan Rabajczyk mieszkał prawie po sąsiedzku. Dobrze go więc zapamiętałem w takim ciemnym, żałobnym żupanie i czarnym szapoklaku na głowie. Gdy siedział na tym swoim karawanie, to wyglądał niczym takie memento do zapamiętania, że po wszystkich nas kiedyś przyjedzie. W dodatku zgrywus z tego pana Stasia był przeogromny, rechotać lubił głośno i długo, a żarty miał też raczej z dziedziny swojego zawodu.

Miał taką listę, na przykład, z rezerwacją usług karawanowych. Wszyscy mieszkańcy Podklasztorza byli tam podobno zapisani. Gdy więc pan Stasiu chciał sobie coś wypić, to szedł do któregoś z kolegów z propozycją, jak to się dzisiaj mówi, nie do odrzucenia. Za głupie półliterka przesuwiał gościa w tej liście na dalsze miejsce, a jeśli butelka poparta była dobrą zakąską, to nawet skreślał całkowicie.



Niby śmiano się z tej jego listy, ale butelki z zakąską jakoś nikt nie odmawiał. Bo, co tu dużo mówić. Diabeł podobno nie śpi, a pogrzeby jak były, tak będą.

Jakby na potwierdzenie tej tezy w ubiegłym tygodniu znalazłem w swojej przydomowej skrzynce na listy reklamę, też omen nomen, biura pogrzebowego. Ulotka wyglądała okazale, wydrukowana na dobrym, kredowym papierze z kolorowymi fotografiami i tekstem, który od razu zwałił mnie z nóg. Było tam bowiem napisane tak: „Każdy pogrzeb jest wydarzeniem bardzo ważnym, ale i publicznym zarazem, na którym zmarły spełnia rolę honorowego gościa i znajduje się w samym centrum zainteresowania. Niewłaściwie przygotowane zwłoki, choćby leżały w najlepszej trumnie, prezentują się tak źle, jak niestosownie ubrany człowiek na eleganckim przyjęciu. Dlatego firma nasza oferuje Panu (Pani)..”.

- Niedobrze ze mną – pomyślałem czytając. Widocznie mają mnie na takiej samej liście jaką przed laty miał pan Rabajczyk w Jędrzejowie. No bo skoro znaleźli mnie nawet na zapadłej, podczęstochowskiej wiosce?

Nie będę tu nikogo czarować ale przeczytałem tę ulotkę z zainteresowaniem, gdyż chcąc nie chcąc w moim wieku myśli się już o ładnym pogrzebie i dobrze urządzonej grobie. Każdy wiek ma przecież swoje marzenia.

\* \* \*



**Państwo Wanda i Leon  
Ciałowiczowie**

Z wszystkich jędrzejowskich doktorów, wielką sławą i uznaniem cieszył się dr Leon Ciałowicz, znakomity lekarz i społecznik. Do Jędrzejowa przyjechał prosto z Krakowa w 1927 roku i przywiózł ze sobą renomę świetnego lekarza. Był bowiem wcześniej w Krakowie starszym asystentem w sławnej Klinice Akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, co w małym Jędrzejowie oznaczało prestiż dający szacunek, zaufanie i pełną poczekalnię pacjentów.

- Przyjechał tu do nas, bo się podobno w jakiejś pięknej dziewczynie zakochał – mówiono wtedy w mieście. Kto zresztą dla innych powodów chciałby zamienić królewski Kraków na byle jaką, prowincjonalną dziurę?

Prawdy w tym stwierdzeniu było, no, powiedzmy połowę. Bo doktor Ciałowicz zakochał się rzeczywiście, ale stało się to w parę miesięcy potem, na jednym z towarzyskich spotkań w Kielcach, gdzie poznał piękną i aż o osiemnaście lat młodszą od siebie, pannę Wandę Bieńkowską, świeżutką absolwentkę Liceum Ogólnokształcącego od sióstr Wizytek w Jaśle.

Ślub, przy takim nagłym zakochaniu, odbył się rzeczywiście szybko, wesele zaś, takie na całą okolicę w majątku rodziców panny młodej, we wsi Sobień, gminy Białaczów, powiatu opoczyńskiego.

Dopiero w czas jakiś, powiedzmy po skonsumowaniu miodowego miesiąca, młode państwo doktorostwo wróciło do Jędrzejowa. Urządzili się tu dość szybko, kupili dom przy głównej ulicy miasta, a następnie wydali na świat dwóch wspaniałych synów: Zbyszka i Janusza, (a tak po prawdzie, to młodszemu było January, jak twierdzi jego gimnazjalna koleżanka, Teresa Łatkiewicz.)

A potem wybuchła wojna w 1939 roku i Leon Ciałowicz, jako lekarz w randze kapitana, został wcielony do wojska. Kilka dni wcześniej zdążył jednak wysłać swoją rodzinę na wieś, do majątku dziadków, gdzie mieli przeczekać, jak powszechnie sądzono, najwyżej kilka tygodni wojny. Nikt wtedy nie wątpił przecież w szybkie zwycięstwo nad Niemcami. W gazetach pisano nawet, że nie oddamy guzika od munduru.

Doktor Ciałowicz tymczasem razem z cofającym się frontem znalazł się w Kowlu, niewielkim miasteczku na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej. Tu miały stanąć kolejne szanse przeciw Niemcom, ale 17 września podstępnie i od tyłu napadli na Polskę bolszewicy i doktor Ciałowicz znalazł się w ich niewoli. Uciekł im jednak. A ponieważ widział, co dzieje się wokół, jak masowo mordowani są ludzie i rabowane ich domy, zrzucił swój wojskowy mundur, kupił w jakiejś wiosce cywilne ubranie i ruszył do domu. Uratował się w ten sposób, bo uniknął losu tysięcy polskich oficerów zamordowanych w Katyniu, Miednoju czy Ostaszkowie.

Do domu wracał przeszło trzy miesiące, lasami przeważnie z dala od ukraińskich siedlisk i niemieckich posterunków.

Zbyszek, jego starszy syn, dobrze zapamiętał tamten dzień i tamtą radość, gdy któregoś dnia ojciec stanął w drzwiach domu dziadków. Był zarośnięty, wychudzony, zupełnie niepodobny do tamtego kapitana, co z takim patriotycznym animuszem ruszał na wojnę.

Odpoczął trochę. Czas był niepewny, wokół panoszyli się Niemcy, a mimo to państwo Ciałowiczowie wynajęli furmankę i ruszyli do Jędrzejowa.

- Ojciec od razu podjął pracę w ówczesnej Ubezpieczalni Społecznej - wspomina Zbyszek.

Wtedy w Jędrzejowie rodził się już ruch oporu przeciw okupantowi i doktor Ciałowicz wnet do niego przystąpił. Najpierw należał do Związku Walki Zbrojnej, a potem do Armii Krajowej. Jako lekarz spełniał tu bardzo trudną i ważną rolę. Z polecenia AK bowiem uczestniczył, albo przewodniczył różnym komisjom lekarskim kwalifikującym młodych Polaków do niewolniczej roboty w Niemczech, lub do takich pomocniczych służb przy oddziałach Wehrmachtu.

Wielu wtedy ludzi uratował orzekając, że ten lub tamten młody człowiek jest kiepskiego zdrowia i nie nadaje się ani do pomocy Wehrmachtowi, ani do pracy w Rzeszy.

Wzbudziło to oczywiście podejrzenia niemieckich władz. Zaczęli więc szperać, sprawdzać, kontrolować, aż uznali działalność doktora Ciałowicza za sabotaż przeciw III Rzeszy z wszelkimi tego konsekwencjami.

- Ktoś ostrzegł na szczęście ojca – wspomina Zbyszek - i dzięki temu zdołał im zbiec. Władze podziemia ukryły go najpierw na strychu domu apteki państwa Krajewskich przy ulicy Kościelnej, skąd niebawem miał zostać przeniesiony w inne, bardziej wygodne i bezpieczne miejsce.

Nie zdążyli jednak. W grudniu 1942 roku doktor Leon Ciałowicz zmarł nagle na wylew krwi do mózgu. Dzień wcześniej wrócił do domu, jakby przeczuwał, że stanie się coś złego. Tu jednak, mimo asysty wezwanych przez żonę kolegów lekarzy, zakończył życie.

## **Curriculum vitae**

### **Zbigniew Ciałowicz – dzieciństwo**

*Urodziłem się 20-go kwietnia 1937 roku w Krakowie w klinice przy ulicy Kopernika. To stwierdzenie jest dla mnie o tyle ważne, gdyż w czasie chrztu w kościele w Białaczkowie, obok Opoczna, gdzie mieszkali moi dziadkowie, zapisano mi w metryce, że urodziłem się w Jędrzejowie i tak już zostało. Szkoda, bo Kraków to Kraków, zawsze miałem wielki sentyment do tego miasta, zwłaszcza, że tu ukończyłem Politechnikę i obroniłem doktorat.*

*O Krakowie więc opowiadało się u nas w domu, jak o jakimś rodzinnym gnieździe, które nas nobilitowało i dodało blasku.*

*Ojciec mój pochodził ze Słomnik. W Krakowie ukończył Akademię Medyczną, a potem za namową przyjaciół przeniósł się do powiatowego już wtedy Jędrzejowa. Władał biegle kilkoma językami: angielskim, rosyjskim, a także niemieckim, co notabene, w czasie wojny stało się powodem licznych szykan ze strony hitlerowskiego gestapo.*

*Gdy ojciec umarł nagle w 1942 roku, zostaliśmy sami z mamą, dwudziestokilkuletnią kobietą, zupełnie nieprzygotowaną do ciężkich, okupacyjnych warunków życia. Musiała wykazać sporo samozaparć i hartu ducha, by nas, dwóch synów wychować na ludzi. Zmuszona tragiczną wręcz sytuacją sprzedawała z domu co bardziej wartościowsze rzeczy, bowiem skromne dochody czerpane z wynajmowania lokali w naszym rodzinnym domu, nie dawały gwarancji przeżycia. Podziwiałem ją i wtedy i później, bo tylko dzięki jej zaradności przetrwaliśmy najgorszy czas wojny i okupacji.*

\* \* \*

Na drzwiach do gabinetu drugiego, wielkiego, jędrzejowskiego lekarza, wisiała taka oto wizytówka: „Stanisław Sędek, doktor wszech nauk medycznych”. I rzeczywiście. Doktor Sędek leczył w Jędrzejowie i to skutecznie wszystkie choroby. Gdy trzeba był chirurgiem, albo ortopedą, albo pediatrą, lub neurologiem. Leczył też choroby wewnętrzne i zewnętrzne, kobiece i weneryczne. Odbierał nawet porody, gdy jakiemuś łebkowi trudniej przychodziło wydostać się na świat.

Kto z nas nie pamięta tamtego, eleganckiego, wysokiego, szpakowatego pana z dobrym, ciepłym spojrzeniem i lekarską wyrozumiałością?

Mówiono w Jędrzejowie, że do studiowania medycyny namówił go osobiście stary doktor, Feliks Przypkowski, gdy któregoś dnia przyjechał do Miąsowej, rodzinnej wioski dr Sędka leczyć jego ojca. Tak go sobie upodobał podobno, że pomógł mu nawet w ukończeniu studiów w Krakowie, co zresztą wszystkim jędrzejowianom wyszło potem na zdrowie.

Na koniec przytoczę pewną, piękną anegdotkę, świadczącą niezbicie, jak szanowanym człowiekiem był w naszym mieście.

Już nie pamiętam, kto mi ją opowiadał i mniejsza z tym. Otóż doktor Sędek, chodził też często do chorych z tak zwanymi, wizytami domowymi. Pewnego dnia, gdy wrócił do siebie stwierdził, że brakuje mu z tych wizyt pięćdziesiąt złotych. Suma wcale na tamte czasy nie mała.

- Zgubiłem pewnie – pomyślał – no cóż, trudno. Tymczasem po kilku dniach, przyszedł na jego adres przekaz pocztowy, gdzie w rubryce na korespondencję takie były słowa: „W czasie wizyty u nas w domu, buchnąłem panu z kieszeni 50 złotych. Płaszcz wisiał na wieszaku w sieni, to mnie skusiło. Ponieważ gryzie mnie sumienie odsyłam panu 20 złotych. Resztę odeślę, jeśli znowu zacznie mnie gryźć sumienie.

\* \* \*

Z Józkiem Gierczakiem wszyscy z naszego, jędrzejowskiego pokolenia, musieli się obowiązkowo zetknąć, jeśli nie w szkole, to w harcerstwie, albo na boisku sportowym, albo na zabawie w ogrodzie pana Nobisiewicza na Kieleckiej, gdzie śpiewał i grał na harmonii. Bo Józka Gierczaka było wszędzie pełno. Indywidualność bowiem była to ogromna.

Gdy zakochał się w piłce nożnej, to założył sobie Harcerski Klub Sportowy, jakby mu sam „Naprzód” już mu nie wystarczał. A grał świetnie.

Zbyszek Ciałowicz twierdził, że dlatego, bo miał trochę krzywawe nogi i trudno było przewidzieć gdzie akurat strzeli. Jest chyba coś w tym prawdy, bo Zbyszek, bronił wtedy bramki „Naprzodu”, więc się na tym znał.

W gimnazjum też brylował. Bywało, mówił mi kiedyś Jurek Skubiszewski, że całą klasę potrafił wprawić w osłupienie, gdy w czasie lekcji swobodnie rozmawiał po łacinie z panią profesor Żukową. Do legendy też przeszły jego ciągłe utarczki z Edziem Gugulskim. Oto jedna z nich, proszę bardzo.

Był w naszym gimnazjum taki zwyczaj, że na przerwach między lekcjami dyżurowali nauczyciele, żeby młodzież nie rozrabiała za bardzo. W dniu swojego dyżuru, profesor Gugulski chodził pośród uczniów po korytarzu i przez roztargnienie, jak to on, źle zapiął sobie marynarkę. Guzik wyżej niż dziurka. Śmiesznie w tym wyglądał, bo krawat mu się skrzywił i brzuch stał się jakiś nieforemny.

Oczywiście dostrzegł to natychmiast Józek Gierczak i swoją marynarkę zapiął w podobny sposób.

Idzie profesor Gugulski, a naprzeciw niego Gierczak. Wiec go woła.

- Uczeń Gierczak, chodź no tu do mnie.

- Słucham panie profesorze.

- Zobacz człowieku jak ty wyglądasz – zaczął profesor - jak głupek jaki. Kto się tak ubiera? Chyba tylko ktoś roztargniony, albo niespełna rozumu.

A Józek nic, patrzy tylko uparcie profesorowi w brzuch, w tę jego źle zapiętą marynarkę, aż zobaczył profesor w czym rzecz i powiedział

- No tak, tak, Gierczak. Sam teraz widzisz, jak to życiu można się pomylić.

**Curriculum vitae****Józef Gierczak – dzieciństwo**

Niezwykle trudno jest pisać o sobie. Trzeba mieć się przecież cały czas na baczności, żeby nie popaść w jakieś niepotrzebne chwalby, albo nie daj Boże, samouwielbienie, co wszędzie i zawsze źle jest odbierane. Będę więc starał się opowiedzieć rzetelnie o tym, co w tamtych czasach widziałem i co słyszałem, zgodnie z najlepszymi intencjami i zapamiętanymi zdarzeniami. Oczywiście i tu również nie gwarantuję pełnego obiektywizmu, bo to i pamięć już nie taka i czasy nazbyt odległe. Ale co tam! Nie będzie to przecież żadna praca naukowa, więc tu i tam mogę odstąpić nieco od drakońskich zasad dokumentacyjnych i pozwolić sobie na pewien luz, że tak powiem, narracyjny. Bo tak w ogóle to jestem zwolennikiem swobodnego biegu myśli i pryncypialnego posługiwania się prawdą.

No więc tak.

Mój dziadek, ze strony ojca, pochodził z Lublina. Pracował na kolej, gdzie był maszynistą pociągów pospiesznych. W tamtych czasach to była funkcja, że ho, ho, nie tylko w strukturach kolejowych, ale towarzyskich również. Dziadek znał przecież kawał świata, wcióż gdzieś jechał, no i ten jego mundur kolejarski, ze złożonymi emblematami robił w tamtych czasach wrażenie niemałe. Gdy szedł na służbę, (bo wtedy się na kolei służyło, a nie pracowało), to pomocnik maszynisty niósł za nim taką specjalną walizeczkę z jedzeniem, przygotowanym przez babcię na drogę.

Dziadek sprawdzał potem białą rękawiczką, czy parowóz jest czysty, znaczy należycie przez pomocników przygotowany i gdy wszystko było w porządku, pociągła za taką rączkę, rozlegał się gwizd lokomotywy i pociąg ruszał w drogę.

Tak było mniej więcej do końca I- szej Wojny Światowej, kiedy to cofający się przed Piłsudskim Moskale zabrali dziadka razem z parowozem aż do Piotrogradu gdzie ślad wszelki po nim zaginął.

Jego syn, a mój ojciec, dwojga imion Józef Konstanty Gierczak, oczywiście też pochodził z Lublina. Tam się urodził i tam, jeszcze za carskich czasów, ukończył szkołę z dwoma obcymi językami w piśmie i mowie. Całe późniejsze życie był zagorzałym piłsudczykiem, pod jego komendą walczył z bolszewikami, za co potem w nagrodę, otrzymał posesję wicestarosty w Końskich. Tam się też ożenił z moja mamą, mądrą, ładną i dzielną kobietą. Piszę to z całym szacunkiem i uznaniem, ponieważ ojciec umarł wcześniej bo już w 1935 roku, w kilka ledwie lat, po awansie na starostę w Jędrzejowie. Mama została więc sama z trzema synami, z których ja byłem najmłodszy i podobno najtrudniejszy do wychowania.

Z pierwszego okresu okupacji niemieckiej pamiętam niewiele. Chodziłem do szkoły na Kościelnej, bijąłem się z chłopakami, tymi z miasta, bo ja byłem z Podklasztorza, czyli tak zwany „pieklarz”, albo „odnoga od piekła” jak mawiała pani Malinowska, właścicielka domu w którym wynajmowaliśmy mieszkanie. Mama też nie bardzo sobie ze mną radziła. Jakoś nie potrafiła mnie skarcić, więc z jej upoważnienia do porządku przywoływali mnie dwaj moi starsi braciszkwowie. Na czas trwania tych egzekucji mama zamykała się w drugim pokoju i tam popłakiwała. Nie dawało to niestety większych rezultatów, poza wzajemnie popodbijanymi oczami. Za radą więc rodziny postanowiono wysłać mnie na „katorgę”, jak mówili moi bracia, do niezamężnej ciotki, Hanny Sobockiej w Końskich. I tak się stało.

Ciotka okazała się twarda, nieustępliwa, konsekwentna, co w moim przekonaniu stanowiło rzeczywistość „katorgę” Jednocześnie była to kobieta wspaniała, sprawiedliwa, troskliwa. Zmarła tuż przed końcem wojny, schorowania i zadrażniona permanentnymi ucieczkami przed aresztowaniem, bowiem przez cały czas okupacji niemieckiej, jako oficer AK, aktywnie uczestniczyła w ruchu oporu.

Końskie kojarzą mi się jeszcze z Partisanen Gebiet, z potwornym obozem śmierci na Baryczy, gdzie Niemcy trzymali Żydów i jeńców radzieckich, skąd często słychać było strzały i nieludzkie wycia maltretowanych ludzi.

Byłem wówczas ministrantem i widziałem jak nasz prefekt, ksiądz Józef Granat, klękał wtedy do modlitwy. To był w ogóle wspaniały człowiek i wzór kaptana. Uczył nas potajemnie historii i patriotyzmu, pożyczał do czytania książki. Okazywał dużo serca i cierpliwości.

Odwiedziłem Go po latach. On był już koneckim proboszczem, ja architektem i pracownikiem naukowym Politechniki Wrocławskiej. Popłakaliśmy się wtedy jak bobry.

Ksiądz Józef Granat za swoją działalność duszpasterską i patriotyczną doczekał się należytej mu laudacji na jednym z posiedzeń Sejmu Rzeczpospolitej Polskiej.

Z jego pomocą w roku.1943 zdałem egzamin wstępny do pierwszej klasy tajnego gimnazjum i byłem z tego faktu ogromnie dumny. Uczestniczyłem przecież w czymś, co w tamtych latach było oznaką polskiej, patriotycznej postawy. Dodawało też dorosłości i nobilitowało w oczach otoczenia.

*Z tamtego, koneckiego okresu pamiętam do dziś wielu wspaniałych kolegów, jak Marek Radomski, na przykład, późniejszy reprezentant Polski w siatkówce, albo Zdzisiek Żandarowski po latach, członek politbiura i sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ileż to on razy usługiwał ze mną do mszy świętej. A jak się modlić potrafił żarliwie. Nigdy potem nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Zdzisiek mógł być złym człowiekiem.*

*Kiedy ciotka z mamą doszły do wniosku, że jako gimnazjalista zmądrzałem nieco i ustatkowałem się trochę, pozwoliły mi z zesłania wrócić do Jędrzejowa.*

\* \* \*

A w Jędrzejowie były wtedy takie miejsca, gdzie w czasie okupacji przychodziło się po nadzieję i otuchę. Na przykład do zakładu fotograficznego pana Gajerskiego. Tutaj również przestrzegano się konspiracyjnych zasad. Jakby co, to po zdjęciu się przychodziło, albo wywołać kliszę. Głównie jednak politykowało się i politykowało. Każdy przynosił jakieś wiadomości, a to z radia schowanego przed Niemcami, a to od kolejarzy jeżdżących po całym Kraju, albo z okupacyjnych gazet. Wszystko wtedy było ważne. Co słyhać na frontach? Kiedy wejdą Ruscy i czy zdążą ?

- Bo podobno w Częstochowie, wiecie panowie? Wylądowali już ciemnoskórzy, amerykańscy spadochroniarze, a to przecież niecałe sto kilometrów od nas.

- Mogą tu być wcześniej nawet niż Moskale.

- Tylko ich czekać panowie, tylko czekać

Janek, średni z Gierczaków, pracował wtedy w tym zakładzie i był świadkiem takich właśnie rozmów. Mówił potem, że o dziwo! Nikt się nie śmiał.

My z Podkasztorza, czyli z „piekła” jak mówili o nas ci z miasta, mieliśmy miejsca i ludzi, jakich oni mogli nam tylko pozazdrościć. Stadion „Naprzodu” na przykład, pięknie usytuowany w takiej niecce po stawie. Albo źródło św. Barbary, gdzie po wodę chodził cały Jędrzejów. Na herbatę była najlepsza i na mycie włosów, żeby były puszyste i przeciw hemoroidom, gdy się codziennie moczyło w niej nogi. Mówiono o niej, że miała smak i zapach głębin ziemi. Źródło potem obudowano cementem i uczyniono niedostępnym dla ludzi, przez co wszyscy jędrzejowianie jakby trochę zubożeli.

A tak na marginesie. Kto z nas pamięta jeszcze jaki smak powinna mieć woda w jej pierwotnym stanie? No jaki? Na co dzień pijemy przecież taką zwykłą kranówkę, wcześniej chlorowaną albo ozonowaną i Bóg wie czym jeszcze ulepszaną, żeby się nadawała do spożycia. I przywykliśmy już chyba do zatrutego powietrza, do niezdrowej wody i żywności hodowanej na sztucznych podziemiach. Do tych wszystkich polepszaczy, utrwalaczy, uszczęśliwaczy ciała i duszy. Do przekleństw i plugastwa, które coraz częściej zastępują nam słowa. Może to wszystko jest wynikiem złych źródeł? Zdrowa woda była bowiem i pewnie będzie zawsze źródłem wszelkiej dobrej egzystencji. Ta ze źródła świętej Barbary, prawdę tę w pełni potwierdzała, bo...

Jakoś zaraz po wojnie długo wyczekiwany synek naszej ciotki Jagody z Sudołu za klasztorem zachorował na brzusek. Żadne domowe sposoby nie pomagały, ani lewatywy ani napary z ziół. Opatulono więc chłopaka ciepło i zawieziono furmanką do doktora Sędko. Ten zbadał małego i przepisał lekarstwa do zrobienia w aptece, ale one też nie pomogły. Mały wciąż płakał i nikł w czach. Przy następnej wizycie kazał więc doktor zmienić mu wodę.

Codziennie teraz, zamiast tej zwyczajnej z wiejskiej, cembrowanej studni, pił chłopak wodę przywożoną przez ojca ze źródła świętej Barbary. No i co?

Dzieciak ozdrowiał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tak, tak to prawda i kto uśmiecha się teraz z niedowierzaniem, temu opowiem jeszcze jedną historię.

Otóż, gdy po powstaniu warszawskim przywieziono do nas kilkadziesiąt wysiedlonych ze stolicy rodzin. Jędrzejowianie chętnie przyjmowali ich do siebie, bo nieszczęścia zawsze jednoczą porządną ludzi. U naszych sąsiadów mieszkali wtedy dwaj starsi, eleganccy panowie: Antoni i Józef. Antoni okazał się być autentycznym hrabią, Józef zaś jego od lat kamerdynerem.

Któregoś dnia spotkałem pana Józefa wracającego do domu z wodą ze źródła św. Barbary. Pomogłem mu wtedy nieść jego dzban, dlatego potem w ich domu usłyszałem taką oto rozmowę.

- Powiedz mi Józefie, jak się nazywa ten znakomity napój, który właśnie wlałeś mi do szklanki.
- Woda, panie hrabio.
- Woda? No, popatrz, Józefie, woda - zachwyił się hrabia. A ja dumny całe życie pijałem kwaśnego szampana.

\* \* \*

W tamtych latach, najważniejszą w całym Jędrzejowie, była kolejka wąskotorowa, czyli nasza poczciwa i niezapomniana „ciuchcia”, jak pieszczotliwie ją nazywano. To ona dawała pracę, opiekę lekarską i stabilizację życiową. Dbała także o sprawy duchowe, bo prowadziła Dom Kultury z teatrem amatorskim, oraz własną, taką w galowych mundurach, orkiestrę dętą, która uświetniała w naszym miasteczku wszystkie niemal uroczystości religijne i państwowe. Z równą bowiem łatwością grali na akademiach „Międzynarodówkę” ku czci Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, jak i pieśni Maryjne na majowych nabożeństwach w klasztorze. Działała sprawiedliwie i apolitycznie, zgodnie ze starą zasadą, „Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek”.

A pociągi tamtej naszej „ciuchci” pamiętacie? Jak gwizdały już od Zielonek, żeby zamknąć im szlabany przy Wodzisławskiej, bo jechały przecież hen w świat, do całego Ponidzia i dalej, aż do Kocmyrzowa pod Krakowem i Koprzywnicy nad Wisłą. Razem ponad 350 kilometrów wąskotorowych szlaków.

Naszą zaś dumą, ludzi z Podklasztorza, był fakt, że ta ważna dla miasta i regionu „ciuchcia” znajdowała się u nas, na końcu tak zwanej „czarnej drogi”. Jej teren był wtedy przeogromny, bo obejmował przeszło 7 hektarów powierzchni. Dla ludzi z okolicy, którzy utrzymywali się z kilku zaledwie mórg pola, był to prawdziwy gigant z płataniną rozjazdów, torowisk, magazynów i ramp przeladunkowych.

Tylko główny budynek stacyjny był niejako w sprzeczności z tym ogromnym placem manewrowym. Taka ledwie chałupka, albo mały barak z niewielką poczekalnią ogrzewaną w zimę okrągłym, żelaznym piecykiem, zwanym „kozą” z rurą blaszaną do sufitu. Obok była kasa biletowa z małym okienkiem i drewniane ławki wzdłuż ścian, na których zazwyczaj drzemały wiejskie przekupki otulone kraciastymi chustami. Zawsze było tam smrodno, ciasno i sennie.

Dwa, albo trzy razy na dzień wychodził do ludzi dyżurny ruchu w czerwonej czapce i ogłaszał wszem i wobec, że pociąg osobowo-towarowy odjedzie za dziesięć minut do Motkowic, Umianowic, Skalbmierza, Pińczowa.

Wszyscy podrywali się wtedy z miejsc i na wyprzedki, na wyścigi biegli do wagoników, żeby na czas podróży zająć dobre miejsce. I tak dzień w dzień, lata całe.

Ta ciuchcia nie była oczywiście żadnym ekspresem. Jechała sobie nieśpiesznie, powolutku, parowozik buchał białymi kłębami pary, zgrzytał kołami na zakrętach torowisk i głośno gwizdał przed każdym drogowym przejazdem. Pod górę zawsze brakowało mu trochę tchu, więc zwalniał biegu i wtedy można było wsiąść lub wsiąść do pociągu, co zresztą było powodem licznych dowcipów wypisywanych kredą na ścianach wagoników, jak choćby ten: „Uwaga! „W czasie biegu pociągu, zbieranie grzybów surowo wzbronione”.

Boże Wielki! Ileż to ja najeździłem się w czasach młodości tą naszą wąskotorówką. W każdą niemal sobotę, aż do Chrobrza, gdzie w podstawówce uczyła polskiego pewna piękna dziewczyna o imieniu Ludwika.

Całą więc tamtą trasę mam do dziś w serdecznej pamięci, szczególnie tę z pięknymi widokami, które zaczynały się zaraz za pińczowskimi serpentynami. Pociąg wjeżdżał wtedy w rozlewiska Nidy, musiał więc zwolnić biegu i jechał teraz pomalutku po małych, drewnianych mostach, tuż nad samą rzeką i wtedy jak na dłoni widać było nenufary, rosnące licznie na oczkach wodnych, pozostawionych przez rzekę. W zależności od pory dnia raz były one białe, a raz niebieskie, rozkwiecione pięknie na zielonych, pływających na wodzie liściach. Żeby dodać trochę jeszcze pejzażu do tego opisu, to powiem, że rano i wieczorami nad całym tym rozlewiskiem wisiały mgły. Wyglądały wtedy jak taki ulotny, srebrzysty szal otulający ziemię.

I daję słowo, nie ma w tym opisie nic z „licencji poetycy”, bo kto choć raz jechał kolejką tamtym traktem, ten słowa moje potwierdzi.

Czas sprawił, że jędrzejowska wąskotorówka stała się ludziom niepotrzebna. Wyparły ją z życia szybsze i wygodniejsze autobusy, oraz prywatne samochody. Stara „ciuchcia” służy już tylko sentymentalnym przejażdżkom i ludziom, którym doskwiera nostalgia za minionymi czasami, kiedy to na breku wagonu jechało się z wiatrem i młodością, tą właśnie którą nasze pokolenie, zostawiło niestety gdzieś tam na krętych trasach wąskich torów.

\* \* \*

O zbliżającej się wojnie, tamtego września 39–tego roku, mówiło się niemal w każdym polskim domu, tyle, że bez żadnej, przesadnej obawy. Wszyscy wierzyli przecież święcie w mocarstwowość Polski, w jej wspaniałe wojsko, więc i ta wojna nie powinna potrwać długo. Ot, miesiąc może, lub dwa i będzie po wszystkim. Ale był też w narodzie jakiś wewnętrzny strach, taki niepokój serca, że wojna, to przecież wojna, czas cierpień, śmierci, pożarów. Wszystko zatem, co najgorsze, może się przydarzyć.

Z końcem sierpnia rozpoczęła się całym kraju powszechna, pełna takich patriotycznych uniesień, mobilizacja.

Janek Hatys miał wtedy ledwie siedem lat, więc tamten czas tuż przed wybuchem wojny zapamiętał na swój dziecienny sposób w kilku takich, prawie malarskich obrazach.

Oto na przykościelnym placu w Ciernie, wiosce już wtedy gminnej, zbierają się rezerwiści z kartami powołania do wojska. Siadają na drabiniaste furmanki, takie same, jakimi w żniwa zwożono zboże z pola do stodół i odjeżdżają w kierunku Jędrzejowa. Ksiądz proboszcz z krzyżem w ręku błogosławi ich na wojnę i na niedolę. Kobiety płaczą, a oni odjeżdżają i słysząc ich śpiew: „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi”. Jeszcze jakaś spóźniona kobieta biegnie za nimi, coś woła ochrypłym głosem i nagle potyka się na drodze i pada na ziemię. Ktoś inny woła: wracajcie jak najprędzej, wracajcie.

A furmanek już prawie nie widać, tylko z oddali dobiega ciągle śpiew, trochę już podchmielonych męskich głosów: „zlituj się zlituj, niech się nie tułamy”.

Janek mówi, że był w tym wszystkim nastrój grozy i końca świata, bo przecież jutro nie mogło już znaczyć to samo co dziś. Ale było też w tamtym patriotycznym zaciągu do obrony Rzeczypospolitej coś wzniosłego i nowego zarazem.

Bo przecież byli to już zupełnie inni chłopci, niż ci z powstania styczniowego, którzy pod Grochowiskami dobijali rannych na pobojuwiskach i obdzierali z ubrań poległych.

Dla tych wrześniowych wiejskich chłopców słowo Ojczyzna miało już inne, bardzo wyraźne znaczenie, jak ukłucie w sercu, gdy się o niej myślało.

\* \* \*

W kilka dni potem nad Jędrzejowem krążyły już samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach i bywało, że zrzucały bomby. Ulicą Klasztorną dzień i noc przetaczały się fale uciekinierów, bo wojny od zawsze wywoływały strach, panikę i masowe wędrówki ludów. Wiele rodzin w Jędrzejowie podjęło również podobną decyzję. Uciekamy. Wszystko jedno jak, ale uciekamy.

To chyba pod ich zbiorową presją dyrekcja kolejki wąskotorowej zorganizowała specjalne pociągi ewakuacyjne, którymi mieliśmy uciekać na wschód, żeby jak najdalej od wojny i jak najdalej od Niemców.

Na całym terenie jędrzejowskiej wąskotorówki kłębił się już wtedy tłum uciekinierów z walizkami, tobołkami na plecach i dziećmi na rękach. Słysząc było krzyki i nawoływania. Podstawiano właśnie pociągi do ewakuacji, gdy nagle nisko nad naszymi głowami przeleciały dwa samoloty ze smugą szarych spalin na niebieskim niebie. Ktoś na ten widok krzyknął: gaz! Niemcy puścili, gaz. Wtedy w ogóle panowała psychoza wojny gazowej, więc wywołało to panikę. Ci z maskami przeciwgazowymi założyli je wnet na twarze. Wyglądali w nich strasznie z tymi czarnymi szklanymi oczodołami, niczym jakieś zjawy z obcej wojny. Inni ratowali się chusteczkami przy ustach lub chowaniem twarzy w poły płaszczy i marynarek.

Alarm na szczęście okazuje się fałszywy, ale ludzi jakoś to nie uspokoiło, bo gdzieś tam za stacją ciągle słychać było wybuchające bomby. Ich celem miał być podobno most kolejowy nad ulicą Klasztorną, ale na szczęście żadna z nich trafiła w cel. Uderzyła niestety, jak się później okazało, w pobliską kamienicę, gdzie zabiła 15 osób, ukrytych w piwnicy.

Tymczasem z naszej stacji ruszył właśnie w drogę pierwszy z ewakuacyjnych pociągów. W przepelnionych wagonikach przestraszeni ludzie, próbowali ulokować się do podróży. Ktoś zaczął modlić się na głos, ktoś intonuje nabożną pieśń: „Kto się w opiekę odda panu swemu”.

Pociąg pomału nabierał rozpędu. Stukotał po szynach, sapał na wzniesieniach i denerwował się gwizdaniem przed każdym zamkniętym semaforem.

Uciekaliśmy kolejką wąskotorową przed Niemcami a także przed własnym strachem i Bóg jeden wie przed czym jeszcze. Tam gdzie jechaliśmy miało być spokojnie i bezpiecznie.

Wojna jednak okazuje się szybsza i dogoniła nas już niebawem. Już wstawał świt a niebo na horyzoncie wciąż pełne było rdzawych łun i chmur z czarnym, skłębionym dymem. Kierownik pociągu pan Lancmański mówił, że to płonie Raków i nie można już jechać dalej, bo wszystkie tory i mosty przed nami, zostały zbombardowane.

Tamta stacyjka nazywa się Rakówki i leżała tuż obok lasu i takiej szerokiej alei biegnącej w kierunku wsi. Na jej końcu, poprzek gałęzie zielonych drzew, widać było ściany dworu albo szkoły. Zapamiętałem to miejsce jakoś szczególnie mocno, bo na tamtej właśnie stacyjce po raz ostatni wdziałem swojego ojca.

Przydział wojskowy otrzymał do kompanii transportowej, zadaniem której była ochrona całej trasy jędrzejowskiej kolejki. W jej skład wchodził taki mały, bo w wydaniu wąskotorowym, pociąg pancerny, którego fotografię zrobił sobie ojciec na pamiątkę tuż przed wyjazdem na front. Mam ją do dziś więc mogę powiedzieć, że ten ich wojenny pociąg wyglądał rzeczywiście groźnie. Zionął parą i dymem, że się zdawało iż sam w pojedynkę w drebiezgi rozwalić potrafi całą germańską nawałnicę. Tyle, że Niemcy zbombardowali mu tory, więc stał teraz cichy i bezradny na bocznicę małej, wiejskiej stacyjki.

I tutaj dorzucić muszę pewną ważną informację. Pisałem już wyżej, że od tamtej stacji w Rakówkach biegł w stronę wioski dość szeroki gościniec wysadzony starymi, rosochatymi wierzbami. I właśnie jego środkiem pędził wtedy na koniu jakiś polski żołnierz. Śpieszył się chyba do dworu, gdzie podobno stacjonował sztab Polskiego Wojska, bo gnał, co koń wyskoczy. I wtedy gdzieś z nieba zauważyć go musiał któryś z niemieckich samolotów, bo wnet obniżył lot i zaczął do niego strzelać. Wokół zaświstały kule. Ludzie przywarli do ziemi, albo między wagonikami kolejki szukali schronienia. Widziałem nawet liście strącane z drzew przez kule tego samolotu. I pewnie dlatego ta właśnie scena, gdy niemiecki lotnik polował na polskiego kawalerzystę w sposób jakiś szczególnie mocny utkwiała w mojej dziecinnej pamięci, bo po latach opisałem ją w książce pt „...i Bóg o nas zapomniał”

To co, że niemiecki samolot zastąpiłem w książce sowieckim „kukuróznikiem”? Jedni i drudzy napadli przecież wtedy na Polskę.

Wioska o nazwie Rakówki, stała się wówczas końcem naszej wojennej ucieczki. Niedaleko od stacyjki rozciągał się duży, sosnowy las, gdzie rozsiedli się wtedy wszyscy nasi uciekinierzy.

- I co nam robić dalej? - pytali samych siebie.

Wrzesień był ciepły tamtego roku, deliberowano więc do późna w nocy, w jaki sposób szybko i bezpiecznie wrócić do domu. Pani Gierczakowa proponowała wynajęcie furmanek.

- Jędrzejów przecież nie leży znowu tak daleko – mówiła - najwyżej 50 kilometrów i będziemy u siebie.

Ale znaleźć furmankę, podwodę, jak wtedy mówiono, wcale nie było łatwo. Wojna była bowiem wszędzie. Nocami ciągnęły po drogach kolumny niemieckich czołgów i coraz więcej samolotów z czarnymi krzyżami buszowało po niebie.

Z tej opresji wybawił nas dopiero kolejny pociąg ewakuacyjny z jędrzejowskimi kolejarzami. Ich ucieczka także zakończyła się w Rakówkach. Wspólnie postanowiono więc, że wracamy do Jędrzejowa. Tylko żołnierze z owego małego pociągu pancernego poszli za Wisłę walczyć dalej. Większość z nich znalazła się potem w sowieckiej niewoli i tylko niektórym udało się trafić później do armii generała Andersa. My zaś wracaliśmy do domu. Kierownik pociągu, pan Lancmański,



przywiesił do lokomotywy białą flagę zrobioną z patyka i kawałka lnianego prześcieradła. Maszynista dał sygnał odjazdu i ruszyliśmy.

Droga przebiegła nam spokojnie i dopiero po wyjściu ze stacji kolejowej w Jędrzejowie spotkaliśmy Niemców. Szli w kolumnach trójkowych ulicą Klasztorną i śpiewali, a właściwie wykrzykiwali jakieś słowa na gardłową melodię, niewiele chyba mającą wspólnego z piosenką. Ludzie patrzyli na nich wyraźnie zdziwieni. Bo jak można w czasie wojny śpiewać sobie tak bez troski, kiedy wokół tyle nieszczęść, tyle krwi i rozpacz?

Był to jednak dopiero początek okupacyjnej nocy, jaką od tamtego września zgotowali nam Niemcy.

### *Curriculum vitae*

#### **Józef Waldemar Wiejacz – okupacja**

*Przez całą okupację niemiecką, ojciec mój pracował, podobnie jak przed wojną w warsztatach naprawczych kolei wąskotorowej. Wychodził o 6 rano, wracał po 12 godzinach. Wkrótce do pracy w tych samych warsztatach poszedł mój 12-letni wtedy brat, Janek, który wyuczył się tam zawodu ślusarza. W 1940 r. urodził się mój młodszy brat Irek. Ja natomiast zacząłem chodzić do szkoły, która mieściła się przy ulicy Kościelnej, naprzeciwko kościoła Świętej Trójcy, blisko granicy getta. Wspominam o tym, gdyż kilkakrotnie widziałem zastrzelone żydowskie dzieci ułożone na skarpie płynącej obok rzeczki w taki sposób, abyśmy wszyscy mogli je zobaczyć. Ich przewinieniem było to, że samowolnie opuścili teren getta. Byliśmy tym wstrząśnięci.*

*Żyło się nam ciężko, jak wszystkim zresztą Polakom. Otrzymywaliśmy kartki na odchudzane mleko, czarny chleb, margarynę i marmoladę z buraków. Ratunkiem była wtedy hodowla królików na mięso. Taką hodowlę, właśnie mnie pod opiekę ojciec przydzielił. Miałem z tym sporo kłopotu. Przyznaję, że często musiałem kraść dla nich lucernę albo koniczynę i jeździłem w tym celu, aż do Skroniowa lub Laskowa. Do wykarmienia mieliśmy też kozę, a za to jej mleko było często środkiem wymiennym na inne towary. Mój ojciec, złota rączka, jak go nazywano, nauczył się na czas tamtych wojennych czasów, wyrabiać różne pożyteczne rzeczy. Prasy do tłoczenia oleju z rzepaku lub słonecznika, na przykład, a także młynki do mielenia zboża. Używanie tradycyjnych żaren było przez Niemców zakazane. W dodatku pracowały one bardzo głośno, więc do konspiracyjnego przemiatu wcale się nie nadawały. Co innego młynki mojego ojca. Te były cichutkie i nieobjęte niemieckim zakazem. Powodzenie więc miały na wsi nie do zaspokojenia.*

*To chyba, że zaczęło nam się trochę lepiej powodzić, było powodem, że ktoś nas „zdał” i Niemcy potem rewidowali nasz dom. Zaczynali od zerwania pierzyn ze śpiących, a potem metr po metrze przeszukiwali cały dom. W tamtych latach strach w naszym życiu był cechą dominującą. Niemal codziennie słyszało się o aresztowaniach i egzekucjach.*

*Jakoś wiosną 1943 roku w centrum miasta zastrzelony został przez partyzantów gestapowiec Kapp. W odwecie Niemcy rozstrzelali kilkanaście rodzin polskich. Ofiarą padła, między innymi, rodzina Marczewskich, zamieszkała po drugiej stronie naszej ulicy. Sto metrów dalej zabito braci Krzysztofików. Ciało wyciągnięto na chodnik i nie pozwolono ich stamtąd usunąć. Tego dnia dokonano także licznych aresztowań. Jednym z takich był ojciec mojej przyszłej żony, Haliny, żołnierz AK, wywieziony do Oświęcimia, a potem do Gros Rosen, skąd już nigdy nie powrócił.*

*W tym, mniej więcej czasie, zostałem ministrantem w naszym klasztorze. Przez kilka lat służyłem do mszy, chodziłem z księdzem po kolędzie i wykonywałem inne ministranckie czynności. Zapisalem się też do chóru kościelnego, który wtedy prowadził nasz organista, pan Senderski. Mama i rodzina widzieli we mnie przyszłego księdza, a i ja, muszę przyznać, też o tym myślałem. Bo jak mówiło przysłowie. „kto ma księdza w rodzinie, temu bieda nie dobodzie”.*

\* \* \*

Pierwszy września 1939 - go roku, zastał Janka Zajęca w szkole. Miał już siedem lat więc powinien rozpocząć naukę w pierwszej klasie swojej podstawówki w Dalechowach, wiosce przez miedzę sąsiadującą z jego rodzinnym Jakubowem. Niestety, inauguracja się nie odbyła. Pani Mazurkiewiczowa, kierowniczką, a zarazem jedynym nauczycielem tej szkoły, zebrała wszystkich uczniów na przyszkolnym placu i oznajmiła, że muszą iść do domu, bo właśnie wybuchła wojna i nie wiadomo, co teraz będzie. Otarła potem chusteczką oczy, bo jej mąż, jak mówiono, został już zmobilizowany i walczył teraz gdzieś nad Wartą albo Bzurą.

Niemcy do Jaśkowego Jakubowa wjechali jakoś w południe, chyba 6-go września, na takiej pancерnej tankietce. Ludzie patrzyli na nich przestraszeni z okien domów, bo Niemcy wyglądali rzeczywiście groźnie, byli uzbrojeni po uszy i szwargotali niezrozumiale.

Ale byli również i tacy w tej wiosce, jak jeden z sąsiadów Janka, który wlaź aż na kalenice swojego domu, i stamtąd błogosławił krzyżem wkraczających Niemców. Może krzywd jakichś doznał od władz polskich, a może postępował w zgodzie ze starym, chłopskim przysłowiem, że „moja chata z brzega”? Kto to dziś wie?

\* \* \*

Dopiero po paru tygodniach, od wkroczenia Niemców do Jędrzejowa, kilku naszych sąsiadów z Podklasztorza wróciło z wojny do domu. Mówili o nierównej walce z Niemcami, o nożu w plecy zadany Polsce przez bolszewików. Cieszyli się jednak, że im się udało, że wrócili. Pozostali jędrzejowscy żołnierze mniej mieli szczęścia. Niektórzy przez Rumunię, lub Węgry uciekli do Francji, a potem do Anglii. Inni przysyłali listy z niemieckich obozów jenieckich, że żyją, tyle że w niewoli. Ale byli i tacy, o których słuch wszelki zagał. Szukano ich przez Czerwony Krzyż, wypytywano wracających z frontu żołnierzy i nic. Jak kamień w wodę. Dopiero w jakiś czas potem z okupacyjnych gazet dowiedziano się o Katyniu, o rozstrzelanych tam Polakach. Niemcy odnaleźli ich groby i podali nazwiska pomordowanych. Wśród wymienionych w gazecie nazwisk byli też jędrzejowianie. Sąsiad z naprzeciwka, porucznik rezerwy Antoni Władysław Zajtz, ojciec naszych kolegów, Stacha i Andrzeja, a także inspektor policji z Komedy Miejskiej w Jędrzejowie, Jan Jackowski oraz ppor Zygmunt Gajda z kancelarii prawnej w Jędrzejowie. Wiem, że dzisiaj zabrzmiałoby to dziwne, ale nam ta tragiczna wiadomość dawała nadzieję. Nie było na tej liście naszego ojca.

Ten sowiecki mord w Katyniu przypominał znowu wszystkim Polakom o dawnych złych koneksjach z Rosją. O zaborach, bezwzględnie tłumionych powstaniach narodowych i licznych potem zsyłkach na Sybir.

Nasza babcia kwitowała to jednym zdaniem;

- Bo jak świat światem, nigdy Moskal nie był Polakowi bratem.

Czas okupacji w ogóle był dla nas jednym, wielkim stresem. Wciąż trwała wojna, zabijani byli ludzie i nie tylko na frontach, ale także w licznych, cywilnych egzekucjach. Strach był wtedy wszechobecny, a do tego bieda i często głód i zimno każdej niemal zimy. W wielu rodzinach czekali wciąż na ojców i synów, którzy gdzieś tam zawieruszyli się na wojnie. Jednych wzięli do niewoli Niemcy, inni, jak mój ojciec, a także pan Jarosiński i pan Chwastek siedzieli w radzieckim łagrze, skąd dopiero z armią generała Andersa wydostali się z sowieckiego rajdu.

Nasza mama nie za bardzo radziła sobie z nową, wojenną rzeczywistością. Dotąd zawsze była „przy mężu” trochę rozkapryszona dawnym dobrobytem, nie nawykła do ciężkiej pracy. Trwało więc czas jakiś nim dała sobie radę z realiami okupacyjnego życia. Bywało bardzo biednie to fakt, głodno nawet, a mimo to wieczorami czytało się książki na głos, śpiewało polskie piosenki i celebrowało wszystkie katolickie i patriotyczne święta. Tak było zresztą w wielu znajomych domach. Radioodbiorniki zabrali nam Niemcy, w kinie siedziały tylko świnię, jak pisano na murach, więc zostawało tylko czytanie i wspomnianie dawnych czasów, które zawsze okazywały się być lepsze niż obecna, wojenna rzeczywistość. Każdy dzień zdawał się być trudniejszy od poprzedniego. Różne wtedy wynajdywaliśmy sposoby na życie. Chodziło się na przykład zbierać z pola pozostawione tam po żniwach kłosa zboża. Po wyłuskaniu z nich ziarna męło się je potem w takim młynku od kawy kręcąc korbką. Były z tego świetne, razowe kluski. Z każdym zaś początkiem lata co odważniejsi chłopcy z Podklasztorza chodzili na kawki. Gnieździły się one w czeluściach i zakamarkach klasztornej dzwonnicy i tam właśnie trzeba było po nie wejść. Szło się ostrożnie po gzymsie stopa przy stopie, potem z gniazda wyciągało się ręką młodą, nieupierzoną jeszcze kawkę, ukrecało łeb i chowało za pazuchę.

Gdy pierwszy raz przyniosłem dwie takie kawki do domu i powiedziałem skąd je mam, to mama, pewnie ze strachu, najpierw mnie sprąła takim skórzany pasem do ostrzenia brzytwy, jaki został po ojcu, a potem, gdy się już uspokoiła, obdarła jednak te kawki ze skóry i usmażyła na margarynie. Mieliśmy na kolację pyszne danie z drobiu.

Gdy po iluś tam latach razem z Antkiem Rokickim patrzyliśmy w te miejsca na klasztornej dzwonnicy, gdzie wchodziliśmy po te kawki, to aż ciarki szły po plecach, jak bardzo brakowało nam wtedy wyobraźni, i rozsądku chyba również.

Ale trzeba też powiedzieć, że ta okupacyjna bieda, bardziej niż w innych, normalnych czasach, zbliżała ludzi do siebie. Biedni dzielili się swoją biedą z jeszcze biedniejszymi, silniejsi pomagali słabszym, a wszystko po to, żeby przetrwać zły czas. Bo jak mówiono: „czym słońce wyżej, tym Sikorski bliżej”. Wielu było wtedy naprawdę wspaniałych ludzi. Ja pamiętam na przykład panią Świtalską, właścicielkę naszego domu, która przez całą okupację nie wzięła od nas grosza za czynsz, choć w jej rodzinie wcale się nie przelewało. Albo pana Wincentego Łatkiewicza, który okazał się prawdziwym opiekunem naszej rodziny. Przez całą wojnę naprawiał nam wszystko. Światło, gdy się zepsuło, dymiącą rurę od piecyka, ciekący garnek. Przerzucał nam też węgiel za płot kolejki wąskotorowej, gdy dokuczał mróz. I nieważny jest tu fakt, że nasz dom, z domem państwa Łatkiewiczów, był od czasów przedwojennych skoliigacony niejako, poprzez tak zwane „kumoterstwo”. Moja mama trzymała bowiem do chrztu ich drugą córkę, Teresę, która wyrosła potem na piękną i mądrą dziewczynę. W młodości podkochiwałem się w niej trochę, ale ona jakoś mnie nie dostrzegała i mroziła ciągle tym swoim „braciszku chrzestny” i „braciszku chrzestny”, co zresztą robi do dziś.

Buty w tamte okupacyjne zimy naprawiał nam i to za darmo, pan Wincenty Wiejacz Znajomy mojego ojca z czasów jeszcze przedwojennych, stąd wiem, że z zawodu był tokarzem i tylko z okupacyjnej potrzeby nauczył się szewstwa. Pamiętam jak mówił mi uśmiechając się pod wąsem, że „buty mniej się niszczą gdy chodzi się długimi krokami”.

Kłopot z butami mieli wtedy prawie wszyscy. Przeważnie biegano się na bosaka i tylko od święta i do kościoła zakładało się trzewiki. Bywało przecież, że jedna ich para przypadała na kilka osób w domu. Kto miał buty i nosił je, ot tak zwyczajnie na co dzień, to był panisko, że hej. Lepszy od razu od innych. Szanowało się więc obuwie, oj szanowano. Czyściło się je i pastowało, chuchało i glancowało.

Janek Hatys opowiedział mi kiedyś historyjkę, która mówi właściwie wszystko o atencji, z jaką odnoszono się wtedy do zwyczajnego dzisiaj obuwia.

Otóż jego kuzyn, Walek z podjędrzejowskich Piasków, zrobił dziecko pewnej dziewczynie ze swojej wioski i musiał się żenić. Przygotowywał się do tego bardzo starannie, dał krawcowi w Jędrzejowie stare ubranie do przeniecania na drugą stronę, żeby było jak nowe, a potem w któryś czwartek odwiedził targowisko w Jędrzejowie na Łysakowskiej, aby kupić sobie ślubne lakierki.

Szukał, chodził, aż znalazł. Były trochę przyciasne, ale że innych na targu nie było, to je kupił. Sprzedawca poradził mu tylko, żeby zamoczył je w wodzie i gdy namokną w nich trochę pochodzi, to się rozbiją i będą jak ulał.

- I Walek tak zrobił – opowiada Janek Hatys. Wymoczył buty w rzeczce koło kościoła Świętej Trójcy i jak już dobrze namokły ruszyli obaj w stronę domu. Droga była piaszczysta, wiejska, więc na wałkowych lakierkach zebrało się sporo kurzu. Musiało go to przestraszyć, że mu się lakierki przed ślubem zniszczą, to ściągnął je z nóg, związał sznurówki, zarzucił na ramię i ruszył dalej już na bosaka. I wtedy jak nie kropnie w jakiś wystający z ziemi kamień i to z taką siłą, że ten duży paluch u nogi to mu się rozwalił aż na trzy części. Usiadł wtedy Walek w rowie i zaczął dmuchać na ten paluch, żeby choć trochę uśmierzyć ból i prawie z płaczem w głosie mówił.

- Ale, kurde miał przecucie. Widziołeś, Jasiu jakżeżem miał przecucie?

- Niby jakie?

- No, że się rozwał. Nowego lakierka bym se rozpiędził.

\* \* \*

Wszyscy partyzanci działający w Jędrzejowie i jego bliższych lub dalszych okolicach, nazywani byli „Jędrusiami”. Nieważne z jakiej orientacji politycznej pochodzili. Z Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich czy Gwardii Ludowej. Jędrusie to byli i kropka. Hołubili ich wtedy wszyscy i z taką estymą w głosie opowiadali o ich brawurowych wyczynach. Jak to któregoś dnia ogołocili z towarów żywnościowych sklep Spółdzielni Rolniczej i to w biały dzień, pod nosem Niemców. Albo gdy odbili wszystkich więźniów politycznych z budynku gestapo przy głównej ulicy miasteczka. Albo kiedy pociąg niemiecki z zaopatrzeniem dla frontu wysadzili w powietrze, aż parowóz spadł z nasypu kolejowego, prosto do stawu przy Pompecie. Ileż to wtedy mieliśmy satysfakcji i ukontentowania w takim zwyczajnym ludzkim odczuciu winy

i kary. Byli przecież w tych Jędrusiach nasi bliscy i znajomi. Nawet msze święte w ich intencji zamawiano w kościele, żeby Bóg wszechmogący otoczył ich opieką i zachował od nieszczęść wszelakich.

Tak mi się wydaje, że moja mama też do tych Jędrusiów należała. Nigdy o tym nie chciała mówić, ale pamiętam przecież jak przychodzili do nas różni obcy ludzie, ale i znajomi również. Marcin Sobolewski, na przykład, albo najstarszy z Gierczaków i Mama brała od nich jakieś pakunki, chowała pod spódnicę i gdzieś odnosiła. Nie bez powodu przecież mieliśmy w domu aż trzy niemieckie rewizje, wszystkie bardzo dokładnie przeprowadzane przez gestapowców. Potem, już po wojnie, kilkakrotnie wzywano mamę na UB i przesłuchiowano na tamtą właśnie okoliczność.

\* \* \*

Jakoś z końcem maja 1943 roku ci właśnie, jędrzejowscy „Jędrusie” zorganizowali zamach na najbardziej okrutnego kata naszego miasta, gestapowca, unterscharführera SS, Helmuta Kappa.

O jego bestialstwach opowiadano w całym Jędrzejowie. Lubił podobno co rano zabierać z aresztu na gestapo jakiegoś Polaka i rozstrzeliwać go za cmentarzem. Bił też szpicrutą ludzi na ulicy, gdy ktoś nie zszedł mu z chodnika i strzelał do chłopów na jarmarku.

Irena Wielińska, nasza szkolna koleżanka, widziała na własne oczy jak przy ulicy Pińczowskiej tenże Kapp najpierw rzucił małej żydowskiej dziewczynce cukierka, a gdy się po niego schyliła, zastrzelił ją na oczach wielu ludzi.

Rysiek Leśniewski widział jak na koniu wjechał w czasie mszy do klasztoru, a Maniek Kałwa jak nad stawem za browarem, zastrzelił jakiegoś człowieka, gdy nie chciał mu oddać złowionych ryb.

Janek Zając też zapoznał się z jego szpicrutą.

- Kapp miał w zwyczaju objeżdżać teren powiatu na koniu – opowiada Janek. Gdy zobaczyłem go tamtego dnia, pomyślałem, że to jakiś żołnierz, co pogubił drogę. Pognałem więc ku niemu wiedziony zwyczajną, dziecięcą ciekawością i kiedy wbiegłem na drogę, jego koń, nie wiedząc czemu, nagle się przestraszył i stanął dęba. Ten żołnierz, Niemiec jak się okazało zeskoczył wtedy na ziemię i zaczął mnie okładać swoją nahajką.

Zacząłem uciekać. Ale on poszczuł mnie swoim psem, takim wielkim, wypasionym wilczurem, który wnet mnie dopadł i przewrócił na ziemię. W tym strachu nie czułem nawet jego zębów, tylko jakieś przeogromne, porażające przerażenie. Gdy Niemiec w końcu zawołał swojego psa, byłem jak nieżywy. Chwilę jeszcze leżałem na ziemi, aż ucichło parskanie oddalającego się konia i dopiero wtedy powlokłem się do domu. Ojciec przybiegł z pola i aż załamał ręce.

- To był Kapp – mówił - Bogu wielkie dzięki, że cię nie zastrzelił na śmierć. Bogu dzięki.

- A skąd twój ojciec wiedział, że to był Kapp? – zapytałem w trakcie tej rozmowy.

- Bo widział go kiedyś na jarmarku w Jędrzejowie. Ludzie straszne rzeczy o nim opowiadali. Podobno dzieci też dla zabawy zabijał.

Janek tymczasem wyglądał kiepsko. Mama białymi kawałkami płótna opatrywała mu pogryzione miejsca i mówiła:

- Będzie dobrze, synku, zobaczysz, będzie dobrze.

Niestety. Wszystko, co najgorsze miało dopiero nastąpić. Gdy ochłonęli trochę po tym zdarzeniu z Kappem, okazało się, że Janek stracił mowę. No może nie dosłownie, ale jąkać się zaczął tak bardzo, że jednego słowa nie potrafił wypowiedzieć normalnie.

Cała wioska śmiała się potem z jego nieszczęścia, a dzieci, jak to dzieci, wołały za nim: Jąkaała, jąkała, gębaa mała.

Dopiero w jakiś czas potem, gdy został ministrantem w swoim kościele, spostrzegł kiedyś na nieszpórach, że gdy śpiewa, to się nie jąka. Z wrażenia aż zamilkł. Potem spróbował zaśpiewać jeszcze raz i jeszcze raz. Wsłuchał się w to swoje śpiewanie i rzeczywiście. Słowa wypowiadał płynnie i składnie jak wszyscy normalni ludzie. Boże wielki. Jaką to odkrycie dało mu radość.

-To może być sposób na to moje cholerne jąkanie – pomyślał.

Każdą więc teraz wolną chwilę wykorzystywał na śpiewanie. Wychodził za stodołę albo do lasu i śpiewał, śpiewał, śpiewał. Pewnie dlatego ma do dziś tak mocny głos i zna sporo piosenek.

Ta jego uparta walka z jankaniem trwała oczywiście lata całe, bo aż po szkołę średnią. Ale wygrał ją w końcu, co najważniejsze bez pomocy i udziału żadnych logopedów czy innych tego typu specjalistów, co zresztą w tamtych czasach było wręcz nieosiągalne. Pokonał swoją ułomność w sposób tak ewidentny, że potem przez całe lata w różnych sądach całego kraju, wygłaszał długie i co najważniejsze, płynne przemówienia.

\* \* \*

Kapp tymczasem szalał w Jędrzejowie. Dowództwo AK, czyli oczywiście „Jędrusie” powiedzieli w końcu stop i wydali na drania wyrok śmierci.

Cały Jędrzejów opowiadał potem o tej akcji. Byli nawet tacy, co wszystko z detalami na własne oczy widzieli. Najbliższy prawdy okazał się wtedy Sławek Karczewski zwany przez kolegów „Zapałeczką” bo tamtego wieczora, jak codziennie zresztą, przyszedł do sklepu pomóc w sprzątanii. Jego mama miała trafikę, znaczy taki sklepik na rogu ulic 11-go listopada i Prostej (dziś dr Kwarty), gdzie sprzedawała tytoń, bibułkę i papierosy. Tam właśnie, na wprost jej trafiki, odbył się zamach na Kappa. Sławek usłyszał nagle strzelaninę na ulicy, więc podszedł do okna i zobaczył, jak jakiś człowiek po cywilnemu odpinał pas z bronią leżącemu na ziemi Niemcowi. Obok, jakaś kobieta oparta o ścianę domu krzyczała wniebogłosy, inni zaś, chyba też „Jędrusie”, strzelali do drugiego z Niemców i wycofywali się w dół ulicy Prostej.

- Potem mama szarpnęła mnie za ramię i odesłała do domu na górę – kończył Sławek swoją opowieść.

Takich i podobnych relacji o zamachu na Kappa było w Jędrzejowie sporo. Ponieważ w wielu miejscach różniły się one w sposób zasadniczy, więc dopiero książka, Andrzeja Ropelewskiego (też „Jędrusia”) pt.: „W jędrzejowskim obwodzie AK” opowiedziała nam prawdę.

Andrzej Ropelewski pisze o tym tak: (strona 83)

*„Z końcem 1940 r. w Jędrzejowie pojawił się pochodzący z Kuźni Raciborskiej renegat, Konstanty Kapuścik, który jako Helmut Kapp sprawował funkcję tłumacza w tamtejszej placówce gestapo. Niemcy nadali mu niski stopień podoficerski unterscharfiihrera SS (według niektórych relacji rottenfiihrera).*

*Kapp zdobył sobie ponurą sławę krwawego mordercy na terenie powiatu jędrzejowskiego i włoszczowskiego. Mówiono powszechnie, że miał na sumieniu blisko 90 Polaków i ponad 360 Żydów, których własnoręcznie pozbawił życia.*

*Z początkiem maja 1943 r. komendant Jędrzejowskiego Obwodu AK, wydał rozkaz wykonania wyroku śmierci na hitlerowskiego oprawcę. Rozkaz ten przekazano dwóm grupom AK z terenu Jędrzejowa.*

*Po otrzymaniu rozkazu przystąpiono do przygotowania terenu, a następnie próbowano zlikwidować Kappa bądź na cmentarzu jędrzejowskim, bądź w lesie łączyńskim (na południe od miasta), gdzie zazwyczaj mordował swoje ofiary. Kapp nie wpadł jednak w zasadzkę. Postanowiono zatem zabić go wychodzącego z siedziby gestapo lub tam powracającego. Sposobność nadarzyła się 31 maja 1943 roku. Trójka Niemców tj. Helmut Kapp, któremu towarzyszył kierowca z gestapo Tierling oraz pracownica miejscowego Arbeitsamtu, E. Majer wracała właśnie z cukierni przy ulicy Kieleckiej do gestapo. I wtedy dokonano zamachu na Kappa. Akcją kierował porucznik Hieronim Piasecki pseudonim „Zola”, który tak o tej akcji opowiada:*

*Najdogodniejszym miejscem na zamach, ale i bezpieczne wycofanie, było skrzyżowanie ulicy 11-go Listopada z ul. Prostą. Idziemy za Kappem i jego Niemcami w pewnej odległości, ale oni już nas chyba zauważyli, bo oglądają się, a potem, przechodzą skrzyżowanie z ul. Dolną, i kierują się na skrzyżowanie z ulicą Prostą.*

*Oby je przeszli, to spełniają się nasze życzenia. Przeszli i zatrzymali się po jej drugiej stronie. Odwracają się potem do nas, Kapp wchodzi na środek jezdnii ulicy 11 Listopada. Tierling zajmuje przeciwny trotuar ulicy Prostej, próbuje nam zamknąć drogę ucieczki i wyjmują broń.*

*Mam z lewej strony «Ryszarda», z prawej «Witusia». Nasze zadanie jest proste: wykonać wyrok na Kappie. Robimy to razem z Kajderowiczem. Staszkiwicz ma wiązać ogniem Tierlinga. Meyerównę oszczędzamy jako osobę cywilną i kobietę.*

*Gestapowcy próbują nas zaskoczyć, chcą byśmy podeszli bliżej. W odległości około 20 m od nieprzyjaciela dają sygnał do akcji. Strzelamy w biegu. To ich zaskoczyło. Kapp już za pierwszymi naszymi strzałami zostaje ranny w rękę i nogę. Jest wzięty w dwa ognie. Wali się wreszcie na jezdnię.*

*Na odgłos strzałów Niemcy z pobliskich posterunków zaczynają biec w naszym kierunku. Najwyższy czas się wycofać. Tierling wybiega wtedy na jezdnię ulicy Prostej i próbuje nas zatrzymać. Jest blisko, że prawie przystawia mi pistolet do piersi. Ale ja wcześniej pociągam za spust swojego pistoletu, co powoduje, że gestapowiec wali się na ziemię, nie wydając żadnego jęku. Strzelam jeszcze raz do leżącego szwaba i szybko się wycofuję. Biegnę ulicą Prosta do Małogoskiej i koło świętego Ducha skręcam w pole. Zboże było już na tyle wysokie, że nas kryje”.*

*Odwet Niemców za tę akcję był straszliwy. W czerwcu 1943 roku zabito w Jędrzejowie przed ich domami 11 osób, zaś ponad 30 aresztowano i wywieziono do Oświęcimia”.* (tyle A. Ropelewski i Hieronin Piasecki)

Tak się złożyło, że w kilka lat potem, chyba w lecie 1952 roku poznałem osobiście ostatniego dowódcę Jędrzejowskiego obwodu AK, kapitana, a potem majora, Kaspra Miemca, vel Niemirskiego, pseudonim „Mir”. Na czas wakacji zacząłem pracować w takiej niewielkiej, upaństwowionej już wtedy tuczarni gęsi i kaczek w Skroniowie, gdzie moim bezpośrednim przełożonym okazał się właśnie pan Kasper Niemirski. Oczywiście nie wiedziałem wtedy jeszcze, kim był w czasie okupacji niemieckiej, ale znajomi wnet mnie oświecili.

- To najważniejszy „Jędrus” w całej okolicy – mówili – bohater prawie, który broni nie odłożył nigdy.

Boże jak mnie ta wiadomość podekscytowała. Legendą „Jędrusiów” żyliśmy przecież całą wojnę, a tu proszę, najgłówniejszy z nich siedzi teraz ze mną w jednym pokoju i najzwyczajniej w świecie liczy kaczki i gęsi, te kupione, utuczone i sprzedane. Zacząłem go wtedy wypytywać, o partyzancką wojnę z Niemcami, o odbicie więźniów z budynku jędrzejowskiego gestapo i o akcję na Kappa.

Ale pan Kasper uśmiechał się tylko i nie za bardzo chciał opowiadać. Miał już przecież za sobą kilkuletnie śledztwo w więzieniu kieleckiego UB, a i teraz w tej tuczarni też nie mógł być niczego pewnym. W Jędrzejowie trwał przecież publiczny proces akowców, braci Żelazików, niesłusznie potem skazanych na śmierć, a na murach miasta wciąż pełno było plakatów z napisem: „AK, zaplute karły reakcji”.

\* \* \*

Niestety. Trzeba też powiedzieć, że nie wszystkie ludzkie zachowania były w tamtych, okupacyjnych czasach, tak wznieśli i patriotyczne, jakby z kart tej opowieści wynikało. Różne wtedy z nami Polakami bywało. Jedni rzeczywiście mężnie walczyli z Niemcami, inni zaś nikczemnie na nich donosili do gestapo, czyli ich „zdawali”, jak to wtedy mówiono...

Na takiej właśnie zasadzie już od pierwszych dni okupacji odbywały się w naszym mieście różne, publiczne egzekucje.

O jednej z nich opowiada Janek Hatys.

- To było jakoś z końcem września – mówi – gdy u nas w Ciernie powieszono jakiegoś wieśniaka, bo miał podobno chowaną broń, którą zgodnie z niemieckim nakazem powinien oddać władzom okupacyjnym. Ktoś go musiał „zdać”, bo niby jak inaczej Niemcy mogli się o tym dowiedzieć?

Nie trwało więc długo, a to złowieszcze słowo „zdał” stało się powodem naszych codziennych strachów. Wszyscy przecież czegoś się bali. A to węgla ukradzionego z kolejki wąskotorowej, gdy dokuczyła zima, a to zboża zmielonego w żarnach na kluski, a to przeschumowanej ze wsi żywności, a to zwyczajnej, ludzkiej pomocy udzielonej Żydom uciekającym z getta. Zawsze wtedy rodziła się obawa, że ktoś życzliwy nas „zda”. Ksiądz Kiełb proboszcz w klasztorze mówił wtedy na jednym z kazań, o naszej polskiej biedzie moralnej.

Takim drastycznym przykładem tej biedy było zdarzenie, jakie na użytek tej książki opowiedział mi Zbyszek Ciałowicz.

Otóż w parę lat po wojnie, gdzieś chyba w roku 1950, mama kazała mu skopać ogródek na tyłach ich domu. Zbliżała się wiosna, więc pora na taką pracę była odpowiednia. Zbyszek wziął się do roboty i nagle szpadłem natrafił na jakąś butelkę zakopaną w ziemi. Trafił potem na następną i następną, cały ich szereg.

- Chyba skarb jakiś - pomyślał - i pobiegł do domu po mamę. Dowiedział się wtedy, że w tych butelkach były donosy wysyłane przez Polaków na Polaków do Gestapo

- A dlaczego znalazły się w ogródku Ciałowiczów? – zapytałem.

Bo ojciec był już wtedy w AK. Działał tam również przedwojenny naczelnik jędrzejowskiej poczty, pan Szlachetka. (Zbyszek nie pamięta już dziś, czy było to nazwisko, czy konspiracyjny pseudonim). Działała wtedy u niego na poczcie taka specjalnie wyznaczona grupa ludzi do sprawdzania listów i wyłapywania tych adresowanych do Gestapo. Uważali bowiem, że porządni Polacy nie powinni korespondować z okupantem.

Codziennie paczka takich przechwyconych listów trafiała do gabinetu doktora Ciałowicza, bo przewijało się tu sporo ludzi, więc kamuflaż dla konspiracji był odpowiedni. Wieczorami w zaufanym gronie czytano te listy, niektóre od razu wrzucano w ogień do pieca, ale te ważniejsze, ładowano do butelek i zakopywano w ogrodzie, dla porządku i archiwizacji. Był tam przecież cały przegląd jędrzejowskiego ruchu oporu i nazwiska osób z tym związanych.

Dziś trudno określić, ile w ten sposób uratowano niewinnych ludzi. Nikt przecież później tego nie sprawdzał. Najtrudniejszymi jednak w całej tej pocztowej akcji okazywały się listy polecane. Te przecież musiały być na poczcie dokładnie rejestrowane, zapisywane w takiej specjalnej książce i dostarczane adresatowi (na gestapo również) za potwierdzeniem odbioru.

-Takie listy też trafiały do nas – mówi Zbyszek Ciałowicz. Mama otwierała je nad parą z czajnika, potem wynotowywała adresy ludzi, na których „donoszono” i na powrót zaklejała koperty. Rano, zgodnie z pocztową procedurą, jakby nigdy nic, trafiały do adresata.

I wtedy dopiero zaczynała się pośpieszna praca polegająca na ostrzeżeniu „zdanych” ludzi. Ponieważ nie było wtedy prywatnych samochodów, telefonów komórkowych ani internetu, więc specjalnie zaufany posłaniec biegł na piechotę, rzadziej na rowerze, do Cierna na przykład, aby ostrzec tamtejszego proboszcza, że ktoś go „zdał”, jakiś parafianin pewnie, że ma radio zakazane przez Niemców. Niech więc ucieka, bo jeśli go złapią, to mogą rozstrzelać albo wysłać do Oświęcimia.

\* \* \*

Polska wieś w czasach niemieckiej okupacji w niczym nie miała się lepiej niżli ludność miejska. Skala zagrożeń była tylko trochę inna, co wcale nie znaczy, że mniej tragiczna. Niemieckie władze okupacyjne nałożyły bowiem na polską wieś liczne kontrybucje, czyli takie obowiązkowe dostawy w zbożu, mleku i mięsie. Niełatwo było je spełnić, zwłaszcza, że okolicznych partyzantów wyżywić należało również a i głodujące miasta też patrzyły w stronę wsi.

Od nas z Jędrzejowa na przykład, kolejką wąskotorową w kierunku wiosek nadnidzia jechały codziennie całe tabuny handlarzy. Kwitł handel wymienny. Z jednej strony żywność, z drugiej nafta, karbid, dzież, bibułka do papierosów i inne miejskie towary. Rzecz była w tamtych latach tak znana i popularna, że nawet piosenki o tym śpiewano. Pamiętacie?

*„Teraz jest wojna*

*Kto handluje ten żyje*

*Gdy sprzeda kaszanke*

*Słoninę, rąbanke*

*To bimbru się też napije”*

W tamtych czasach był to oczywiście proceder nielegalny. Cała bowiem żywność podlegała rygorystycznej kontroli okupacyjnych władz. Bydło i trzoda chlewna musiały być obowiązkowo zarejestrowane i zakolczykowane, żeby nawet jedna sztuka nie mogła pójść na lewo, czyli tak zwany czarny rynek. Armie niemiecką trzeba było przecież wyżywić.

Mimo to, te zakolczykowane i zarejestrowane świnie wcale jakoś nie chciały dorosnąć do ubojowej wagi. Żarły, a nie rosły. Sposób na to wynaleziono prosty. Zamieniano świniom kolczyki. Z większej wagi na mniejszą. Te większe szły pod nóż na czarnym rynku, a na ich kolczykach hodowano następne. W ewidencji wszystko się tu zgadzało, a tucz trwał i trwał.

I tu opowiedzieć muszę coś a propos, bowiem zupełnie analogiczna historia zdarzyła się nam Polakom już grubo po wojnie, bo gdzieś w latach siedemdziesiątych, ubiegłego wieku. Wtedy to Biuro Polityczne rządzącej wówczas Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej podjęło jak zawsze słuszną i jedynie zbawienną decyzję w temacie lepszego zaopatrzenia ludu pracującego w mięso i jego przetwory. Chroniczny jego brak groził bowiem niezadowoleniem szerokich rzesz klasy robotniczej.

Polecono zatem wszystkim zakładom pracy, aby obok swojej normalnej działalności produkcyjnej, zajęły się także hodowlą trzody chlewnej na potrzeby żywieniowe swoich załóg i nie tylko.

Byłem wtedy prezesem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w jednym z miasteczek obok Częstochowy wiec pamiętam, jak przyjeżdżali do mnie różni dyrektorzy firm i zakładów przemysłowych z błagalną wręcz prośbą, abym w ich imieniu takie świnie hodował. Oni zakupią warchlaki i konieczne pasze. Zapłacą co trzeba, żeby ich tylko z tej pracy wyręczyć. Sami przecież nie mają ku temu ani bazy ani głowy ani warunków, a uchwałę Biura Politycznego wykonać muszą.

Dla naszej spółdzielni była to gratka nie lada. Dawała dodatkowy zysk, pracę dla ludzi i masarni utrzymanie. Miejsca też na taką hodowlę mieliśmy, od groma, bo przecież od dawna już nasze magazyny świeciły pustkami.

Umowy więc podpisano szybko, warchlaki wnet dostarczono i zakolczykowano od razu, żeby było wiadomo czyją są własnością i kiedy utuczone trafić powinny do rzeźni.

I tu powtórzył się ten sam syndrom, co w czasach okupacji niemieckiej. Te świnie za cholerę nie chciały rosnąć. Niby żarły normalnie, a po rocznym prawie uczu ciągle miały po, 20, 30 kilogramów.

Zamieniają im kolczyki, jak za Niemców, pomyślałem. Utuczone sztuki sprzedają na lewo, a ich kolczyki zakładają podstawionym warchlakom i tak w kółko Maciejcu.

Aż się poskarżyli dyrektorzy komu trzeba i do mnie do Geesu zjechała wnet specjalna komisja z Komitetu Wojewódzkiego Partii. Kazali się zaprowadzić do naszej tuczarni, a tam rzeczywiście stały same takie niedożywione świńskie bidule.

- Jak to wytłumaczycie, towarzysze? – zapytał nas przewodniczący, komisji. Przecież według dokumentacji one mają prawie rok.

- No, bo to jakiś taki, gatunek francowaty – odpowiedzieli ci od tuczu.

- Gatunek? Gatunek? Wszędzie gatunek zawinił? W sąsiedniej spółdzielni produkcyjnej i w giesie obok też są same mizeroty.

- Widać rocznik taki.

Zagrozili wtedy, że mnie zwolnią z pracy, więc ja też wezwałem tych od tuczu do siebie i powiedziałem, że jeśli świnie natychmiast nie przybiorą na wadze, to ich też wyleje z roboty.

Skinęli mi głowami, wychodząc coś sobie poszepnęli i już następnego dnia przynieśli mi na biurko taką ogromną, wieprzową szynkę z kością i parę kilo smakowicie uwędzonej kiełbasy.

I wtedy przypomniały mi się słowa usłyszane kiedyś na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu – Leninizmu, że nie należy nigdy przeciwstawiać się zbiorowej mądrości klasy robotniczej.

I tak zrobiłem.

\* \* \*

Czas wojny i okupacji był dla nas dzieci, okresem bardzo szybkiego dorastania i dojrzewania. Wokół działa się przecież rzeczy niezwykle, a często tragiczne i każdy dzień przynosił nowe, nieznanе dotąd doświadczenia. Ileż to słyszało się opowieści o klęskach głupich Niemców na wojennych frontach. O wygranych potyczkach naszych „Jędrusi” i zwycięskich bojach żołnierzy polskich, pod Tobrukiem czy Narwikiem. Pobudzało to oczywiście naszą wyobraźnię, więc zabawy też musiały być wojenne i bardzo patriotyczne.



Pisze o tym w swoich wspomnieniach Józek Gierczak. Ujmuje to tak:

Miejszem najciekawszym do zabawy był wtedy teren kolejki wąskotorowej. Transportowano stamtąd na front wschodni masę towarów w tym również broń i amunicję. Aż kusiło, żeby im coś podkraść. Razem ze Stachem Kwietniem i Staszkiem Kalininem zrobiliśmy któregoś dnia dziurę w częstokole i zaczęliśmy to i owo wnosić. Najważniejszym łupem okazały się dwie głowice do panzerfausta i skrzynka karabinowej amunicji.

Gdyśmy przytargali to wszystko do ogrodu za domem, to mama aż poblądła ze strachu. Natychmiast oddała mnie w ręce starszych braci na kolejne lanie, bo przecież Niemcy mogli nas wszystkich zabić. I zaraz, jak to mama, zaczęła wypytywać.

- I kto cię do tego namówił? Kto z tobą tam był? Wszystkie mamy wierzą bowiem święcie, że ich synalkowie są niewinni i tylko mają niedobrych kolegów.

Ale Józek oczywiście nie wydał nikogo. Uratował w ten sposób od podobnego lania mojego starszego brata a i Stacha Kwietnia pewnie również.

Ukradzione wtedy pociski przekazane zostały, tam gdzie należało, to znaczy do leśnych partyzantów, ponieważ mama Gierczakowa wraz z dwójką starszych synów od dawna już działała w akowskim podziemiu.

I tu mała ciekawostka, taka a propos:

Otóż za taką właśnie patriotyczną działalność w konspiracji już po wojnie władza ludowa skreśliła panią Gierczakową z list wyborczych do tak zwanego Sejmu Ustawodawczego, ponieważ była dla nich, uwaga! Elementem niepewnym ideologicznie.

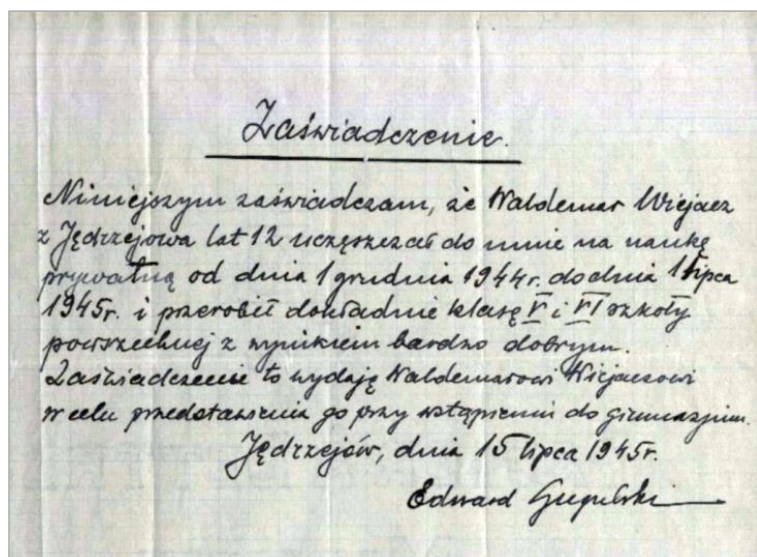
I jeszcze jedna, ale za to bardzo piękna scena ze wspomnień Józka Gierczaka.

W Warszawie trwało właśnie powstanie. Niektórzy nazywali je: bohaterską, narodową tragedią. Jędrzejowskie oddziały Armii Krajowej zamierzały ruszyć powstaniu z pomocą. W tym celu zwołano zbiórkę żołnierzy.

Józek widział któregoś ranka przez okno, jak mama przy furtce w ogrodzie żegnała najstarszego swojego syna udającego się na takie zgrupowanie.

Do dzisiaj – jak mówi - pamięta tamten mamy ruch ręką kreślący nad bratem znak krzyża.

\* \* \*



Właściwie dopiero po wojnie, dzięki cytowanej wyżej książce pana Ropelewskiego, dowiedzieliśmy się, jak wielu naszych sąsiadów i znajomych czynnie walczyło z Niemcami. Podziwialiśmy ich za patriotyzm, odwagę i hart ducha. Nazwisk mógłbym przytoczyć wiele, ale opowiem tylko o kimś szczególnie dla mnie ważnym. Panu Karolu Osińskiem, pseudonim „Osa”, moim okupacyjnym nauczycielu. Chodziliśmy do jego konspiracyjnej szkoły w takiej trzysobowej grupce. Jurek Klimczak, Kubek Jarosiński i ja, Jędrzek, (jak mnie wtedy nazywano) Kalinin. Zeszyty i książki chowaliśmy głęboko za pazuchę i w ogóle byliśmy bardzo przejęci całym tym tajnym nauczaniem. Niemcy bowiem za takie nielegalne, polskie szkolnictwo grozili rodzicom i nauczycielom śmiercią, albo obozem

koncentracyjnym i często groźby te spełniali.

Mimo to ów tajny sposób nauczania obejmował cały Kraj, od podstawówki po wyższe uczelnie. Waldka Wiejacza uczył w ten sposób profesor Gugulski, na dowód czego zamieszczamy poniżej autentyczny dokument.

Wynika z niego, że Waldek umiał już wtedy pisać i czytać bo wcześniej ukończył trzy klasy podstawówki w szkole, na jaką zezwolili Niemcy w pierwszych latach okupacji. Chodził do niej również mój starszy brat Staszek, stąd wiem, że mieściła się na ulicy Szkolnej blisko kościoła Świętej Trójcy. Jego świadectwo z tamtej szkoły, napisane jest po niemiecku i po polsku i zaczyna się od słów: „General Gouvernement Schulzeugnis”, a dalej dane personalne i oceny z przedmiotów. Wszystkie „sehr gut” czyli bardzo dobre.

\* \* \*

Kiedy Niemcy zajęli Jankowi Zającowi wiejską szkółkę w Dalechowach i już o dalszej nauce nie mogło być mowy, ojciec zawołał go do siebie i odbył z nim taką oto rozmowę.

- Słuchaj synu! Coś teraz musisz robić, nauczyć się czegoś, zawodu jakiegoś, bo te nasze 3 hektary ziemi wszystkich w domu nie wyżywią. W dodatku jest wojna i żyć coraz trudniej.

Zaraz więc po żniwach znaleziono Jankowi zajęcie u znanego w całej okolicy mistrza krawieckiego, pana, Waligórskiego. Na początek dostał żelazko, takie na rozżarzony węgiel drzewny, bo prądu jeszcze wtedy na wsi nie było i miał się nim opiekować. Dmuchał więc Janek w to żelazko i chuchał, żeby nie wygasł żar i żeby w środku była konieczna do prasowania ciepłota.

Dopiero gdzieś po pół roku otrzymał do prucia stare ubrania, które przenicowane na lewą stronę miały wyglądać jak nowe. Uczył się też władać igłą i krajsztychować, czyli obrzucać brzegi materiału, a po paru miesiącach pikował już nawet „bezecy” czyli wyłogi klap u marynarek.

Tak minął mu rok krawieckiej edukacji, za którą tata Zajac zapłacił uzgodnioną wcześniej należność, to jest: dwa pięćdziesięciokilogramowe worki czystej i przewianej pszenicy.

Teraz gdy sobie o tamtych czasach z Jankiem rozmawiamy, to aż dziw bierze, jak ówczesni dwunasto, trzynastoletni chłopcy mógł temu wszystkiemu podołać?

Janek Wiecej pracował już wtedy w warsztatach naprawczych wąskotorówki. Mój brat Staszek w ślusarni pana Muchy, gdzie któregoś dnia młot tak nieszczęśliwie odbił się od kowadła, że kropnął go w zęby. Chyba przez miesiąc potem leczył się w szpitalu. W kuźni pana Chabiora zatrudnił się Dudek Jarosiński a Waldek Wyrozumski u szewca Kwietnia. Pracowali głównie ci chłopcy, którym wojna zabrała ojców, przez co byli niejako zmuszeni przejąć, przynajmniej część ich obowiązków.

Jakoś jesienią 1944 roku, gdy sowiecki front zatrzymał się na Wiśle, Niemcy wprost z podwórka zgarnęli Janka Zajaca do kopaniu rowów strzeleckich budowanych wzdłuż rzeki Nidy, dla powstrzymania rosyjskiej ofensywy. Była to zupełnie niewolnicza praca łopatami i kilofami, zwłaszcza, że pilnujący ich Ukraińcy zachowywali się często jak prawdziwe bestie. Bili o byle co kolbami swoich karabinów, albo nahajami, takimi splecionymi ze skóry. Janek mówi, że dostawało się każdemu, kto nie wykonał wyznaczonej normy, to jest 10- ciu metrów okopu o szerokości 80 cm i jednego metra głębokości. I tak przez cały dzień, od świtania do zmierzchu.

Dopiero w nocy można było trochę odpocząć. Gromadzono ich wtedy w różnych dworskich stajniach i stodołach. Mężczyzn i kobiety razem, więc Janek mógł się wtedy nasłuchać, jak nigdy wcześniej, różnych nocnych jęków, szeptów i przyspieszonych oddechów. I były to dla niego taka pierwsza lekcja szybkiego, męskiego dojrzewania. Nie tylko fizycznego.

Tymczasem front na Wiśle odzywał się coraz częściej i coraz głośniejsze. Nad głowami ludzi pracujących przy okopach przelatywały sowieckie samoloty zwiadowcze i bywało, że zrzucały bomby. Wywoływało to strach i postanowienie, że trzeba uciekać, schować się gdzieś i przeczekać, aż wejdą Rosjanie..

Janek Zajac ze swoim kumplem, również Jankiem Farnenem, też postanowili uciekać. Nacinali właśnie karpinę (gałęzie wierzbowe) konieczną do obudowania okopów strzeleckich, kiedy nagle nadleciał samolot i pilnujący ich Ukraińcy pobiegli schować się do rowu. Wtedy skoczyli w pobliskie krzaki. Czas jakiś biegli przed siebie i kiedy zdawało się, że są już wolni, że się udało, jak spod ziemi stanęło przed nimi dwóch Niemców w czarnych, esesmańskich mundurach.

W Janku odezwał się ten sam strach, który był w nim jeszcze od spotkania z Kappem. Rzucił się więc do ucieczki. Słyszał za sobą niemiecki krzyk: „halt, halt”, ale nie zwolnił biegu, choć kule świstały obok. Przeprowadził się potem przez Nidę, ominął Motkownice i okrężną drogą wrócił do domu. Miał szczęście. Tylko to cholerne jąkanie jakby znowu stało się mocniejsze.

\* \* \*

Wielu z naszych znajomych, pracujących przy okopach nad Nidą, zabrali z sobą cofający się Niemcy. Mojego późniejszego teścia, Józefa Musiała, zagonili aż do Wrocławia. Budował tam umocnienia dla twierdzy „Breslau gdzie kilka razy otarł się o śmierć. Potem Ruscy wypytywali go na przesłuchaniach, skąd się tu wziął i czy on nie szpion czasem, niewolnika udający. Nasz sąsiad Rysiek Leśniewski wrócił do domu z okopów dopiero gdzieś po pół roku i pamiętam do dziś krzyk jego mamy, gdy go zobaczyła nagle w sieni naszego domu. RYYYSIUUU!! RYYYSIUUU!!

\* \* \*

W czasach okupacji niemieckiej każde kościelne święta, szczególnie Boże Narodzenie i Wielkanoc obchodzone były w sposób nader uroczysty, a nawet powiedziałbym ostentacyjny. Tylko wtedy bowiem mogliśmy legalnie odwoływać się do naszych polskich i narodowych obyczajów, śpiewać na pasterkach „Bóg się rodzi moc truchleje”, mając na myśli wojnę i niemiecką okupację.

Trzeba przyznać, że inny emocjonalny wymiar niż obecnie, miały tamte nasze święta. Może dlatego, że byliśmy wtedy dziećmi z całą potrzebną temu świętu prostotą i wyobraźnią? A może czasy tak się zmieniły, że nie potrzeba już nikomu tamtych niegdysiejszych, patriotycznych uniesień? Święta ponadto nie są już czymś aż tak nadzwyczajnym jak kiedyś. W dzień powszedni jada się teraz lepiej i wykwintniej niżli my wtedy w święta. Żartuje się nawet na ten temat deliberując o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad Wielkanocą, albo odwrotnie, że niby te pierwsze są bardziej rodzinne i domowe, bo śpiewa się wspólnie kolędy, czego zupełnie brakuje Wielkanocnemu świętu.

A ja sobie myślę, że ów czas związany ze świętami jest nam po prostu potrzebny dla odnalezienia w sobie owych ludzkich uczuć, bez których nie podobna przecież spojrzeć wstecz, na choćby mijający właśnie rok i wszystkie wcześniejsze lata. Takim refleksjom sprzyja szczególnie owa niezwykła atmosfera wigilijnego wieczoru, kiedy przyczynę owych serdecznych wzruszeń odnajduje gdzieś tam w odległych latach dzieciństwa. Mnie na przykład przychodzi wtedy na pamięć mój rodzinny dom, specjalnie ogołocoony przed nadejściem świąt z firan, serwetek, chodników, żeby potem zabłysnąć bielą i odświętnością, zapachami krochmalu i czymś jeszcze, czego już teraz nie mogę sobie przypomnieć, a co czuję do dziś w każdy wigilijny wieczór. Wnosiłem wtedy do domu świerkowy krzaczek, a ze strychu pudło z przechowywanymi w nim choinkowymi cackami. Były one zupełnie inne od dzisiejszych, tych szklanych z supermarketów, bo własnej roboty, misternie posklejane z jajowych wydmuszek, kolorowych papierków i słomianych rurek. Każde takie cacko wieszane na gałęzi drzewka było znajome, własnymi wypieszczone rękami, wyposażone w kawałek duszy.

Potem wyjechałem z domu do różnych szkół i innych miast, ale na święta Bożego Narodzenia zawsze starałem się wrócić do gniazda. Tam bowiem była ciągłość czasu i wciąż te same, wigilijne wzruszenia.

Teraz też niby obchodzimy święta, ale już nie tak jak dawniej. Nie chodzą już kolędnicy z szopką i gwiazdą betlejemską. Od lat nie widziałem takich w swoich Kusiętach, choć podobno jeszcze tylko na wioskach utrzymuje się dawne, jasełkowe tradycje.

Za to na „Nowy Rok” chodzą teraz kominiarze, zwyczaj przedtem zupełnie nieznanymi. Moja żona drugi już rok z rzędu wpuszcza ich do domu. Wynikało to chyba z faktu, że niedawno u naszych sąsiadów, zepsuł się „junkers” gazowy i niewiele brakowało, żeby wszyscy domownicy zatruli się czadem, więc moja żona pomna tej przestrogi woli z kominiarzami trzymać sztamę i zaraz otworzyła im drzwi.

– Bo diabeł nie śpi – powiedziała mi szeptem.

- Z życzeniami noworocznymi przychodzimy - oznajmili zaraz za progiem i wręczyli nam po pocztówce z wizerunkiem kominiarza w cylindrze i napisem u dołu: „Do siego Roku od kominiarzy”. Potem dodali jeszcze od siebie, że kominiarz

jak wiadomo szczęście wszystkim przynosi, więc oni winszują nam wszelkiej pomyślności w Nowym Roku, zdrowia i kasy. Żonie pociechy z męża, mnie pociechy z żony, a dobytкови wszelkiemu przychówku.

Wzruszyłem się przyznając. Tyle serdeczności od nieznanymi mi zupełnie ludzi, więc zrewanżowałem się tym samym, czyli życzeniami zdrowia, szczęścia, pomyślności. I potem nastąpiło jakieś takie krępujące między nami milczenie. Oni zaczęli jakoś dziwnie pochrząkiwać i przestępować z nogi na nogę, żona coś do mnie pomrukiwała, aż jeden z nich powiedział.

- Karta z życzeniami, bynajmniej kosztuje.

- Ależ tak, oczywiście, przepraszam, zmiłogowałem się.

- A ile?

- Co łaska.

Dałem więc 10 złotych. Spojrzeli, po sobie po czym orzekli:

- Za mało.

Dołożyłem więc następną dychę i to ich chyba zadowoliło, bo znowu pożyczili nam wszelkiej pomyślności i poszli kwestować dalej.

Ubawiło nas to oczywiście ale i potwierdziło starą prawdę, że takich jak kiedyś kolędników żadne nowoczesne obyczaje nie zastąpią.

O właśnie.

I o jednym takim wielkim kolędniku muszę tu koniecznie opowiedzieć, bo był to dziwak nad dziwaki, znany prawie wszystkim chłopakom z naszego ministranckiego koła. Od lat przecież kręcił się koło klasztoru, pomagał kościelnemu Kazikowi Szczygłowi, (który potem został księdzem), utrzymywać porządku w kościele. Zwoził końmi zboże z pola do przyklasztornej stodoły, albo powoził bryczką, gdy któryś z księży jechał z Panem Bogiem do chorego. Ponadto co rok, jak zapisał, w okresie Świąt Bożego Narodzenia przebrany za jasełkowego króla Heroda przewodził naszej, kolędniczej kompanii. Przyłgnął więc do niego ten Herod tak mocno, że w końcu zapomniano zupełnie, jak nazywał się naprawdę. Herod mówiono na niego i tyle. Pytam Józka Gierczaka, czy pamięta Antka Heroda?

- Oczywiście - odpowiada. Kolędowałem czasem z nim, grałem na harmonii.

- A jak nazywał się naprawdę?

- O, tego jakoś nie zapamiętałem..

Mnie też jego nazwisko uciekło z głowy, choć potem, jako króla Heroda opisałem w swojej książce pt „W cieniu złych drzew”. Tam jednak z powodów beletrystycznych umieściłem sporo, takich literackich ubarwień, a także parę udramatyzowanych scen. Teraz więc napiszę o Antku prawdę i tylko prawdę, gdyż była to postać nader ciekawa, jak zresztą cała tamta nasza, kolędnicza kompania.

Zacznę jednak od pewnego zdarzenia, które stało się właściwie przyczyną, że opisuję to w tej książce.

Otóż gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, pojechałem do Nowej Rudy na Dolnym Śląsku, odwiedzić swojego kumpla z wojska, Jurka Minicha (był bohaterem mojej książki pt „Las wokół”) Mieszkał już tam od lat i trzymał w agencji taką podmiejską knajpkę o nazwie „Bonanza”. Oczywiście popiliśmy wtedy okrutnie, bo przecież przez dwa lata w wojsku spaliśmy prycza w pryczę, tak i wspominać było o czym. Dopiero nazajutrz, gdzieś koło południa, poszliśmy do tej jego „Bonanzy” ratować życie.

Była niedziela, już po sumie, wiec przy bufecie kłębił się tłum spragnionych piwoszy. I wtedy Jurek powiedział:

- Zobacz. Ten gościu tam przy oknie też jest z twojego Jędrzejowa. Nazywa się Smorağ.

- Jak?

- Smorąg. Przychodzi tu do mnie często, żeby zarobić na wino. Wrzuca węgiel do piwnicy, albo w zimę odśnieża podjazd, takie tam.

Spojrzałem i aż mnie zatkało. Boże wielki. Czyżby to był ten nasz dawny król Herod?. Musiałem to sprawdzić, więc wziąłem swój kufel z piwem i podszedłem.

Tak, to był on. Postarzał się tylko, zmałał jakby i wyraźnie brakowało mu dawnego wigoru w ruchach, gestach i słowach. Tylko twarz mimo zmarszczek ciągle była znajoma.

- Pan szanowny byłeś u mnie kolędnikiem? – zdziwił się -. Aniołem? Nie pamiętam, popatrz pan, nie pamiętam. Tyle lat przecie przeleciało. Komu zresztą dzisiaj potrzebne są tamte, stare historie? Powiedz pan komu?

Mówiąc to uśmiechnął się jakoś niezdarnie skrzywieniem warg i uniósł do góry dłoń. Ten jego gest i ten uśmiech na moment przypomniały mi go z tamtych, kolędniczych lat.

To był w ogóle bardzo dziwny chłopak. Miał chyba duszę artysty, bo zawsze z nadejściem jesieni kupował za wszystkie zarobione w klasztorze pieniądze konieczne do jasełek akcesoria: tkaniny na kolędnicze szaty, złożone papiery na korony dla trzech króli i białą gazę na welony dla bożych aniołów. Siedział potem i zszywał to wszystko, kleił i przymierzał kolędnikom na próbach.

Tamtej ostatniej, okupacyjnej jesieni Antek Smorąg, jakoś na miesiąc przed Bożym Narodzeniem ogłosił nabór na wolne miejsca w swojej jasełkowej kompanii. Kto wtedy został przez niego wybrany, ten wiedział, że przez okres świąteczny, czyli gdzieś do Matki Boskiej Gromnicznej, zarobi parę groszy i jedzenia trochę do domu przyniesie. Garnęli się więc chłopaki do kolędowania, szczególnie z tych biednych domów w większej nawet ilości, niżli było postaci w jasełkowym przedstawieniu.

Tak już było, że w każdą ostatnią niedzielę listopada, Antek Herod, zwoływał do przyklasztornej dzwonnicy wszystkich starych kolędników i tych, którzy chcieli nimi zostać, na takie zebranie poświęcone jasełkom. Stara dzwonnica nadawała się do tego jak ulał, bo wszystko tu było jakby specjalnie stworzone dla jasełek. Nad naszymi głowami wisiały dzwony na masywnych, drewnianych rusztowaniach. Przez zabelone od mrozu szyby sączył się do wnętrza blask dnia i srebrzył krople rosy, zastygłe na pajęczynach między belkami stropu. Antek Herod siadał wtedy na swoim tronie, to znaczy na takim starym, kościelnym fotelu i zaczynał rozdzielać kolędnicze role. Miał do tego prawo, bo jego to były jasełki, jego kostiumy i jego sprawa. Niczym więc prawdziwy król patrzył teraz na stojących w szeregu chłopaków i skinieniem dłoni decydował ostatecznie, kto tej zimy będzie świętym Józefem, kto królem Melchiorom, kto odgrywać będzie Żyda, komu przypadnie kosa i kto poniesie gwiazdę.

Znalazłem się prawie na końcu tego szeregu. Przegapiłem ów moment, gdy kilku chłopaków, wcale nie wyższych, wkręciło się przede mną. Przestraszyłem się nawet, że dostanę najgorszą rolę, owieczki na przykład, albo, co nie daj Boże, głupiego, kłapouchego osła. Wyciągałem więc rękę jak najwyżej do góry, stawałem na palcach, przeżyłem grzbiet, żeby tylko król Herod dostrzegł moją gorliwość.

- Pamięta pan, jakie role nam pan wtedy przydzielili? – zapytałem.

- E, skąd, panie. Tyle lat przecież minęło – odpowiedział i sięgnął po kufel z piwem.

- To ja panu przypomnę. Trzema królami zostali: Stachu Zajtz, Rysiek Leśniewski i mój starszy brat Staszek. Rolę archanioła zwiastującego rychłe nadejście zbawiciela otrzymał Zygmunt Majchrzak, zaś śmierć z kosą przedstawiał Antek Pietrzyk, bo wysoki był i chudy, to się do tej roli najbardziej nadawał.

- A Waldka Wyrozumskiego pan pamięta?

- A jakże. Przecie był najważniejszym moim kolędnikiem. „Zwierz” go nazywali, nie?

Rzeczywiście. Waldek grał diabła i do tej roli pasował jak ulał. Sam bowiem wyglądał demonicznie. Śniady na twarzy, trochę dziobaty, z gęstą czarną czupryną na głowie. W dodatku brakowało mu jednej nogi.

Stracił ją na kolejce, kiedy którejś zimy wybierał z wagonu węgiel na opał do domu. Zauważył to niemiecki strażnik kolejowy zwany „banhucem” i zaczął strzelać. Waldek spadł z wagonu, a że kolejka była w biegu, dostał się pod koła i

stracił nogę, trochę powyżej kostki. Był to jednak chłopak, który tak łatwo z życia nie rezygnował. Gdy ochłonął trochę po tym wypadku, to zaraz zmajstrował sobie protezę. Znaczący taki drewniany taboret, który pasami przymocowywał do tego kikuta, jak mu po tym wypadku pozostał. Chodził potem na nim i nawet biegał i nikt nie uwierzy, ale grał również w piłkę na bramce w naszej poklasztornej reprezentacji i to jak, że Ciałowicz z „Naprzodu” mógł się schować. Gdy mu piłka dobrze podeszła pod ten taboret, to długo jej potem było szukać.

Tamtej wiec niedzieli w klasztornej dzwonnicy wszystkie kolędnicze role zostały rozdane i co wieczór teraz ćwiczyliśmy naszą, jasełkową kolędę.

Tyle, że Antkowi Herodowi ciągle czegoś w naszych staraniach brakowało. Walił wtedy berłem w oparcie swojego tronu i wołał głosem starego króla.

- Głośniej śpiewać, głośniej. Śpiewy muszą być radosne i od serca, żeby wszyscy wiedzieli, że Bóg się nam narodził. Pan wszelkiego stworzenia.

Do świąt Bożego Narodzenia brakowało już wtedy kilku dni. Zima na dworze zrobiła się czarna, bez śniegu, tylko mróz trzymał tak mocny, że zamieniał kolędnikom słowa w białe obłoczki pary.

Tamtego jednak roku po raz pierwszy w swojej kolędniczej karierze, król Herod jakoś pechowo obsadził niektóre jasełkowe role. Odnosiło się to głównie do postaci Żyda. Nikt wówczas nie przypuszczał, że wyniknie z tego taki skandal.

- No, bo powiedz pan, kto mógł przewidzieć, że ten cholerny Szwab, tak się opije? – zapytał Antek Smorąg, gdy podeszliśmy do bufetu po następne piwo. W każdym jasełkowym przedstawieniu był Żyd i nigdy nikomu to nie przeszkadzało. Żyd to był Żyd, rola do śmiechu i tyle.

- A w tamten wieczór – pamięta pan?

Próbowałem wówczas, przypomnieć sobie chłopca, któremu król Herod, tamtej wojennej kolędy przydzielił rolę jasełkowego Żyda. Mieszkał z matką w barakach nad Brzeźnicą, gdzie ulokowani zostali ludzie przywiezieni z Warszawy po upadku powstania. Nie był więc znany w miasteczku.

- Nos go zgubił, wiesz pan? - powiedział Smorąg - Taki garbaty żydowski nos, duży jak kościelna gaśnica do świec.

Piliśmy już kolejny kufel piwa i wspominaliśmy ową nieszczęśliwą kolędę w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia 1944 roku. Mróz trzymał wtedy siarczasty, skrzypiał pod butami i pod kołami furmanek, bo dla sanek za mało spadło śniegu tamtego grudnia.

Za namową księdza Ligusińskiego dziedzic z Laskowa pierwszy po nas przysłał konie. Dwa mocne siwki ciągnęły duży, drabiniasty wóz, żeby wszystkich zmieścić i kostiumów nie pognieść. Król Herod zgodnie ze starszeństwem siedział na przedniej ławeczce obok woźnicy, starego, jednookiego Żaka, za nim zaś cała reszta kolędników. Konie szły pomału krok za krokiem, a my śpiewaliśmy sobie kolędy dla próby, dla wprawy i fantazji. Poprzez wiatr, mróz i szronem okryte pola niosły się nasze głosy: „Hej kolęda, kolęda, Jezus się narodził...”

Dojeżdżaliśmy już do dworskich budynków, psy wyły na mróz, pierwsze zimowe mroki czały się sinym kolorem w drzewach okalających dwór, a księżyc bladym rogalem wysunął się na niebo.

- Żeby ja wtedy wiedział, panie, że u dziedzica we dworze są Niemce, nie wszedłbym tam z kolędą za Chrystusa Pana - powiedział Smorąg. Nie wszedłbym, bo nie dla niemieckich okupantów z Bogiem Nowonarodzonym my chodzili. Ale ja, panie, nie czuł niczego. Żadnej przestrogi, żadnego natchnienia od Boga. Nic.

Dziedzic, jak przystało na gospodarza, wyszedł przed budynek, żeby powitać kolędników. Był po świątecznemu trochę podchmielony, błyskał białymi zębami spod sumiastych wąsów i obiecywał jadło oraz zapłatę za kolędę, zaraz po zakończeniu jasełek.

- Jak wam dam znać kłaśnięciem w dłonie, to wejdziecie do salonu i zaczniecie przedstawienie – mówił. Mam tu u siebie cudzoziemskich gości i wy dla nich stanowiąc będziecie największą świąteczną atrakcją.

Staliśmy półkołem na dziedzińcu przed dworem i wtedy król Herod jeszcze raz, krok za krokiem, obejrzał nas dokładnie, niektórym poprawił części garderoby, innym z aprobatą skinął głową.

- Mnie pan wtedy poklepał w policzek i mocniej przypiął skrzydło do ramienia – przypomniałem. Te skrzydła były dla mnie za duże, a przyklejone do nich gęsie pióra co krok zawadzały mi o falbanki długiej, kościelnej komży.

- Byłem wtedy najmłodszym pańskim kolędnikiem, pamięta pan?

Skinął głową jakoś odruchowo, widocznie szukał w myślach tamtego, odległego już czasu, gdy staliśmy przed dworem oczekując na znak do rozpoczęcia ostatnich dla nas wszystkich, kolędniczych jasełek.

- Zapraszam - zawołał dziedzic od drzwi i zaraz potem zabrzmiał Herodowy bas: „Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem”. Wchodziliśmy do budynku odegrać sceny z narodzenia Pana.

Towarzystwo w salonie było już pięknie podpite, zapewne samogonem upędzonym z najlepszych do tego buraków cukrowych. Za stołem, pośród innych gości, siedziało również trzech Niemców w poluzowanych pasach i rozpiętych na piersiach mundurach.

- Ja, ja, gut - kiwali nam rękami na powitanie. Gut, polnische - kolędni... kolędni...ki - powtarzali z trudem słowa dziedzica i unosili w naszym kierunku napełnione wódką kieliszki. Zdawali się być rozbawieni i przyjaźnie nastawieni do ludzi i świata. Tylko te ich pistolety przypięte pasami na brzuchach wywoływały w nas niepokój. Byliśmy przecież dziećmi wojny, świadomi, że w każdej chwili ta niemiecka broń może w naszym kierunku wystrzelić.

Przedstawienie szło więc opornie, śpiewy brzmiały fałszywie, półgębkiem, a gesty sztywniały w pół słowa.

Stałem obok Jezusowego żłobka, jak na Anioła przystało i rozglądałem się po salonie. Niemcy, choć nie rozumieli słów, ryczeli gardłowym śmiechem, klepali się z uciechy po grubych udach i co chwilę sięgali po kieliszki z samogonem. - Prosit - mówili w naszym kierunku - prosit.

- Aż przyszedł ten moment. Pamięta pan, panie Smorąg?

- Pamiętam – odpowiedział. - Tamtą scenę mam ciągle przed oczami, jakby dzisiaj się działo. Żyd zapukał do drzwi salonu - stajenki. Święty Józef zapytał - kto tam?

- Jak to kto? - Padło zza drzwi - My, Żydkowie.

- A ile was?

- Raz

- To wchodzi, Żydzie.

- Już go idzie - odpowiedział czarnowłosy Janek, o którym mówiono w miasteczku, że bardzo dzielnie walczył w harcerskich szeregach w czasie powstania warszawskiego.

Ubrany był jak przed wojną nosili się Żydzi w chałat i jarmułkę z nieodłącznym workiem - sakwą na plecach.

Na jego widok Niemcy nagle przestali się śmiać i ze zdziwieniem spojrzeli na gospodarzy.

- Jude? – zapytał jeden z nich wskazując palcem Janka.

- Jude, jude - potwierdził rozbawiony dziedzic. Prawdziwy jude, jak Boga kocham.

Najstarszy z Niemców zaczął nagle czerwienić na twarzy. Widziałem to dobrze, bo stałem na wprost niego u wezłowania żłobka. Nie umiałem tylko zrozumieć, co mówił podniesionym głosem.

Dopiero ten drugi Niemiec zaczął tłumaczyć słowa swojego kolegi łamaną polszczyzną.

- Pan oberlojtnant mówią, że to prowokacja. Jak można pokazywać Żyda w obecności niemieckiego oficera?

Zabrzmiało to groźnie i od razu powiało strachem. Kolędnicy wnet znieruchomieli, upodobnieni teraz do figur z kościelnych szopek, a w całym salonie zaległa cisza.

Wtedy któryś z Niemców roześmiał się głośno, ale jego koledzy nie zawtórowali mu wesołością. Byli pijani, przez to nieobliczalni, jak wszyscy żołnierze z bronią w ręku i w pijanym transie. Ten ich Oberlojtnant wstał wtedy od stołu i pomału odpinał kaburę z pistoletem.

- Jude, kom - wysyczał przez zęby i skinął zgiętym palcem na Janka. - Kom, Jude...

Zrobiło się cicho. Nikt przecież nie mógł wiedzieć, ile w tym jego zachowaniu było pijackiego żartu, a ile prawdziwego hitlerowskiego antysemityzmu. W okupacyjnej rzeczywistości jedno i drugie miało w sobie tę samą grozę i wtedy, w tej naglej ciszy otworzyły się drzwi i do salonu wszedł pan, panie Smorąg, z królewskim berłem w ręku i herodową koroną na głowie. Szedł pan odważnie w stronę swojego Żyda i śpiewał głośno kolędę o nowonarodzonym Bogu. Goście przy stole wnet podjęli ten pański śpiew. „Bóg się rodzi, moc truchleje

Niemiec na moment znieruchomiał. Może otrzeźwiał, może przestraszył się tego naszego solidarnego kolędowania? Front stał przecież na Wiśle, Niemcy dziwne spokornieli. Mówili: wojna kaput, Hitler kaput. Nie było już w nich ani tamtej buty, ani tamtej pewności siebie, jaką demonstrowali jeszcze rok temu.

Pan tymczasem objął ramieniem Janka – Żydka, przytulił do siebie i próbował wyjść z nim za drzwi salonu. Ale Niemcowi widać nie spodobała się pańska odwaga, bo krzyknął: Halt!, halt!

Pana to jednak nie przestraszyło. Nie zatrzymał się pan ani nie odwrócił głowy.

I wtedy padł strzał. Huk zmieszał się z krzykiem ludzi, piskiem kobiet i zapachem prochu. Salon wnet opustoszał, tylko pan stał w miejscu odważnie, jak na prawdziwego króla przystało.

Antoni Smorąg uśmiechnął się tylko na to wspomnienie, pomału zdmuchnął pianę z jasnego piwa i powiedział.

E tam. To był tylko taki głupi, szwabski żart. Nie takie rzeczy za okupacji się widziało. Mówił to głosem trochę ochryplym, zdartym i niewyraźnym, bo jak mówili jego kumple z „Bonanzy” dawny jego, królewski bas, zżarła astma, papierochy i zimne piwo.

\* \* \*

Wojna wyraźnie miała się już ku końcowi. Zwiastunem tego były rosyjskie samoloty zwiadowcze, takie pyrkające silnikami powolne dwupłaty, które zawieszały na niebie niewielkie spadochrony, na których zapalały się świece tak jasne, że widno było od nich, niczym przy elektrycznych lampach w głównej nawie naszego kościoła. Świat zmieniał się wtedy, stawał się inny, czarno-biały, pełen niekształtnych cieni i nierealnych widoków.

- Zdjęcia fotograficzne przylatują robić, żeby się dowiedzieć, jakie Niemcy umocnienia porobili - twierdził mój brat Staszek i nie wiem czemu, ale nie pozwalał mi wtedy wychodzić na dwór. A ja właśnie, w tych nadzwyczajnych, wieczornych oświetleniach, chciałem zobaczyć, jak wygląda nasz dom, ulica i okolica.

W kilka tygodni potem, całą ulicą Klasztorna w kierunku Nagłowic i Częstochowy, nieprzerwanie toczyła się fala uciekających Niemców. Pośród ciężarówek i innego wojskowego sprzętu sporo też było zwyczajnych, wiejskich furmanek, zwanych wtedy podwodami, które Niemcy razem z woźnicami zabrali okolicznym chłopom. Na tych furmankach jechało pełno niemieckich żołnierzy z obandażowanymi głowami, z rękami na wystających temblakach i z nogami przywiązanymi do desek. Same nieszczęścia wojny. Ludzie mówili, że byli to ranni wermachtowcy pośpiesznie wywożeni z wojskowego szpitala przyfrontowego, jaki w budynku jędrzejowskiego gimnazjum urządzili Niemcy.

Dla nas, Polaków, był to jednak widok piękny. Zaledwie parę lat temu, kiedy wkraczali do naszego miasta, byli pucułowaci, zadbani, elegancy. Teraz zaś wieźli na tych furmankach swoje klęski, zawszone ubrania, smród ropiejących ran i niepewność każdej chwili. W oczach mieli psią pokorę, a napotkanych przy zagrodach ludzi prosili tylko o garnuszek ciepłej wody, który miał im przynieść ulgę i ogrzać ich strach.

Nasza mama postanowiła wtedy, że na czas frontowych przesileń pójdziemy do takiej przyszywanej ciotki Jagody w Sudole, zaraz za klasztorem.

- Bo wiesz, to zawsze wiesz – mówiła - raźniej tam będzie i bezpieczniej.



Byłem u tej ciotki już kilka razy, więc i teraz, niepostrzeżenie wymknąłem się z domu i pobiegłem do sadu, gdzie wdrapałem się na ulubioną gruszę. Stąd, spomiędzy osiwiiałych od szronu gałęzi, patrzyłem na rozległe wokół pola i opustoszałą już drogę na Częstochowę. Było cicho, ale tam, od strony Laskowa, wzdłuż linii dzielącej białe od śniegu pola, od szarego nieba, szły już rzędem radzieckie czołgi. Strzelały, bo co jakiś czas pokazywał się dym i błyskały przy lufach ognie. Do mojego drzewa dolatywały na razie ich dalekie odgłosy, przytłumione i zdawało się niegroźne.

- Złaź stamtąd natychmiast - zawołała matka. - Nie słyszysz? Front ruszył.

W schronie wykopanym pod gospodarską oborą, specjalnie na czas wojny schowały się już obie rodziny. Zabarykadowane drzwi dawały złudne bezpieczeństwo. Nie słysząc tu było jeszcze odgłosów toczącej się wojny, ale moja mama i tak, na wszelki wypadek, rozpoczęła modlitwy.

„Pod Twoją obronę

Uciekamy się

Święta Boża Rodzicielko”.

Miała chyba rację, bo nagle cały schron zaczął drżeć i sypać na głowy piach z rozdygotanej od wybuchów ziemi. Wszyscy już teraz odmawialiśmy modlitwy z jakimś wewnętrznym przekonaniem, że nam, ufającym, nic złego zdarzyć się nie może.

Rosjanie tymczasem byli już we wsi. Nagle zrobiło się cicho, jakby wojna dobiegła już końca, więc wyszliśmy z piwnicy i razem z ludźmi z pobliskich domów pobiegliśmy w stronę klasztoru. Widok przed nami okazał się bardzo wojenny. Jakis pocisk artyleryjski ustrzelił jedną z klasztornych wież. Górna jej część, ta z krzyżem, zwisała teraz w dół, smutnie jakos, jak ła. Nie wiem czemu ale tak jakos plastycznie widok ten odebrałem.

A obok domu parafialnego stały już wtedy dwa sowieckie czołgi z czerwonymi gwiazdami wymalowanymi na pancernych wieżyczkach. Obok nich kręciła się spora już grupka ludzi z Podklasztorza. Witali się serdecznie krasnoarmiejcami, ściskali im dłonie, poklepywali po plecach i częstowali samogonem. Rosjanie okazali się bowiem bardzo swojscy, roześmiani, weseli i po proletariacku serdeczni. Zupełnie inni, niż wyniosli i pańscy Niemcy.

Ci młodzi chłopcy w czapkach uszankach, w dziwacznych, filcowych butach bez obcasów i w watowanych, zatłuszczonych smarami kufajkach tańczyli teraz wokół stojących czołgów do rytmu grającej harmoniszki i śpiewali swoje wesołe piosenki o Katiuszy i miłości, tak, że niektóre dziewczęta, ośmielone ich zwyczajnością, szybko do tańczących Rosjan dołączyły.

- „Rozkwitali jabłoni i grusze” - śpiewano wnet wspólnie, bo nawet słowa piosenki były zrozumiałe a i melodia okazała się skoczna, podobna do naszego oberka.

\* \* \*

Przez Cierno, rodzinną wioskę Janka Hatysa front przewalił się szybko, niepostrzeżenie prawie, tak, że nawet nie było na co popatrzeć. Na niebie tylko pokazały się czasem jakieś nowe, nieznanne dotąd radzieckie samoloty, inne zupełnie od znajomych już „kukuruźników”, bo szybkie i zwinne tak bardzo, że wzrok z trudem za nimi nadążał. Potem zrobiło się cicho. Rosjanie przejechali przez wioskę kilkoma samochodami, jakby chcieli pokazać, że przegonili już Niemców i tyle ich tu widziano. Ludzie wyszli wiec z domów żeby zobaczyć co wojna po sobie zostawiła i rzeczywiście.

- Tu i tam – opowiada Janek – leżały zwłoki zabitych ludzi, Niemcy to byli Rosjanie czy Polacy tego ustalić nie było można, gdyż wszystkie ciała rozebrane już były do naga.

Nie miał wiec racji Janek Hatys twierdząc, że syndrom Olszynki Grochowieckiej znikł już na zawsze z polskiej wsi.

\* \* \*

Wkroczenie Rosjan do Jędrzejowa, albo wyzwolenie, jak wolą inni, nastąpiło gdzieś w południe 14 stycznia 1945 roku.

Gdy front zbliżył się do miasta, rodzina państwa Ciałowiczów dla bezpieczeństwa, jak inni, ukryła się też w piwnicy swojego domu. Przez okienko wychodzące na ulicę Klasztorną próbowali obserwować, co się w mieście dzieje. Schronili się tu także doktor Zenon Rusek oraz późniejszy wizytator Kuratorium Oświaty pan Janek Kordon. Z ulicy dobiegały jakieś

wybuchy na przemian z jazgotem karabinów maszynowych i chyba zgrzyt gąsienic czołgowych na kamieniach jezdni. I potem uczyniła się cisza i to taka nagle i głęboka, że zaczęła budzić strach.

- Wsłuchiwali się w nią wszyscy – wspomina Zbyszek Ciałowicz, aż pan Kordon, który znał rosyjski powiedział, że Rosjanie są już chyba w mieście, bo witają kogoś swoim: zdrastwujcie, zdrastwujcie.

Wszyscy wybiegli więc na ulice, a tam hen, aż pod kapliczkę widać było radzieckie czołgi i siedzących na nich żołnierzy. Ludzie przyjaźnie machali im rękami, krzyтели: witajcie. Niektóre z tych czołgów stawały nawet na moment, żeby te powitania odwzajemnić. Inne czołgi w tym czasie próbowały ich wyprzedzić, aż zrobił się z tego niezły karambol. Jeden z nich zrobił to tak niefortunnie, że przewrócił słup telegraficzny, którym natychmiast zatarasował całą ulicę. Zbyszek mówi, że ten obrazek zapamiętał jakoś szczególnie mocno. Chyba dlatego, że działo się to wszystko jakoś tak bardzo wojennie, jak na filmach lub frontowych fotografiach. Stała tam oszroniona od mrozu kolumna czołgów, przewrócony telegraficzny słup ze zwisającymi do ziemi, iskrzącymi drutami i ludzie wokół witający wyzwoliciele.

Ten niespodziewany postój zwycięskiej armii w sposób chyba spontaniczny wykorzystał jeden z mieszkańców Jędrzejowa, (Zbyszek mówi, że wie kto, ale nie powie, choć pamięta), który tych żołnierzy na czołgach witał w sposób szczególnie ostentacyjny bo chlebem i solą.

Pani Ciałowiczowa skwitowała to potem słowami, że robił to samo w 39 roku, gdy do Jędrzejowa wchodziłi Niemcy.

\* \* \*

Wkraczających na Podklasztorze Krasnoarmiejców bardzo uważnie obserwował z okna swojego mieszkania Józek Gierczak. Stał ukryty za firanką więc widział dokładnie co działo się na ulicy.

Najpierw Niemcy, niby taki wąż bez początku i końca, przesuwali się drogą w kierunku Szczekocin i Częstochowy. Potem nastąpił moment spokoju i nagle, właściwie ze wszystkich stron, zagrzniał front. Ostatni Niemcy uciekali w popłochu, jakieś samochody głośnym trąbieniem torowały sobie drogę, ale było ich coraz mniej i mniej. W końcu ulica opustoszała i zrobiło się cicho, cichutko, jakby wojna na moment wstrzymała oddech.

I oto wtedy zza domu Chudzików wyskoczyła tankietka. Taki odkryty, szybki pojazd na gąsienicach, który wjeżdżał właśnie na ulicę klasztorną na wprost jego okna. Na bokach tej tankietki wymalowane były duże, czerwone gwiazdy, co oznaczało, że byli to krasnoarmiejcy, pierwsi nasi wyzwoliciele.

- Już wówczas kwestionowano to słowo „wyzwoliciele” - mówi Józek Gierczak - ale ja, przyznam szczerze, byłem wtedy wzruszony i bardzo szczęśliwy. Po sześciu latach okupacji ci chłopcy na tankietce, przyjechali odmienić nam życie. W kilka chwil potem całą ulicą Klasztorną w kierunku Nagłowic ciągnął nieprzerwany sznur czołgów i samochodów na których siedzieli radzieccy żołnierze. Ludzie wiwatowali na ich cześć, bo przecież przepędzili Niemców i obiecali nam wolną Polskę. Trwał więc festyn nadziei, radości i pojednania.

Tymczasem chodnikiem od strony klasztoru kilku bojców prowadziło niemieckiego żołnierza. Szedł pod karabinami z uniesionymi do góry rękami, taki teraz zwyczajny, przegrany Szwab. I wtedy z któregoś z czołgów zeskoczyło paru żołnierzy, coś zagadali z eskortą, uzgodnili pewnie podział łupów, bo wnet kazali jeńcowi ściągnąć buty z nóg i opróżnić kieszenie. Odbezpieczyli potem swoje pepesze i powiedzieli „bierzaj”, co znaczyło uciekaj.

I wtedy stała się rzecz niesłychana. Bo oto Polacy, którzy jeszcze godzinę temu jęczeli pod hitlerowskim batem, zaczęli prosić tych krasnoarmiejców, żeby temu niemieckiemu jeńcowi darowali życie. Co im przyjdzie z jednego, przestraszonego szwaba?

Rosjanie jakby się zgodzili, powiedzieli do niego; „nu, idy w czortu”, a w sekundę potem oddali mu w plecy trzy krótkie serie z pepeszy. Jeniec upadł na ziemię, a zwycięzcy bajcy, jakby nigdy nic, wskoczyli na czołg i ruszyli „na Berlin”.

- Sceny mordu na jeńcu nie zapomnę do końca życia – mówi Józek Gierczak - Podobnie zresztą jak ludzkiego odruchu moich rodaków, chcących go ratować.

A na ulicy wciąż trwało witanie Rosjan. Józek zapragnął wtedy zobaczyć, jak Sowieci pokonali stalowe kozły ustawione przez Niemców na ulicy Pińczowskiej. Był ubrany w taką kurtkę uszytą z koca, bardzo w kolorze podobną do niemieckich

czarnych uniformów. To zapewne spowodowało, że w pewnej chwili usłyszał; stoj i ruki wierch. Zatrzymał go jakiś podпиты sołdat, bo wyraźnie jechało od niego samogonem.

- Ty kuda? – zapytał.

Józek próbował tłumaczyć, że on tutejszy, że wyszedł tylko z domu na chwilę. Sołdat na to skinął mu głowa i powiedział: „nu da, ładno, bierzaj”..

Ale Józek już wiedział, co to „bierzaj” u nich znaczy. Tamtemu niemieckiemu jeńcowi też tak kazali. Skoczył więc w bok, jak wystrzelony z katapulty i pognął przed siebie. Z dala słyszał tylko stoj! stoj i kilka wystrzałów.

\* \* \*

Pierwsze oddziały frontowe, szybko jakoś przeleciały przez miasto i Jędrzejów został nagle pozostawiony samemu sobie. Czego nie zdążyli zniszczyć uciekający Niemcy lub wkraczająca armia radziecka, tego dokonali sami Polacy.

Już wieczorem wybuchło w mieście kilka pożarów. Paliło się gimnazjum i drukarnia na rogu Rynku i Pińczowskiej oraz spora część ulicy Klasztornej, w tym również dom Ciałowiczów.

Te pożary nie były dziełem wojny. Wzniecili je sami Polacy. Różni rabusie i złodzieje gdy nie mogli sforsować okiennic lub drzwi do jakiegoś sklepu czy budynku, to je po prostu podpalali. Na tej samej pewnie zasadzie, płonęły już wielkie niemieckie magazyny żywnościowe przy czarnej drodze obok kolejki wąskotorowej. Cały Jędrzejów tam pobiegł.. Mimo żaru i ognia szturmowano drzwi i rozbijano ściany, bo podobno były tam konserwy mięsne, kawa, wina i herbata. Wśród tłumu byli także radzieccy żołnierze. To oni strzelali w górę ze swoich pepesz, żeby rozproszyć tłum i dostać się do skarbów. Pośpiech był tu konieczny, bo ogień, którego nikt nie gasił, obejmował kolejne części magazynów.

Maniek Porębski z Podklasztorza mówił nam potem, że widział żołnierzy rosyjskich, jak prosto ze swoich czapek uszanek jedli cukier, albo rękami, prosto z rozbitych beczek czerpali spirytus albo inny jakiś płyn. Całą noc trwała taka krzątanina, aż przyszedł dzień i okazało się, że nie ma już czego rabować. Mimo to ludzie wciąż szukali, rozgrzebywali popioły, bo nuż, zostało tam jeszcze coś do jedzenia, bo bieda w mieście była wciąż ogromną, a chęć przeżycia równie wielka.

\* \* \*

Trzeba przyznać, że to radzieckie wyzwolenie, najbardziej dramatycznie przeżył Janek Zajęc. Do jego Jakubowa Rosjanie weszli prawie niepostrzeżenie, chyba dlatego, że wioska leżała na uboczu, z dala od traktów, którymi Sowietci gonili uciekających Niemców. Rano więc, jak co dzień, poszedł Janek do obory zadać krowie siana do żłobu i wtedy doleciało go warczenie motoru, na wsi rzecz wówczas niezbyt częsta. Wybiegł więc na podwórko i nagle usłyszał dwie, albo trzy takie krótkie, urywane serie wystrzałów. Niczego jeszcze wtedy w sobie nie poczuł, żadnego bólu, tylko jakieś dziwne ciepło, oblewające ciało, aż po włosy na głowie. Gdy otarł czoło ręką, zobaczył krew. Chciał szybko pobiec do domu, ale upadł po paru krokach, jak to wtedy mówiono, bez ducha.

Dowiedział się potem, że do domu przyniósł go radziecki żołnierz pewnie z tego samego czołgu, co strzelając jechał przez wieś. Sprowadził potem ich „wracza”, czyli wojskowego lekarz a ten opatrzył Jankowi rany, poklepał po policzku i powiedział: Wsio budet charaszo.

Ale rany, niestety, goić się nie chciały. Miał ich prawie dwadzieścia, z odłamkami w środku, tak trudnych wtedy do wydobywania, że niektóre z nich nosi Janek do dziś, jak pamiątkę z tamtej, wojennej przygody.

Wylizal się jednak. Żaden lekarz go nie oglądał, nie dezynfekował ran, tylko mama codziennie gotowała bandażę z płótna i robiła okłady z szaflwii i rumianku, aż po dwóch miesiącach Janek wstał z łóżka. Do pracy u krawca Janek już nie wrócił.

I tu muszę przytoczyć, pewne proroctwo, jakie przytrafiło się Jankowi, wtedy właśnie, gdy do jego wioski wkroczyli Rosjanie.

Otóż, jakoś na początku zimy, przysła do domu państwa Zajęców Cyganka z dzieckiem na ręku i poprosiła o pomoc w przeczekaniu zimy.

- Może być w oborze z bydłem – mówiła, - albo w stodole, byle nie zamarznąć.

Zającowie oczywiście nie odmówili, choć wiązało się to z dużym ryzykiem. Niemcy bowiem traktowali Romów podobnie jak Żydów z przeznaczeniem do likwidacji. Dom Zajaków był w dodatku malutki, jednoizbowy, w którym gnieździła się cała ich pięćoosobowa rodzina. Co wieczór teraz tata Zajac przynosił Cygance do spania wypakowany słomą siennik, a rano zapraszał do stołu na wspólne posiłki. Tak doczekali Rosjan. Gdy już odchodziła szukać swojego cygańskiego taboru, powiedziała do gospodyni.

- Pozwólcie pani, że powrózę. W podzięcie za wasze serce.

- E, co tam, nie trzeba krygowała się gospodyni. Ale Janek, jak to dziecko, wyciągnął dłoń i powiedział.

- Mnie powrózcie, mnie.

- To daj chociaż jajko, żeby wróżba była szczęśliwa - zażartowała Cyganka.

Janek tamtą wróżbę zapamiętał dokładnie, bo sprawdziła się co do joty. Cyganka przez chwilę patrzyła w jego dłoń a potem powiedziała do mamy.

- Będziesz pani miała z niego pociechę, oj będziesz. Szkoły wysokie skończy i ludzi sądzić będzie... (dla przypomnienia dodam, że Jan Zajac był przez wiele lat Prezesem Sądu Wojewódzkiego w Kielcach, a także Sędzią Trybunatu Stanu Rzeczypospolitej Polskiej).

Ale jak już piszę o prorocत्वach, to opowiem jeszcze o jednym. Trochę tym odbiegnę od tematu wojny, ale, co tam. Prorocтва są fajne, więc posłuchać warto.

Otóż Waldek Wiejacz już jako Polski Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny we Włoszech został zaproszony przez włoskich Cystersów do ich klasztoru w Casamare. Przyjmowany był tam bardzo serdecznie, zwłaszcza gdy powiedział, że pochodzi z Jędrzejowa gdzie też są Cystersi. Gospodarze poprosili go wtedy, żeby przekazał ich braciom w Jędrzejowie pozdrowienia i upominki w tym gąsiorek nalewki ich własnej produkcji.

Waldek oczywiście prośbę spełnił i bodaj w roku 1987 odwiedził jędrzejowskich Cystersów. Tutaj też przyjęto go z całą atencją, oprowadzano po klasztorze, ugoszczono uroczystym obiadem i kiedy wizyta miała się już ku końcowi jeden zakonnik- staruszek powiedział:

- A ja pana Ambasadora pamiętam. Pan przed laty był u nas w klasztorze ministrantem, prawda?

- Tak, rzeczywiście - odpowiedział Wiejacz

Zawsze był pan taki taktowny i ułożony, że już wtedy ojciec przeor prorokował, że albo zostanie pan biskupem, albo dyplomatą.

No i sprawdziło się.

\* \* \*

Tymczasem, wojska radzieckie, teraz chyba ich drugi rzut, wciąż przetaczały się przez Jędrzejów. Jechali pomału nieustającą kolumną czołgów, armat, dział samobieżnych i sławnych już wtedy „Katiusz”. Cała pancerna armia generała Rudenki ciągnąca na zachód, na Berlin jak wtedy mówiono. Czasem zatrzymywali się, aby odpocząć i wtedy my chłopcy biegliliśmy do nich, żeby pogadać, bo język mieli, aż dziw jak podobny do naszego i chęci do rozgaworów sporo.

Pytaliśmy ich wtedy podstępnie, co oznaczają te litery na ich armatach i samochodach: made in USA?

A oni odpowiadali, że znaczy to: „Ubijom Sukinsyna Adolfa”.

Dopiero gdzieś po tygodniu, gdy wojna pognała hen na zachód, zaczęło ciągnąć za nią zaplecze całego frontu. Te wszystkie kuchnie polowe, wozy sanitarne, oddziały sprzątające ciała na pobojowiskach. Jechały setki takich małych furmanek zaprzężonych w oszronione mrozem koniki, bardziej przypominające chłopskie wozy, niżli wojsko zwycięskiej armii. Często na odpoczynek zatrzymywali się u nas, na Podklasztorzu w niecce po dawnym stawie, gdzie latem pan Bijak miał ogród warzywny a potem był stadion „Naprzodu”

Nie wiadomo skąd o tym zacisznym miejscu wiedzieli, ale zjeżdżali tu kilka razy z tymi swoimi tobołami i wtedy było w nich coś z wędrowek dawnych, koczowniczych plemion szukających dla siebie miejsca na popas i odpoczynek..

Biegaliśmy tam z chłopakami popatrzeć na ich obóz podobny do cygańskiego, na ich konie puszczane luzem i słuchaliśmy ich śpiewów tęsknych i zawodzących. Była zima, więc wszystko wokół miało srebrny kolor i mgły między taborami i dym znad ich ognisk. Kiedy razem ze świtaniem ruszali w dalszą drogę, zostawiali po sobie dymy dogasających ognisk i wyraźnie wyczuwalny zapach legowiska i żołnierskich onuc.

\* \* \*

Co by dzisiaj nie powiedzieć o tamtych dniach, zaraz po wkroczeniu Rosjan do Jędrzejowa, to wszyscy byli w jakimś stopniu szczęśliwi.

Teraz może być tylko lepiej, mówili, bo źle już przecież było. Wojna wprawdzie toczyła się gdzieś tam dalej, bo nocami jak dawniej słychać było ciężkie warczenia samolotów lecących z bombami na zachód, ale nie był to już strach ten sam co kiedyś. Coraz częściej mówiło się też o nowej Polsce. Nikt jeszcze nie wiedział jaka ona będzie. Taka jak przed wojną? Albo lepsza, jak chcieli inni, bo demokratyczna i sprawiedliwa dla wszystkich. W ogóle czas był wtedy wyjątkowy. Zaczynali wracać do domu ludzie wywiezieni za okupacji do Niemiec na przymusowe roboty, lub do oświęcimskiego obozu śmierci i każdy taki powrót był nadzieją dla innych, czekających wciąż na bliskich z tym większą teraz niecierpliwością, bo wojna właśnie dobiegła końca.

Pierwszy o tym dowiedział się z radia nasz proboszcz i od razu kazał kościelnemu bić we wszystkie klasztorne dzwony. Ludzi to oczywiście poruszyło. Coś ważnego musiało się wydarzyć - mówili - bo ani to na Anioł Pański był czas, ani na nieszpory. Tymczasem od strony kolejki ruszyła wnet zorganizowana na poczekaniu orkiestra dęta naszej wąskotorówki. Całe Podklasztorze ruszyło za nią. Szliśmy w rytm ich grania w stronę Rynku, wolni nareszcie i szczęśliwi.

A tam stary, magistracki woźny pan Maj, już od godziny walił w bęben i oznajmiał wszem i każdemu z osobna, że najokrutniejsza z wojen dzisiaj właśnie została zakończona.

- Ludzie! – wołał między jednym uderzeniem w bęben a drugim.

- Ludzie! Niemce zostały pobite. Wygrali my wojnę. Ludzie! Mamy znowu Polskę. Mamy Polskę. Ludzie!

Wiść o ostatecznej kapitulacji Niemiec rozniosła się wnet po mieście i na rynek zaczęły ściągać tłumy. Wielu dowiedziało się dopiero teraz, że właśnie padł Berlin i zakończyła się najokrutniejsza z wojen. Sześć długich lat czekali przecież na ten dzień, który właśnie nastał. Nic już teraz ponad tamte okupacyjne okrucieństwa nie mogło być gorsze. Nic i nigdy.

- Da, nikądga bolsze – odpowiadali nam radzieccy oficerowie z balkonu Ratusza. Obok nich stali jacyś ludzie z czerwonym transparentem, na którym sławiono nierozzerwalną od dzisiaj przyjaźń z bratnim Związkiem Radzieckim. Nie dziwiło to wtedy nikogo. Rosjanie wygonili przecież Niemców i oni byli teraz symbolami zwycięstwa i co dopiero odzyskanej wolności. Krzyczano więc głośno i zgodnie: Niech żyje pokój na świecie! Niech żyje zwycięska Armia Czerwona! Niech żyje Polska!. Orkiestra kolejowa zagrała wtedy „Boże coś Polskę” i wszystkim od razu zaszklify się oczy.

Potem zaczęły się przemówienia przedstawicieli nowej władzy z burmistrzem na czele. Mówili, że właśnie przyszedł czas, żeby w oparciu o bratnią pomoc Związku Radzieckiego stworzyć Polskę nową, sprawiedliwą i demokratyczną, która stanie się prawdziwą matką dla wszystkich jej dzieci. Tłum im oczywiście wtórował. Krzyczał, że co racja, to racja, w Ojczyźnie musi być teraz dostatnio i sprawiedliwie.

- Niech żyje wolna Polska - zawołał potem ktoś z tłumu.

- Niech żyje władza robotniczo – chłopska – dorzucał ktoś inny.

- I największy przyjaciel naszej Ojczyzny, Generalissimus, Józef Stalin – zawołał na koniec ktoś z magistrackiego balkonu.

- Niech żyje! Niech żyje! – odpowiadali ludzie. I żeby nigdy więcej nie było wojny i żeby zawsze był pokój.

Echo odbijało te nasze okrzyki od kamienic na rynku, mieszało z dźwiękami trąb orkiestry dętej i zlewały w jeden wspólny śpiew: Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

Po sześciu latach niemieckiej niewoli śpiewaliśmy znów nasz narodowy hymn z całym patriotycznym uniesieniem aż dławiące w gardłach łzy zaczęły odbierać nam głos.

Stałem wtedy obok naszego sąsiada, starego pana Sobolewskiego, który dużą chłopską dłonią wycierał załzawione oczy.

- Czemu pan płacze? – zapytałem - a on pogłaskał mnie po głowie i odpowiedział.

- Bo jestem szczęśliwy synku. Bo jestem szczęśliwy.

Mnie wtedy też zaczęło się robić dziwnie jakoś, ckliwie i rozlewnie i kiedy zobaczyłem, że większość ludzi ociera łzy rozbeczałem się również. Głośno i serdecznie.

O roku ów!

\* \* \*

W kilka dni potem gruchnęło w Jędrzejowie, że doktor Ciałowicz wcale nie umarł, a żyje.

Jako pierwsza poinformowała o tym gazeta frontowa jaką zaraz po wkroczeniu Rosjan do Jędrzejowa rozdawano za darmo na ulicach.

Dostałem od Zbyszka Ciałowicza jej poźółkły już egzemplarz, więc mogę go tu zamieścić w oryginalnym brzmieniu.

## **NOWE ŻYCIE**

### **GAZETA FRONTOWA DLA LUDNOŚCI POLSKIEJ**

Środa, 6 czerwca 1945, strona 5

#### **L. Proksza - Z notatnika oficera**

##### *Zmartwychwstanie*

*Działo się to podczas sławnego natarcia od Wisły po Odrę. Cały świat pamięta, jak niesłychanie szybko posuwały się rosyjskie pułki po ziemi polskiej. Blitzkrieg? Gdzież tam. Porównania nawet nie ma. Szliśmy dniem i nocą. Tam, gdzie śniadaliśmy, nie jedliśmy już obiadu, tam gdzieśmy obiadowali nie spożywaliliśmy kolacji, a nawet tam gdzieśmy jedli kolację, nie zawsze nocowaliśmy. Pamiętam, że do Jędrzejowa wkroczyliśmy przed świtem. Zaszliśmy do pierwszego napotkanego domu i momentalnie, kto gdzie i jak mógł, legliśmy spać. Po jakichś trzech godzinach zbudził mnie niezwykle hałas, dochodzący z sąsiedniej izby. Co się stało? Ubrałem się i otworzyłem drzwi. Niewielka izba pełna była ludzi. Nie zdążyłem ust otworzyć, aby powiedzieć: Dzień dobry, kiedy usłyszałem koło siebie piskliwy głos gospodyni:*

*- Wyobraź pan sobie, co się stało.*

*- No, co takiego?- zapytałem.*

*- Nie, pan sobie tego wyobrazić nie może.*

*- Niemcy wrócili?*

*- Niech Pan Bóg broni! Gdzie im tam wracać. Oni wrywają tak, że nie wiem czy ich dogonicie...*

*- No więc co się stało?*

*- Ach, tego się nie da opowiedzieć w dwóch słowach. Proszę usiąść i posłuchać.*

*- Czy pan wierzy w życie pozagrobowe?*

*- Nie.*

*- A w zmartwychwstanie?*

*- Także nie.*

*- Ach, prawda. U was w Rosji przecież nie wierzą w Boga.*

- *Wcale tak nie jest. U nas jest wolność sumienia: chcesz – modlisz się, nie chcesz - nie modlisz. Możesz wyznawać dowolną religię, albo nie wyznawać żadnej..,*

- *I kościoły są?*

- *Co za pytanie. I kościoły są i duchowieństwo i nabożeństwa się odbywają. U nas kościół oddzielony jest od państwa tak jak w Ameryce - powiedziałem do stojącej z lewej strony ode mnie kobiety z gładko zaczesanymi włosami.*

- *A właśnie, że nie jest oddzielony sprzeciwił się inny mężczyzna z maleńkim' wąsikiem Ja byłem w Ameryce, to wiem chyba najlepiej*

- *Ale dajcie panowie święty spokój z tą Ameryką -syknęła gospodyni do wszczynających spór mężczyzn. I zwracając się do mnie, rzekła: opowiem panu teraz takie zdarzenia które zmieni zapatrywania pana na życie pozagrobowe i na zmartwychwstanie. Usiadła na podanym jej krześle naprzeciw mnie i rozpoczęła swoją opowieść.*

- *Nasz lubiany i szanowany przez wszystkich w Jędrzejowie doktor Ciałowicz umarł. Wieść o tym całe miasto obiegła i wstrząsnęła nim. Nie chciało się wierzyć. Doktor był młody i zdrowy. Wprawdzie w ostatnich dniach był zamyślony i smutny czymś rozstrojony, lecz pomimo wszystko wyglądał dobrze. Nie leżał w łóżku, nie chorował, a nagle umarł. Nie chciało się w to uwierzyć, ale trudno: ciało doktora leży w trumnie, nad nim stoi z głową pochyloną jego młoda, owdowiała żona. Wszyscy wiedzieli, że doktor w przedzeń śmierci wezwany był do gestapo. Przyszedł stamtąd rozstrojony, nie jadł kolacji, położył ślę i... umarł. Nikt nie wiedział o czym mówiono z doktorem w gestapo i czym go tak maltretowano. Lecz wiadano, iż narażając się na niebezpieczeństwo, ratował młodzież przed wywiezieniem na roboty ciężkie do Niemiec, Wydawał młodzieży fikcyjne zaświadczenia o złym stanie zdrowia, okazywał szczere wczucie pochwyconym w czasie obław*

- *Ach, to był złoty człowiek. Do niego uciekali się wszyscy potrzebujący pomocy lekarskiej. I oto leży nieporuszony. Ludzie strumieniem płyną do jego domu, by pożegnać się nim.*

*Wieść o nagłej śmierci doktora doszła i do gestapo. Przed dom zajechał samochód pełen gestapowców. Tłum rozstąpił się, robiąc im przejście.*

*Gestapowcy podeszli do zwłok lekarza, zaczęli brutalnie obracać trupa na wszystkie stron, szczypać pincetką, kłuć igłami, macać puls.*

- *Richtig. Todt — oświadczył wreszcie jeden' z nich, opuszczając rękę doktora i wszyscy oddalili się zaraz. \*'*

*W tym samym dniu odbył się pogrzeb. Zwłoki doktora odwieziono na cmentarz puszczone do grobu i przysypano ziemią. W ciągu 4 lat, co dzień prawie przychodziła na grób młoda wdowa i długo stała, pogrążając się w modlitwie. W tym miejscu opowiadająca otarła łzę i śmiejąc się wykrzyknęła.:*

- *I co pan powiesz na to: wczoraj wasze wojska weszły do Jędrzejowa, a dziś doktor zmartwychwstał. Całe miasto go widziało. Idzie przez ulicę, wesoły i życzliwy i uchyla kapelusza. Kłania się wszystkim znużony*

- *Trudno uwierzyć — uśmiechnąłem się.*

- *Prawda, prawda... Jak Boga kocham na własne oczy widziałem – zaczęli mię upewniać jeden przez drugiego wszyscy obecni.*

- *W takim razie doktor wcale nie umierał — powiedziałem.*

- *A pogrzeb, a gestapo, a wszystko to, co opowiedziałam panu? A zresztą, jeśli, pan chce, może pan sam zajść do doktora. Wytłumaczyła mi dokładnie którędy się tam idzie. Wybrałem się z wizytą. Dzień. był niezwykle piękny. Wszystko kąpało się w promieniach słońca. Ulice pełne były ludzi. Powychodzili ze wszystkich piwnic i szczelin, w których chowali się w ciągu pięciu lat. Być może dlatego i słońce było dla nich tak przyjazne. Idąc bez pośpiechu, wsłuchując się w rozgwar zmartwychwstałej ulicy, wyobrażałem sobie i obmyślałem spotkanie z doktorem.*

- *Więc mam zaszczyt rozmawiać z doktorem – nieboszczykiem – powiem przedstawiając się.*

*Doktor roześmieje się, opowie smutną historię o tym, jak to zmuszony był „umrzeć”. Jak zrobił sobie zastrzyk i jak potem ukrywał się przez całe cztery lata.*

*Tak rozmyślając o niezwykłym spotkaniu poszedłem przed dom doktora. Zapukałem. W drzwiach pojawiła się dama w podeszłym wieku, która nie utraciła jednak dawnej piękności. Na obliczu jej malowało się znużenie i smutek.*

- *Na pewno żona – pomyślałem zapytałem.*

- *Przepraszam, czy tu mieszka doktor Ciałowicz?*

- *Tu – odpowiedziała.*

- *No pięknie, ucieszyłem się w duszy- więc zmartwychwstał rzeczywiście.*

- *A pani jest na pewno jego żoną.*

- *Tak żoną — odpowiedziała z roztargnieniem.*

- *Proszę mi powiedzieć, czy mógłbym zobaczyć się teraz z doktorem?*

*Dama głęboko westchnęła i nie od razu odpowiedziała.*

- *Niestety. Już cztery lata przeszło, jak doktor umarł.*

*Wydało mi się, że kobieta przestraszyła się mnie, oficera obcej armii, którą hitlerowcy tyle lat oczerniali.*

- *Proszę mi wierzyć. Przyszedłem do was z najlepszymi zamiarami. Proszę nie ukrywać: ja wiem wszystko. Doktor umarł dla Niemców. Lecz w ogóle nie umarł...*

- *Nie boję się pana, lecz to jednak prawda. Doktor już cztery lata leży w grobie.*

- *Jak to, i nie zmartwychwstał?*

- *Nie - gorzko uśmiechnęła się na widok mojego szczerzego zdumienia.*

- *W takim razie, przepraszam...*

- *Proszę, proszę. Nie pan pierwszy zwraca się do mnie z takim zapytaniem. 18 osób było już tutaj u mnie.*

- *No co? Był pan? Widział? - zerwawszy się z miejsc, zarzucili mnie wszyscy pytaniami, gdy z powrotem wszedłem do izby. Popatrzyłem na ich promieniejące twarze i znalazłem w-nich odpowiedź, dlaczego doktor zmartwychwstał: To oni zmartwychwstali i zdaje się im, że zmartwychwstaje wszystko. Nie chcąc odbierać im ich radości, odpowiedziałem:*

- *Niebywałe zdarzenie.*

*Hałas w izbie wzmógł się jeszcze bardziej. Mówili wszyscy, starając się jeden drugiego przegadać. Ktoś upewniał, że również rozmawiał z doktorem. Ktoś przypomniał sobie o jakimś powieszonym przez gestapo i udowadniał, że widział go gdzieś idącego. Radzili mi nawet pójść, do powieszzonego, lecz na szczęście wezwano nas do sztabu. Nie zdążywszy nawet zjeść obiadu, pomknęliśmy na „Willisie” w kierunku Częstochowy.*

Pytam Zbyszka Ciałowicza, jak to naprawdę było z jego ojcem?

Wcale nie tak, jak napisał ów wojenny korespondent. Nie zakopano trumny w ziemi, ale złożoną ją w cmentarnej kaplicy. Mama bowiem chciała pochować ojca w jego rodzinnych Słomnikach, ale trwała wojna, więc wciąż przesuwano ten termin z roku na rok, do lepszych, spokojniejszych czasów i dopiero po tamtej historii ze zmartwychwstaniem, zwłoki ojca spoczęły na właściwym miejscu. Wtedy ta niezwykła historia ze zmartwychwstaniem ojca miała oczywiście posmak takiej okupacyjnej sensacji. Kto ją stworzył i po co? Tego nigdy nie dało się dociec. Ale legenda została.

\* \* \*

Wczesną wiosną, gdy Rosjanie zdomowili się już w Niemczech, ruch wielkiej, sowieckiej armii zmienił kierunek. Rosjanie wracali teraz na wschód, do siebie i przez nasze miasteczko znowu przewalały się tabuny żołnierzy. Każdego wieczora zajmowali nasze domy na swoje kwatery i wyciągali z worków zdobyczne trofea. Kwitł wtedy handel wymienny, jak za dawnych Słowian. Za butelkę samogonu i kilka główek cebuli można było dostać sporo cennych rzeczy. Maszynę do szycia marki „Singer” na przykład, albo rower damkę z szerokimi kołami, albo radioodbiornik zakazany wcześniej przez Niemców.

Hirek Zdun zza gipsiarni, który za Niemców pracował w młynie „Róż” u pana Klimczaka w taki właśnie sposób przykrył mięciutkim, perskim dywanem glinianą podłogę w swojej chałupie. Opijali go potem z żołnierzami na kwaterze chyba za mocno, bo na drugi dzień jego żona długo czyściła dywan z rzygowin i papierosowych skrętów.



# Wolność z nadania Jałty

Na początku to ta wolność rzeczywiście była. Upajano się nią nawet, demonstrowano polskość biało-czerwonymi flagami, celebrowano wszystkie zakazane potem święta 3 Maja i 11 Listopada. Burmistrz Konczewski prowadził księdza Stycznia pod rękę na procesjach Bożego Ciała, tak samo zresztą jak w Warszawie premier Cyrankiewicz kardynała Hlonda. Działo stare, dobre skautingowe harcerstwo w szkołach, uczono z przedwojennych podręczników, a żołnierze podziemia chodzili po Jędrzejowie w chwale i sławie. Dopiero potem zaczęto pomału i stopniowo przykręcać nam ideologiczną śrubę.

Zaraz jednak po wojnie nasze miasto ożyło i odetchnęło pełną piersią.

Najpierw było trochę wiecowania na Rynku i dyskusji jak powinniśmy teraz żyć, kto się przysłużył bardziej a kto mniej do odzyskanej właśnie wolności, sporo ujawniło się wtedy prawdziwych, ale również upozorowanych bohaterów. Z tych pierwszych wielu trafiło potem do ubeckich więzień, farbowanych zaś wyniesiono wnet do różnych znaczeń i godności.

Tylko ludzie, którzy już potrafili oddzielić ziarno od plew wiedzieli doskonale, że najbardziej bohaterskimi z wszystkich bohaterskich czynów były wtedy nasze mamy. Te zwłaszcza, które samotnie wychowywały dzieci, utrzymywały domy i potrafiły jeszcze działać w strukturach akowskiego podziemia.

Ich mężowie gdzieś tam ciągle walczyli na wojnie, albo cierpieli w niemieckich obozach koncentracyjnych lub umierali w sławetnych sowieckich łagrach. Na ich barki spadał codzienny ciężar utrzymania rodziny, a także wychowania i wykształcenia dzieci. Zaharowywały się więc w tej swojej samotnej walce o każdy następny dzień i każdy kolejny rok przetrwania. Nie chorowały, nie były przepracowane, nie narzekały, nie brakowało im sił, były zawsze pogodne, ale umiały też, gdy było trzeba, sięgnąć po ojcowski pas i wymierzyć sprawiedliwość za uczynki niegodne.

My, pokolenie tamtych lat, znaliśmy dobrze domy w naszym Jędrzejowie gdzie rządziły same mamy. Z ich dziećmi chodziliśmy do tych samych szkół, siedzieliśmy razem w ławkach i graliśmy na podwórkach w piłkę.

Na tych więc kartach chcemy im za to wszystko złożyć należny hołd. Pani Chatysowej, która samotnie wychowała i wykształciła cztery córki. Pani Gierczakowej za trzech synów. I w równej mierze: p. Afanasjew, p. Ciałowicz, p. Dębskiej, p. Jarosińskiej, p. Kalinin. p. Kiryłowicz, p. Ostrowicz, p. Olkowskiej, p. Grac, p. Wołkowej, p. Zajtz, p. Zandfos, że wymienimy tylko zapamiętane nazwiska. I nieważny jest tu fakt, że niektóre z tych rodzin straciły ojców już po wojnie, kiedy to władza ludowa zsyłała akowców lub przedwojennych policjantów na białe niedźwiedzie. Bo wszystkie matki były wtedy wspańiałe.

\* \* \*

Ponieważ życie nie lubi próżni, więc i nasz Jędrzejów zaczął wnet wracać do normalności. Najwcześniej zabrali się do tego nauczyciele, którzy już pod koniec lutego 1945 roku zarządzili rozpoczęcie nowego roku szkolnego. My z Podklasztorza zaczęliśmy go w starym, przyklasztornym budynku, gdzie za carskich czasów mieściło się Seminarium Nauczycielskie, gdyż naszą „trójkę” przy ulicy kolejowej spalili Niemcy.

W niedzielę na sumie ksiądz proboszcz Kiełb ogłosił z ambony, że każde dziecko powinno przynieść do szkoły swój taboret lub krzeselko, zaś rodzice winni zadbać o stoły, żeby uczniowie mieli przy czym siedzieć na lekcjach.

Po sześciu latach niemieckiej niewoli mieliśmy znowu zasiąść w uczniowskich ławkach. Z wrażenia w nocy nie mogłem zasnąć. Wielu z nas nie miało przecież pojęcia, jak wygląda prawdziwa szkoła, taka z tablicą do pisania, dzwonkiem na przerwy i katedrą dla nauczyciela. Ciekawość była więc ogromna.

Wcześniej jednak któregoś popołudnia matka wyszykowała mnie szczególnie uroczyście i powiedziała, że pójdziemy podziękować panu nauczycielowi Osińskiemu, który w wielkiej konspiracji uczył nas w czasach niemieckiej okupacji pisać, czytać i rachować, a także historii ojczystej, słowem wszystkiego, co było obowiązujące w przedwojennej szkole podstawowej. Był to bowiem nauczyciel z tych uniwersalnych, oddanych bez reszty swojej pracy, mądry i patriotyczny, chociaż nieraz w trakcie owej konspiracyjnej nauki wydawał nam się jakby trochę nudny i monotematyczny w przywiązaniu do narodowych symboli.

- Bo Polska musi trwać – tłumaczył na swoich lekcjach. To nic, że nie ma jej teraz na mapach świata. Kiedyś wstanie, odrodzi się z waszych serc.

I oto tamtej niedzieli przyszła do pana Osińskiego cała trójka jego konspiracyjnych uczniów: to znaczy: Jurek Klimczak, Kubek Jarosiński i ja. Usiedliśmy przy stole w salonie, na którym leżał już duży kajet formatu A-4 zastępujący w tamtych czasach dziennik lekcyjny. I wtedy pan Osiński odziany też odświętnie z aksamitną kokardą pod szyją usiadł naprzeciw nas i każdemu zaczął odręcznie, na kratkowanym papierze, wypisywać świadectwo szkolne.

- Chłopak jest zdolny - mówił do mojej matki - chociaż łobuz i leń, ale wystawię mu dobre stopnie, niech ma na początek dalszej edukacji w wolnej już, polskiej szkole. Umoczył stalówkę pióra w kałamarzu z atramentem i zaczął pomału kaligrafować moją cenzurkę.

- Ja, Karol Osiński, nauczyciel dyplomowany, zaświadczam z całą odpowiedzialnością, że Andrzej Kalinin, syn Józefy i Włodzimierza, wyznania rzymsko - katolickiego, urodzony 25 listopada pobierał u mnie nauki na tajnych kompletach w zakresie szkoły podstawowej i ukończył cztery jej oddziały z ogólnym wynikiem dobrym. Świadectwo niniejsze wydaje się dla potrzeb władz oświatowych w celu...”

- Czemu pan nie napisze, że zdał z wynikiem bardzo dobrym - dopytywała się moja matka.

- Bo na tyle zasłużył - odpowiedział pan Osiński - Szkoła, proszę pani, powinna być szkołą i zawsze oceniać sprawiedliwie.

\* \* \*

Inauguracja, taka już oficjalna, pierwszego, powojennego roku szkolnego, odbyła się na starym boisku „Naprzodu” obok klasztoru cystersów, pod masztem z pięknie powiewającą na wietrze białą - czerwoną flagą. Była nas spora gromadka dzieci, trochę przez wojnę opóźnionych w nauce, ale tego dnia odświętnie ubranych i stosownie do okoliczności bardzo podekscytowanych.

Nauczyciele ustawili nas w dwuszeregu i wezwali do odśpiewania hymnu narodowego. Pamiętam ten moment. Śpiewaliśmy głośno z sercem podchodzącym gdzieś pod krtań, bo była przecież w tych słowach cała nasza radość, że rzeczywiście nie zginęła i nigdy nie zginie, póki my żyjemy.

Kierownik szkoły, pan Czesław Tyszkiewicz zapytał potem.

- Kto z was umie pisać i czytać, niech podniesie rękę do góry.

- A kto zna tylko cyfry i litery?

- A kto niczego nie umie?

Z tych ostatnich utworzono klasę pierwszą. Pozostałych zaś przydzielono odpowiednio do klasy czwartej, piątej i szóstej.

No i zaczęła się szkoła.

Zbyszek Ciałowicz mówi, że pierwsze, co najbardziej zapamiętał ze swojej podstawówki, to były kałamarze z atramentem. Zmora i utrapienie tamtych lat. Robiło się wtedy taki strzał z kartek wyrwanych z zeszytu, maczało w kałamarzu z atramentem i zzzuu w kolegę, albo w białą bluzkę którejś z dziewczyn.

Ręce i ubranie w związku z tym miałem zawsze w czarnych albo niebieskich plamach w zależności od koloru atramentu w kałamarzach.

Jakie ja lania za to od mamy dostawałem, lepiej nie wspominać.

Czwartą klasę rozpoczynał już Zbyszek w nowo otwartej Szkole Ćwiczeń przy Liceum Pedagogicznym. Kierownikiem był pan Seweryn Ciekalski, znany i zasłużony dla oświaty pedagog. Wychowawczynią zaś pani Felisowa, żona ówczesnego starosty. No i zaczęła się nauka.

\* \* \*

O swojej pierwszej po wojnie szkole opowiada również Janek Zajac. Już w marcu w Imielnie otworzono u nas taką gminną, siedmioklasową podstawówkę. Zaraz się więc do niej zgłosiłem. Zapisano mnie od razu do piątej klasy, bo na tyle

wyglądałem, co oznaczało, że do czwartej klasy w ogólnie nie chodziłem. Kierownikiem szkoły była pani Anna Neverly siostra jak się później okazało, znanego pisarza Igora Neverlego. Uczyła nas języka polskiego, historii, geografii, pozostałych zaś przedmiotów pani Rachwaniec. Te dwie nauczycielki prowadziły całą szkołę. Siedem klas tej szkoły ukończyłem w 1947 roku z ogólnym wynikiem bardzo dobrym. Wtedy byłem już ministrantem. Bardzo mi się ta funkcja podobała. Do dziś pamiętam całe fragmenty śpiewanej po łacinie mszy. Z jaką dumą patrzyła na mnie mama. Jej syn był tak blisko pana Boga. Byłem też stangretem naszego księdza Wesołowskiego, to znaczy powoziłem jego bryczkę. On siedział z tyłu w powozie na kanapie, ja na koźle i obaj byliśmy z tych miejsc bardzo zadowoleni. Któregoś dnia kazał się zawieźć na odpust do Mierzwina. Uroczystość trwała dość długo, ale zaraz po niej wszyscy księża uczestniczący w odpuscie zostali zaproszeni na obiad na plebanię. Ja stałem przy koniach. I wtedy wyszedł z kościoła ksiądz Wesołowski. Spojrzał w moim kierunku i kazał mi iść z sobą.. W dużym salonie plebanii stał długi stół a przy nim biesiadowali już księża. Z duszą na ramieniu przysiadłem skromnie na samym rogu stołu i patrzyłem, co się na nim znajduje. W życiu dotąd nie widziałem tyłu talerzy, talerzyków, półmisków, widelcy, widelczyków i co najgorsze, zupełnie nie wiedziałem, jak się tym posługiwać. U nas w domu wszyscy jedli z jednej miski i to kopystkami, a tu masz.

Ten piękny widok stołu na plebanii u księdza w Mierzwinie, grające radio na stoliku i cały ten nieznan mi obyczaj wzbudziły u mnie podziw.

Muszę kiedyś tak żyć – pomyślałem. I wiedziałem już nawet, jak to osiągnę.

\* \* \*

Do Szkoły Podstawowej numer 3 przy ulicy Kolejowej chodziło wtedy całe Podklasztorze, Nie tylko uczniowie, bo popołudniami grali tu w piłkę dorośli w sali gimnastycznej zaś odbywały się próby a także przedstawienia zespołów artystycznych i ludowych. Szkoła pełniła bowiem rolę takiej dzielnicowej placówki kulturalnej.

Gdzieś chyba z końcem jesieni do naszej szóstej klasy dołączył nowy uczeń, jak się potem okazało dyscyplinarnie wyrzucony ze szkoły w Ciernie. Nazywał się Jan Hatys i wcale na żadnego rozrabiakę nie wyglądał. Drobny był, szczupły grzeczny, kulturalny, świetnie się uczył, ale trzeba też przyznać, że gdy ktoś zalał mu za skórę, to ho, ho, diabeł w niego wstępował.

I za tę właśnie chęć do bijatyk to, uwaga! Własna matka, która była wtedy kierowniczką podstawówki w Ciernie, wyrzuciła Janka ze szkoły. Z wilczym biletem w dodatku. Przyjechał więc Janek do Jędrzejowa i od tamtego właśnie czasu kumplujemy się obaj serdecznie i niezmiennie do dziś.

## **Curriculum vitae**

### **Jan Hatys – dzieciństwo i młodość**

*Janek opowiadać o sobie za bardzo nie chce. Mówi, że mu niezręcznie, że go to krepuje. Z konieczności więc muszę go zastąpić, a ponieważ razem od podstawówki chodziliśmy do szkoły i przyjaźnimy się od tamtych lat, przeto o Janku Hatysie wiem wszystko. No prawie wszystko.*

*Urodził się 21 kwietnia 1934 w Ciernie, wiosce już wtedy gminnej powiatu jędrzejowskiego. Obydwoje rodzice byli pedagogami, a mama w tym czasie nawet kierowniczką szkoły podstawowej w tymże Ciernie.*

*Ciągnęło ich jednak do miasta czyli Jędrzejowa, gdzie przenieśli się całą rodziną i to w krótkim czasie po wojnie bo już na początku 1946 roku. Tata został tam podinspektorem szkolnym, mama zaś nauczycielką w szkole na Piaskach, gdzie Hatysowie otrzymali duże, służbowe mieszkanie. To ostatnie stwierdzenie, że mieszkanie było duże, jest w tej opowieści o tyle ważne, bo dzięki temu Janek będąc już w liceum mógł urządzić w nim tak zwane „prywatki” słynne wtedy na cały Jędrzejów. Oczywiście w takim dobrym a nie pejoratywnym znaczeniu.*

*Z Piasków do szkoły numer 3 na Podklasztorzu było kawał drogi, bo aż. na drugi koniec miasta. Na niepohamowany temperament Janka wpłynęło to chyba kojąco, bo bójek już nie wszczynął, a zajął się sportem. Własnym sumptem założył Szkolny Klub Sportowy i organizował potem liczne turnieje piłki nożnej i siatkówki.*

- To były fajne lata – mówi. Wspomina też z rozrzewnieniem pierwszą wtedy swoją miłość, czyli Jadzię Kałwównę, która mu w tych jego pasjach sportowych i nie tylko sportowych, bardzo pomagała.

Egzamin wstępny do liceum Ogólnokształcącego w Jędrzejowie zdał Janek bez najmniejszego kłopotu. Ponieważ jego tata był wtedy znanym już lewicowcem, przeto na zasadzie jabłka i jabłoni, jego syn już w VIII klasie będąc zaczął aktywnie działać w szkolnym ZMP. Najpierw oczywiście na niwie sportowej, bo to była jego pasja. Sam zresztą świetnie grał w siatkówkę, jako ten, co przyjmował piłkę i dyrygował Nam chłopakom trochę mniej ideowym najbardziej jednak imponował czytaniem i taką ogromną wiedzą ogólną. Był taką chodzącą encyklopedią, co to wszystko wie i gdy trzeba to wyjaśni i pomoże. Wykorzystywaliśmy to oczywiście i to nawet często. Na przykład przy obowiązkowych lekturach szkolnych. Komu by się chciało je czytać? Mieliliśmy od tego Janka Hatysa

Namawiało się go, na przykład na jakiś przedwieczorny spacer, brało z sobą wino najlepiej marki „Tur” bo miało 16 procent i się chodziło od Rynku do mostu kolejowego tam i powrotem, tam i powrotem, a Janek nam wtedy daną lekturę opowiadał. Tak się w tym zapamiętywał, że zupełnie po aktorsku z taką swadą w głosie relacjonował nam każdy dialog i każde zdarzenie. Wszystko to powodowało, że po jednym takim literackim spacerze znaleźmy całą książkę. Nawet nasi belfrowie od polskiego niczego nie mogli wywęszyć. Przeczytali oni te książkę czy nie?

Z tamtych naszych licealnych lat warto jeszcze przypomnieć jedno bardzo śmieszne zdarzenie powstałe z inspiracji Janka Hatysa oczywiście. Otóż dostał on od Zarządu Szkolnego ZMP polecenie, żeby sprawdzić pod względem światopoglądowym niektórych takich niepewnych kolegów, co to byli niby zetempowcami a nie byli. Wśród nich znalazł się również Janek Gugulski syn naszego profesora Edzia Gugulskiego, a wtedy także dyrektora liceum. Do takiej misji, trzeba to powiedzieć, Janek to się nadawał idealnie. Był przez wszystkich lubiany, koleżeński taktowny, ale w przypadku Janka Gugulskiego, jak to wtedy mówiono, przegiął trochę pałę. Posłużył się mianowicie prowokacją i co najgorsze w scenerii miejscowego cmentarza. Wtedy w ogóle panowała taka dziwna moda na randki w zaciszu cmentarnych alejek. I Janek to wykorzystał a pomogli mu w tym Malina Baranówna i Jurek Szczygieł.

Jasiek Gugulski zalecał się wtedy do Maliny, więc Malina umówiła się z nim na taką właśnie cmentarną randkę. Chodzili tam sobie, za ręce się trzymali, mrok w alejkach robi się coraz większy i wtedy zza któregoś z grobowców wyskoczył duch cały w bieli, czyli Jurek Szczygieł okręcony w prześcieradło. Jaśkowi Gugulskiemu nogi się ze strachu ugięły w kolanach i ręce złożyły jak do modlitwy. Tyle że duch był nieustępliwy, napierał wciąż na niego więc Janek dał nogę z cmentarza zostawiając Malinę samą.

Tak po prawdzie to nie ma mu się co dziwić. Jurek Szczygieł to był chłopak cholernie wysoki. „Wiatr” wołaliśmy na niego. Więc gdy okręcony białym prześcieradłem pokazał się na cmentarzu, to rzeczywiście musiał wyglądać jak istota zza światów

- Wtedy właśnie wyszło na jaw jaki to był z tego Janka Gugulskiego zetempowski marksista i jaki miał nowoczesny światopogląd, że się byle ducha przestraszył – opowiadano sobie nazajutrz. Całe wydarzenie stało się wnet głośnie w mieście, że sprawą nawet zajęł się Zarząd Powiatowy ZMP w temacie: „ekscesy źle uświadomionej młodzieży na jędrzejowskim cmentarzu”

A czy pomogło to mało ideologicznemu Jaśkowi Gugulskiemu? Nikt się potem nad tym nie zastanawiał.

W roku 1952 Janek Hatys zdał maturę i złożył dokumenty na wydział historyczno-socjologiczny Uniwersytetu Łódzkiego.

\* \* \*

Janek Zając trafił do ogólniaka w Jędrzejowie, trochę przypadkowo. Sam mówi, że po ukończeniu podstawówki w Imielnie, nie za bardzo wiedział, co ma z sobą zrobić. Kiedy więc wyczytał w gazecie, która notabene, nazywała się „Rycerz Niepokalanej” że jest szkoła w Olkuszu, która kształci fachowców w zakresie produkcji i napraw sprzętu domowego, a nadto prowadzi internat z bezpłatnym wyżywieniem, postanowił tam pojechać. Wystroił się w harcerski mundur, wyczyścił buty i rano na piechotę udał się na stację kolejową do Jędrzejowa. To nic, że było to 11 kilometrów. Jak usiadzie potem w pociągu to sobie odpocznie. Tak wtedy pomyślał i ruszył w drogę.

Do Olkusza jednak nie dojechał, bo idąc w stronę stacji, zobaczył na jednym z budynków napis: Państwowe Gimnazjum i Liceum w Jędrzejowie. Pomyślał, że wejdzie i choćby przez ciekawość popyta, jak to jest z przyjęciem do takiej szkoły?

Już od drzwi uklonił się szarmancko pani sekretarce, a ona zapytała:

- Czego chcesz chłopcze?

Powiedział, że jedzie do szkoły w Olkuszu, ale tu z Jędrzejowa miałby bliżej do domu i pokazał swoje świadectwo.

Pani zapytała skąd jest, co znaczy ten jego harcerski mundur, a potem z wielką cierpliwością słuchała jego wyjaśnień, bo Janek przecież wciąż się jąkał i jąkał. Wzięła potem jego świadectwo i poszła do gabinetu dyrektora.

Jankowi czas wtedy jakby stanął w miejscu i dopiero kiedy usłyszał, że został przyjęty do pierwszej klasy gimnazjum z całej tej radości podbiegł do pani sekretarki i tak gwałtownie pocałował ją w rękę, że na podłogę wypadły jej z dłoni Jankowe dokumenty. Po tym zdarzeniu jakby mu trochę matkowała. Zawsze dla niego miała czas, cierpliwość i serdeczność.

Dla uzupełnienie tej historii, dodać trzeba jeszcze rzecz ważną. Otóż dyrektorem jędrzejowskiego gimnazjum był wówczas pan Antoni Artymiak. Świetny organizator, nauczyciel i psycholog. Nie wiedział tylko jednego. Jakiego ancymona i bolszewika przyjął sobie wtedy do szkoły.

\* \* \*

W odradzającym się kulturalnie powojennym Jędrzejowie, pierwsze skrzypce grał, no, kto by inny? Oczywiście, niezastąpiony pa Zbigniew Pacanowski. Już w miesiąc bowiem po wkroczeniu Rosjan do naszego miasta uruchomił w budynku Ochotniczej Straży Pożarnej na Krzywym Kole swoje kino „GDYNIA”.

Ludzie wnet zaczęli tam walić, nawet na dwa seanse dziennie, jakby w ten sposób chcieli sobie powetować długą, okupacyjną posuchę. Zresztą zinnymi rozrywkami było w mieście krucho.

To właśnie tam w kinie u pana Pacanowskiego po raz pierwszy w życiu obejrzałem western i to taki prawdziwy, amerykański. Wcześniej oczywiście rozczytywałem się w książkach Karola Maja, o Apaczach, szeryfach i kowbojach ale film, to był film, przeżycie prawie autentyczne.

Pech tylko chciał, że ten mój pierwszy western miał pewną wadę. Pochodził chyba z wojenno-frontowej kinoteki radzieckiej, bo grany był w rosyjskiej wersji językowej.

Wy sobie to wyobrażacie? Jak wielki wódz Apaczów, Winetu krzyczał na cały ekran: Towariszy w pieeeroo !!! Ubijom tych białych sukinsynów.

\* \* \*

Wielkim, ale to naprawdę wielkim hitem w tamtych latach było najzwyklejsze dzisiaj radio. Nikt właściwie nie miał go w domu, bo Niemcy zaraz po wkroczeniu do Polski w 39 roku zarekwirowali wszystkie odbiorniki, a za ich posiadanie grozili nawet rozstrzelaniem.

Dopiero po wojnie pojawiły się najpierw tak zwane „kołchoźniki”, czyli same głośniki, połączone przewodami elektrycznymi z magistratem, gdzie ulokowany był silny, kilkulampowy odbiornik radiowy przekazujący do tych właśnie głośników program z Warszawy. To było coś takiego, jak dzisiejsze kablówki, tyle że nam udostępniano jeden tylko program, jak wtedy mówiono: politycznie i ideologicznie słuszny. Aż któregoś dnia mojemu bratu Staszкови udało się kupić od jakiegoś krasnoarmiejca wracającego z Niemiec do Rosji taki normalny aparat radiowy, dwulampowy z trzecią prostowniczą, marki „Telefunken” w czarnej, ebonitowej obudowie.

Boże wielki, co to wtedy był za skarb. Szybko przeciągnęliśmy antenę z miedzianego drutu przewleczoną przez porcelanowe izolatory i zawiesili między dachem sąsiadów, a oknem naszego domu. No i zaczęło się. Zagra czy nie zagra?

Zgrało i to jeszcze jak. Za każdym obrotem popiskującej skali odzywały się głosy z innych miejsc na kuli ziemskiej. Nikt nie da wiary, jak to radio odmieniło nam życie. Było prawdziwym oknem na świat. Informowało, uczyło, kształtowało myśli a nadto grało i śpiewało muzykę inną niż sławne wtedy, 40-ci pieśni radzieckich” płynące nieustannie z owych „kołchoźników” umieszczanych na ulicznych latarniach, w zakładach pracy, szkołach i poczekalniach kolejowych.

Wszystkie wolne chwile wypełniało nam teraz słuchanie radia. Głównie wieczorami siadało się blisko jego czarnej skrzynki. Mama gasiła światło, żeby przy „Teatrze radiowym” dobrze pracowała wyobraźnia, albo żeby się lepiej słyszało czytana w odcinkach książkę, „postępowego pisarza polskiego” Stefana Żeromskiego” pt. „Przedwiośnie.

W soboty i w niedziele grała nam Orkiestra Taneczna pod dyrekcją Jana Cajmera, albo z zespołem Jerzego Haralda śpiewał z Katowic niezapomniany Janusz Gniatkowski.

Muszę się tu pochwalić, że z „Gniadym”, jak go nazywamy, znam się już od lat i bywa, że w ich domu w Poraju śpiewamy sobie razem stare piosenki z jego ulubioną „Apasjonatą”. Jakiś czas temu dla żony Janusza, Krysi Maciejewskiej (też piosenkarki) napisałem tekst piosenki właśnie na temat Jego najbardziej znanego przeboju. Nieskromnie pozwolę sobie go przytoczyć, ot tak dla urozmaicenie.

#### Apasjonata

Ja mam naturę, taką raczej sentymentalną

I często dawne światy mi się śnią

Krajobraz gdzieś, znajomy głosu ton

A ja już gnam, ku tamtym dniom

Ku tamtym dniom.

Kiedyś, oczywiście też była miłość

Lecz kto to był? Dziś nie pamiętam, lecz

Z minionych lat, aż do tej chwili

Pamiętać będę jedną rzecz.

Tamte nasze wędrówki po Jurze

Kiedy splecione dłonie z nami szły

I te ostańce w białej fakturze

Jak dekoracje do ja i ty.

Wszystko to gdzieś we mnie zostało

Ale najbardziej chyba gdy

Tamtą piosenkę,

Tamtą piosenkę

Śpiewałeś mi,

Śpiewałeś mi

Aasjonata, melodia naszych dni

Apasjonata – daj szczęście mi

Ale wracając do naszego radia.

Prawie codziennie, gdzieś koło północy brat przestawiał odbiornik na fale krótkie i niecierpliwie kręcił wskaźnikiem skali, aż z pisków, trzasków i szumów wydobył się w końcu wyczekiwany głos:

- Tu mówi Londyn. Nadajemy audycję w języku polskim.

Ile to ja lat potem słuchałem tej rozgłośni? Całą właściwie młodość i wiek dojrzały, aż gdzieś do początków 1990 roku. Czterdzieści parę lat jak obszył. Zawsze gdy chciało się usłyszeć inną prawdę o Wydarzeniach w Polsce, lub niefałszowane informacje o świecie, przestawiało się odbiornik na fale krótkie i szukało znajomych głosów z Londynu, Wolnej Europy, Głosu Ameryki.

A pamiętacie może tamte uparte zagłuszenia bu, bu, bu, bu?

\* \* \*

Zaraz po udanym egzaminie wstępnym do pierwszej klasy gimnazjum, mama kupiła mi na jarmarku w Jędrzejowie granatową czapkę, obowiązującą wtedy wszystkich gimnazjalistów. Nosiło się ją z fasonem, trochę przegiętą w stronę ucha i była prawdziwym powodem do dumy. Oznaczała przecież gimnazjalistę, inteligenta i niejako automatycznie nominowała do wyższej społecznej klasy. Nie w sensie materialnym oczywiście, ale w wymiarze jakiegoś społecznego statusu. Im ta czapka była bardziej zniszczona, spłowiała, wyświechtana, tym dobitniej świadczyła o długim stażu edukacyjnym jej właściciela. Podnosiła prestiż i dodawała znaczenia. Byli więc tacy, którzy tłamsili te swoje granatowe czapki, ile włązło. Wykręcali je, maltretowali, buty nią czyścili, byle tylko dodać jej starości. Bo gimnazjum, to było gimnazjum, żadna tam zawodówka, czy smarkaty powszechniak.

I oto po latach siedzimy sobie z Jankiem Zającem u Zbyszka Ciałowicza w jego kieleckim domu i oglądamy fotografie z tamtych naszych gimnazjalnych lat. Na jednym z nich stoi kilku kolegów: Jurek Bilewicz, Stasiu Kowalczyk, Jurek Klimczak i Jurek Żuk. Wszyscy są w gimnazjalnych czapkach z przypiętym do nich znaczkiem w kształcie gorejącego kaganka z wrytymi literami: O.N.C – co znaczyło: Ojczyzna. Nauka. Cnota.

- Boże Wielki. Kto dzisiaj jeszcze uznaje takie wartości i hołduje takim ideałom? – pomyślałem wtedy. A potem przyszła nam do głowy taka smutna, niestety refleksja, że oto na naszych oczach zaczyna przemijać bezpowrotnie pewna epoka, wzniosłych uniesień i szlachetnych zachowań.

Pytam więc Janka Zająca, dlaczego tamten piękny znak O.N.C zamienił w szkole na znaczek ZMP?

- Bo ja wiem? – odpowiedział. Bo takie były czasy. Wszystko chcieliśmy mieć wtedy nowe i inne niż dawniej. Zgodnie zresztą z niecierpliwym charakterem młodości.

# GIMNAZJUM

Budynek jędrzejowskiego gimnazjum nie wygląda już niestety tak pięknie jak za naszych szkolnych lat.

Józek Gierczak jeden z najwybitniejszych polskich architektów mówi, że „budynek ten reprezentował bardzo wysokie walory architektoniczne. W swej niezmiętej, czystej kompozycyjnie formie mógł stać się świecką wizytówką miasta. Został niestety skutecznie zeszpecony i zdeformowany w wyniku radosnej twórczości powojennych władarzy.

- Cierpię z tego powodu - mówi Józek Gierczak jako absolwent tamtego gimnazjum, architekt i jędrzejowianin.

Zaraz po wojnie w tym właśnie budynku dokonywały się w naszej szkole wielkie i rewolucyjne przemiany - jak to określali aktywiści z ZMP- na miarę nowej, socjalistycznej epoki. Przedwojenny, tradycyjny system szkolnictwa, oparty na czterech klasach gimnazjalnych (co dawało wtedy tak zwaną „małą maturę, a po dodatkowych dwóch latach nauki w liceum, świadectwo dojrzałości), zmieniono teraz na dwustopniową edukację. Siedem klas podstawówki i cztery liceum.

W taki więc oto nowatorski sposób, zamiast do drugiej klasy gimnazjum zacząłem od nowego roku szkolnego chodzić do tak zwanej „dziewiątej przejściowej”. Uczniowie, którzy ósmą klasę ukończyli w dawnym powszechniaku, zostawali uczniami normalnych już dziewiątych klas, my zaś, starzy gimnazjaliści wyjadacze, przez ten jeden „przejściowy rok” byliśmy w naszej budzie jakby trochę elitarni z racji stażu i gimnazjalnej dorosłości.

Potem oczywiście wszystko się wyrównało, spowszedniało, w niepamięć poszły dawne szkolne rodowody, a uczniowie zaczęli nawet chwalić sobie nowy system dający pełną maturę po czterech ledwie latach nauki.

Na początku jednak wszystko było jak przed wojną. Młodzież ze swoimi szkolnymi sztandarami uczestniczyła w świętach państwowych i co niedziele przez cały Jędrzejów szła czwórkami na mszę szkolną do kościoła Świętej Trójcy. Harcerze mieli swoje ogniska w łączyńskim lesie, a młodzież swobodę w strojach i wypowiedziach.

I nagle to wszystko zaczęło się załamywać. Na tak zwanym Kongresie Zjednoczeniowym Młodzieży Polskiej we Wrocławiu, zlikwidowano stare, przedwojenne harcerstwo i inne młodzieżowe organizacje, a w ich miejsce powołano ZMP, czyli związek Młodzieży Polskiej, taką bliźniaczą siostrę radzieckiego „Komsomołu”.

W szkole od razu dało się to odczuć. Sprawy ideologiczne stały się teraz najważniejsze. Doszedł nam też nowy przedmiot. Nazywał się „Propedeutyka czyli „nauka o Polsce i świecie współczesnym” i dotyczył głównie Związku Radzieckiego i innych postępowych krajów świata.

To na tych właśnie lekcjach dowiadaliśmy się rzeczy rewelacyjnych, niebywałych. Jak to na przykład uczeni z Kraju Rad zmieniali otaczający nas świat. Odwracali biegi rzek, żeby płynęły zgodnie z wolą człowieka, dzięki czemu na dawnych pustyniach powstawały morza. Białomorskie na przykład.

Albo jak najwybitniejsi w świecie biolodzy radzieccy, towarzysze Miczurin i Łysenko w wyniku naukowych eksperymentów poprawiali starego Boga i tworząc nowe, lepsze, niespotykane dotychczas gatunki roślin i zwierząt.

Śmiałyśmy się oczywiście z tych wszystkich rewelacji, a nawet tworzyliśmy na ten temat inne, różne ucieczne teorie.

- Co będzie – pytano - jeśli Miczurin skrzyżuje węża z jeżem?

Odpowiedź: - drut kolczasty.

Albo. Co powstanie z krzyżówki glisty z chrabąszczem?





Odpowiedź: - lekki czołg dla Armii Czerwonej.

Wszystko bowiem wtedy, czym szczyliła się cała ludzkość, pochodzić musiało z wielkiego Kraju Rad.

- Kto wynalazł radio? Oczywiście nie Maroni, tylko uczony radziecki o nazwisku, Popów.

- Kto zbudował pierwszy parowóz?

- Chłopi na Uralu.

- Kto uszył pierwsze ubranie?

- Gołodupow - dodawaliśmy już od siebie, żeby było śmieszniej.

\* \* \*

Na szczęście kadra profesorska naszego liceum hołdowała starym i wypróbowanym metodom nauczania. Przekazywano nam wiedzę solidną i wychowywano porządnie. Może właśnie dlatego nie ogłupiliśmy doszczętnie. No może nie wszyscy, ale jednak.

Nasze gimnazjum stało wtedy relatywnie na bardzo wysokim poziomie i było w ogóle instytucją, która kulturą, obyczajem i polskością emanowało na całe miasto i najbliższą okolicę.

Piszę to wszystko powodowany nie tylko emocjami wspomnień, ale również ze względu na wielką ilość znakomitych absolwentów którzy mury tej szkoły opuściło.



**Grono profesorskie oraz pracownicy administracyjni jędrzejowskiego Liceum Ogólnokształcącego podczas pożegnania dyrektora Antoniego Artymiaka w 1949 roku.**

*siedzą od lewej:* Edward Gugulski, ks. Piotr Opozda, Edmund Wegner, Eugenia Żukowa, Antoni Artymiak, Julia Szartowska, Ludwik Żuk, Antoni Ciosiński, Seweryn Ciekalski,

*stoją od lewej w I-szym rzędzie:* Janina Szczepańska, Rudolf Hudyna, Stanisław Polak, Roman Ferens, Anna Kołkiewiczowa, Krystyna Karczewska, Helena Haliszewska, Włodzimiera Hudynowa, Sabina Nawrotowa, Leokadia Pieczko, Maniarowa, Mieczysław Dobroczyński.

*Stoją u góry, od lewej:* Janina Gutowska, Danuta Tytko - Górską, Antoni Dylski, Wanda Wiśniewska, Barbara Dylska, Janina Nicińska, Helene Krupińska, Helene Wójcicka, Janina Szymańska. ,

O klimatach i wydarzeniach z tamtych niezwykłych lat niech opowiedzą ich uczestnicy, autorzy niniejszych wspomnień.  
Na początek Józek Gierczak.

Na pierwsze lekcje do naszego gimnazjum przychodziliśmy z własnymi krzesłami, ale za to radośni i ciekawi nowego. Uczyć nas zaczęła sprawdzona już w konspiracyjnym nauczaniu stara „gwardia” jędrzejowskiego gimnazjum, moim zdaniem najwyższej klasy profesorowie i wychowawcy. Byli bowiem gruntownie wykształceni z pedagogicznym powołaniem, oddani młodzieży i bardzo patriotyczni. Osobiście najwięcej zawdzięczam chyba polonistce pani profesor Julii Szartowskiej. Nauczyła mnie nie tylko kochać polską literaturę, tych wszystkich naszych romantyków, pozytywistów, młodo polaków, ale zaraziła również bakcylem czytania książek. Zawsze starała się być taka zasadnicza, surowa, lecz kiedy czytała nam fragmenty niektórych literackich arcydzieł, zmieniała się w takiego anioła rozsiewającego perły. Uczyła nas w ten sposób wrażliwości, zwracała uwagę na różne piękne metafory i onomatopeje. Przybliżała artystyczną logikę twórczości literackiej.

Listę profesorów naszego liceum, godnych najwyższego szacunku, będę kontynuował dalej, tak jak niesie pamięć.

Artysta plastyk profesor Antoni Ciośniński uczył nas „robót”- edukacji plastycznej czego w tamtych czasach w szkołach ogólnokształcących nie było. To właśnie tym lekcjom i panu profesorowi zawdzięczam udany egzamin wstępny na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, choć o jedno miejsce ubiegało się wtedy dziewięciu kandydatów.

I jeszcze o jednej artystycznej pasji pana profesora Ciośnińskiego chciałbym tu wspomnieć. O teatrze mianowicie.

To było jakoś zaraz po wojnie, gdy w naszym gimnazjum, siłami swoich uczniów, wystawił „Dziady” Mickiewicza, rzecz piekielnie trudną nawet dla teatrów zawodowych, ale profesorowi Ciośnińskiemu się udało. Przedstawienie stało się wnet wielkim wydarzeniem kulturalnym w mieście. Panu profesorowi asystował wówczas mój brat, Janek Gierczak. Rewelacyjnymi zaś kreacjami aktorskimi popisali się: Staszek Jackowski, jako Konrad i Jurek Skrobiszewski w roli Mefistofelesa.

W moim sercu zapisała się również profesor Krystyna Karczewska, która niestety tego miała pecha, że przez czas jakiś była moją wychowawczynią. Lekko jej nie było. Stariała się być surowa, ale nie leżało to w Jej naturze. Matce mojej, z którą kiedyś przeprowadziła rozmowę taką ostrzegawczą, powiedziała na koniec, że mimo wszystko chciałaby mieć takiego syna. Bo dokuczałem jej a jednocześnie skrycie uwielbiałem.

Profesor Sokołowski, germanista, błyskotliwy nauczyciel. Jego lekcje pełne były fantazji, dynamiki, zaskakujących point z powodu ulubionego przez profesora utworu „Die Kraniche des Ibikus” zwany „Ibikusem”. Albo profesor Stanisław Polak, uosobienie dobroci, empatii, życzliwości. Nie było wśród uczniów i grona nauczycielskiego nikogo, kto nie darzyłby profesora szacunkiem i uznaniem. Dla mnie szczególnie był wyjątkowo życzliwy i wyrozumiały. Jego postępowanie przywodzi na myśl pewną pedagogiczno-psychologiczną prawdę, że dobrocią i wyrozumiałością można generować więcej dobrego, niż ich odwrotnością. Ja uchodzący w szkole za nieposłusznego i krnąbrnego, nigdy nie popadałem w żadne konflikty z Profesorem. Myślę, że Go nie zawiodłem.

Ze specjalną estymą wspominam także profesora Ludwika Żuka, humanistę-omnibusa, człowieka renesansu, krzewiciela kultury. W naszej szkole organizował na przykład przedstawienia muzyczne, bo muzykiem był także wspaniałym. Śpiewaliśmy wtedy z nim: „Śpi ogródek mój czarowny otulony siną mgłą...” Pięknie prawda? Pewnie dlatego refren tej piosenki kołacze mi się w pamięci do dziś.

A tak na marginesie. Kiedyś w Jędrzejowie podeszła do mnie czarująca pani, dziennikarka i pisarka, córka jak się później okazało Janki Zakrzewskiej-Kurgan i wyartykułowała życzenie, że chciałaby poznać człowieka, który nic się nie uczył a wszystko umiał. Tak jej podobno mówiła o mnie ciotka Danka Zakrzewska, moja koleżanka z klasy, osoba, niezwykle wrażliwa i uczuciowa.

Matematyka w tamtych pierwszych gimnazjalnych latach była podobno najslabsza ze wszystkich przedmiotów naszego liceum. Uczył jej profesor Wagner „kaczorek” jak żeśmy go nazywali, mocno już leciwy pan, który znaczną część każdej swojej lekcji poświęcał rozważaniom transcendentálnym z wyraźnym ukierunkowaniem religijnym. Było to oczywiście interesujące, ale od matematyki dalekie. Po profesorze Wagnerze z naszymi matematykami było jeszcze gorzej, więc aż dziw bierze, że pojawił się w naszym liceum fenomen Wieśka Kołkiewicza. Bywało, że poprawiał naszych belfrów od matematyki. Potem zabłysnął jeszcze matematyczny talent Andrzeja Zajtza w późniejszych latach profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Dopiero w roku maturalnym zgodnie z maksymą „se ipsum vincere..” zacząłem intensywnie nadrabiać matematyczne braki. Razem z Wieskiem Kołkiewiczem, owym „cudownym dzieckiem” jędrzejowskiego liceum zdawaliśmy egzamin wstępny na Politechnikę Warszawską. On na mechaniczny, ja na architekturę. Do ostatniej chwili Wiesiek wtajemniczał mnie w matematyczne arka. Zawsze, jak go pamiętam, był inteligentny i dowcipny. Kiedy tam na Politechnice przy egzaminie wstępnym wypełniał kolejną już ankietę, to w rubrykę „stan cywilny” wpisał „tak”.

\* \* \*

W trzech najstarszych klasach naszego liceum zebrano samych wyrosniętych chłopaków, znacznie opóźnionych w nauce na skutek wojny i oświatowej dyskryminacji, jaką Niemcy w czasie okupacji stosowali wobec Polaków. W normalnych warunkach powinni już chodzić do trzeciej, niektórzy nawet czwartej liceum, a oni dopiero teraz w przyspieszonym trybie rozpoczynali swoją gimnazjalną edukację.

Była to młodzież bardziej od innych dojrzała, wycwaniona życiowo i zahartowana przez wojnę w walce o codzienny byt. Całe zresztą, tamto pokolenie w taki właśnie szybki i od razu dorosły sposób wchodziło w nowe życie. Lubili się chwalić swoimi wojennymi wyczynami i patriotycznymi zasługami, a ich strój, zwłaszcza buty oficerki z wyglancowanymi cholewami, czy kurtki „andersówki” z napisem Poland na ramieniu, miały być tego widocznym dowodem.

Resztę gimnazjalnej gawiedzi obowiązywała dyscyplina tak w ubiorze jak w obyczajach. W okresie jesienno-zimowym na przykład po godz. 19-ej nie wolno było przebywać poza domem. Do kina chodziło się tylko na I-sze seanse, kończące się przed tą właśnie godziną. Dziewczęta musiały nosić białe bluzki, granatowe spódniczki i czarny fartuch z białym kołnierzykiem z całkowitym zakazem malowania paznokci o twarzy nie mówiąc. Chłopcy zaś ciemne ubrania, krótko ostrzyżone włosy i płaszcze lub kurtki z emblematem szkoły na rękawie.

Inaczej oczywiście ubierali się ZMP-owcy. Obowiązywał ich tak zwany proletariacki luz i tylko od święta i na różnych akademiach ku czci zakładali strój organizacyjny, to jest zieloną koszulę i czerwony krawat.

W któreś wakacje na obozie „Służby Polsce”, (była wtedy taka organizacja młodzieżowa) dowódca kompanii tłumaczył nam, junakom, że noszenie krawata przy marynarce jest nawykiem burżuazyjnym, jaskrawo kłócącym się z nowymi, leninowsko-marksistowskimi zasadami proletariackiej elegancji.

- Jeśli zamierzacie być ludźmi nowoczesnymi - mówił - to noście się zgodnie z postępową modą.

Po powrocie z tego obozu do domu matka zgromiła mnie srodze, gdy w niedzielę wybrałem się do kościoła w niezapiętej pod szyją koszuli.

- Chodzisz rozchełstany jak parobek jakiś – krzychała.

W taki to mniej więcej sposób rozpoczął się w tamtych, powojennych latach ów moralno-etyczny konflikt pomiędzy starymi maksymami, a nowymi trendami wychowawczymi i estetycznymi na gwałt importowanymi do Polski z radzieckiego wschodu.

W wielu domach budziło to oczywiście sprzeciw. Naruszany był bowiem dotychczasowy sposób bycia, przekonań i zachowań. Życie jednak i wszechobecna wówczas propaganda potrafiły zrobić swoje, więc chcąc nie chcąc wielu z nas zaczęło przyjmować te ich niby nowoczesne maksymy. Zło zaczęło nazywać dobrem, zdradę cnotą, oszustwo powodem do dumy, a donosicielstwo obowiązkiem obywatelskim.

I nic, że było to tak dawno. Nie wypiękniliśmy jakoś od tamtej pory. Zapoczątkowany wtedy proces zmian w obyczajach, modzie i imperatywach moralnych trwa właściwie do dziś. I jeśli coś się w tym zmieniło, to tylko kierunek, skąd te nowe trendy do nas przychodzą.

\* \* \*

Po jakimś czasie w naszym liceum rządziło już właściwie ZMP. Byli pewni swego, świadomi faktu, że mają za sobą poparcie ówczesnej władzy z wszechwładnym wtedy Urzędem Bezpieczeństwa.,

Janek Zajac nie za bardzo się z tym zgadza. W swoich wspomnieniach pisze tak: To prawda, że byliśmy aktywni. Mówiliśmy o sobie, że jesteśmy młodą awangardą proletariackich mas, a naszym wzorem jest radziecki „Komsomoł”.

Wierzyliśmy bowiem święcie, że jedynie klasa robotnicza w sojuszu z małorolnym chłopstwem może wszystkim nam przysporzyć pomyślności tak państwowej jak osobistej. Byliśmy więc politycznie aktywni, ideologicznie pryncypialni i po bolszewicku czujni. Najważniejszym naszym działaniem było kształtowanie świadomości politycznej całej gimnazjalnej młodzieży. Omawialiśmy wydarzenia w kraju i na świecie, określaliśmy nasz do nich stosunek i krytykowaliśmy tych, którzy głosili inne niż my poglądy. Naszych członków wzywaliśmy często do składania tak zwanej samokrytyki. Delikwent stawał wtedy przed członkami szkolnego zarządu ZMP i takie słyszał słowa:

- „Chcielibyśmy kolego abyście krytyczne ocenili swoją postawę ideowo – polityczną. Postępowa ona jest czy wsteczna”

Nie ma się z czego śmiać. Wtedy takie działania były konieczne, ponieważ nasza organizacja młodzieżowa nie miała właściwie w szkole żadnego poparcia. Z grona profesorskiego nikt nie należał do Partii. Naszą więc działalność oceniano bardzo niechętnie i niesprawiedliwie. Popierał nas jedynie, profesor. Roman Ferens. Uczył elementarnej kultury politycznej, doradzał w trudnych tematach i temperował rozpalone głowy. Był przez nas lubiany i szanowany w gronie pedagogicznym.

Funkcja przewodniczącego Szkolnego ZMP dawała wtedy prawo do uczestnictwa w posiedzeniach Rady Pedagogicznej. Nie potrafię dziś powiedzieć czyja to była dyrektywa i kto w tej sprawie podjął decyzję. Faktem jest, że uczestniczyłem i broniłem tam skrzywdzonych moim zdaniem kolegów a także naszych przekonań ideologicznych. Pamiętam, że politycznie pomagali nam głównie profesorowie: Roman Ferens, Stanisław Polak, Karol Dębski, a w ostatnim okresie także dyrektor Stanisław Adamczyk.

\* \* \*

Zupełnie odmiennie na ten okres w naszym liceum patrzy Józek Gierczak. Pisze on tak:

W roku 1949 powstał w naszej szkole taki nowy twór o nazwie ZMP. Od początku preferowali przemoc, kłamliwa, przymusowa indoktrynacja i terror w „poszerzaniu szeregów”. Sięgano po środki brudne i brutalne, gdy chodziło na przykład o wydawanie tak zwanych „opinii organizacji zetempowskiej”. To były takie obligatoryjne świadectwa moralności marksistowskiej, niezbędne przy egzaminach wstępnych na wyższą uczelnię. Najlepsze takie dossier otrzymywali oczywiście aktywiści zetempowscy, którzy z tego powodu rośli w siłę i znaczenie.

Wielkie pole do popisu mieli tu tacy, przepraszam za określenie, podlece, jak towarzysz Henryk Cudzik, deus ex machina, przewodniczący naszego szkolnego ZMP i towarzysz Matera, szef zarządu powiatowego. Pojawili się też odnowiciele, a raczej grabarze przedwojennego, polskiego harcerstwa. Nazwisk nie wymienię. Z litości.

\* \* \*

Jakoś wtedy właśnie, ale już za rządów Janka Zająca wybuchła w naszym liceum sprawa księdza prefekta Piotra Stycznia.

Pamiętam dobrze tamten dzień. Tuż przed rozpoczęciem lekcji kilku zetempowców w strojach organizacyjnych z Jankiem oczywiście Zającem jako przewodniczącym, ustawiło się na schodach, tych szerokich które z ulicy prowadziły na wysoki parter szkoły i zaczęło skandować: „ksiądz Styczeń ze szkoły precz”. „Nie chcemy księdza Stycznia”.

I ksiądz Styczeń rzeczywiście odszedł wtedy.

Dlaczego? Bo podobno tworzył wśród profesorów taki cichy front w celu wydalenia ze szkoły Janka Zająca. Miał z nim bowiem nieustające kłopoty i to na każdej niemal lekcji religii. I było w tym sporo prawdy.

Dla równowagi trzeba tu jednak dodać, że Janek Zajac to był piekielnie inteligentny chłopak. W trakcie owej wojny z księdzem Stycznem dokładnie przestudiował Biblię, tę starą i tę nową, zapoznał się z listami świętego Pawła i kilkoma jeszcze innymi ewangeliami, odrzuconymi przez kościół. Fascynacja tą tematyką trwa zresztą u niego do dziś i trzeba by być co najmniej kardynałem, żeby z Jankiem w tym temacie usiąść do dyskusji.

Gdy dziś pytam go o tamtą światopoglądową wojnę, z księdzem Stycznem, odpowiada mi tak.

- O, to zupełnie oddzielny rozdział. Ksiądz styczeń wciąż dyrygował niektórymi nauczycielami. My zetempowcy nie mogliśmy się na to zgodzić. Doszła nas też wiadomość, że w jednym z kieleckich liceów, pod wpływem organizacji młodzieżowej, całkowicie zrezygnowano z katechezy w szkole. Więc czemu by u nas nie? Z takim przesłaniem zaczęliśmy co lekcję zadawać księdzu prefektowi różne kłopotliwe pytania. Dlaczego w kościele nie mówi się słowem, że Jezus miał

czterech braci i dwie siostry? W ewangelii świętego Matusza wymienia się nawet ich imiona. Podnieśliśmy także odmienność sformułowań w znanej wszystkim modlitwie „Ojcze Nasz”. Powiedziane jest tam: „i nie wódź nas na pokuszenie. Co to znaczy? że Pan Bóg wodzi nas na pokuszenie, a my go prosimy żeby tego nie robił? Przecież to bezsens. Takie pytania oczywiście złościły księdza prefekta i najczęściej kończyły się rozkazem: „wyjdź mi z klasy”.

- Ale za co? – pytaliśmy wtedy - że chcieliśmy interpretować pismo święte?

Postawiliśmy więc sprawę jasno: ksiądz prefekt musi odejść. Nikt nas do tego nie nakłaniał, niczego nie sugerował. Sami tego dokonaliśmy.

Na jego miejsce przyszedł nowy prefekt, ksiądz Wojciech Opozda. Zaczynający kapłan, roztropny, pryncypialny w swoich poglądach i zasadach. Był naszym przyjacielem, chodził z nami na wycieczki, a nawet grał w piłkę na bramce. Gdyby takim był jego poprzednik, też byśmy go pewnie polubili.

Zupełnie, ale to zupełnie inne zdanie ma na ten temat Józek Gierczak. Mówi tak:

„Jedną z dominujących postaci w naszym liceum był bez wątpienia ksiądz Piotr Styczeń. Na temat tego kapłana można by napisać książkę. Uznawano powszechnie jego autorytet i kapłańską charyzmę. W szkole oczywiście nie obywało się bez różnych spięć z tak zwaną postępową młodzieżą. Prowadzenie religii przy rządach tak wrogiej ideologii była ogromnie trudne. Kiedy więc zetempowcy wystąpili przeciwko naszemu prefektowi, a dyrekcja szkoły nie stanęła w jego obronie, on po prostu odszedł. Na drugi dzień przysłał do szkoły swojego następcę.

W czasach późniejszych, już, jako architekt, wykonywałem dla niego projekty sal katechetycznych z pomocą takiego kamuflażu, że są to niby kaplice, które on potem przerabiał (czytaj psuł) i to od razu na placu budowy. I cóż z tego, że w najlepszej wierze. Bubel był potem buble. Ale on taki był. Samorządny i niezależny, trudny człowiek z mocnym charakterem.

I jeszcze jedna historia związana z księdzem Stycznem, którą warto tu opowiedzieć.

Otóż w roku 1947 czy może 48 miała miejsce tak zwana amnestia. Nowa władza ludowa obiecała wszystkim ludziom podziemia, tym z AK, z WIN-u, i Konspiracyjnego Wojska Polskiego darowanie „win” pod jednym wszakże warunkiem, że przyjdą osobiście i się ujawnią.

- Właśnie wtedy – opowiada Józek Gierczak - dyrektor naszego liceum, który już wcześniej chciał się mnie koniecznie pozbyć ze szkoły, wymyślił pewien fortel. Rozpuścił mianowicie plotkę, że Józef Gierczak jest w naszej szkole przywódcą jakiejś podziemnej, antypaństwowej organizacji. Wszyscy nagle zaczęli o tym mówić. Ksiądz Piotr Styczeń niezwłocznie wziął mnie na spytki. Mimo moich zapewnień, że to nieprawda, że to czysta bzdura, ubłagał mnie jednak abym się ujawnił.

- Bo inaczej pójdziesz do więzienia – mówił - a z tobą twoja Matka i bracia. Chcesz tego? Byłem wstrząśnięty, trudno pomyślałem ujawnię się. Tylko co ja im powiem? co? Jakoś nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Dopiero nad ranem wpadłem na genialny pomysł. Miałem w gołębniku schowaną i zakonserwowaną taką poniemiecką parabelkę zdobytą, albo raczej zabraną wieczorem 14 stycznia 1945 z byłej willi Chałupskich, skąd w ostatniej chwili uciekali lubelscy gestapowcy. Pomyślałem tedy, że ktoś życzliwy mógł to wtedy zobaczyć i zbudował potem sobie konspiracyjną fantasmagorię.

Włożyłem więc parabelkę za pas i poszedłem się „ujawnić”.

Już pierwsze spotkanie z wartownikiem w bramie Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie wyznaczono punkt amnestyjny miało wyraźne znamiona tragikomedii. Ludzi do ujawnienia nie było jeszcze wcale, więc strażnik zapytał, czego chcę? A ja wtedy dumny wyciągnąłem tę parabelkę. Strażnik pobladł, od razu wyciągnął łapy do góry i zaczął wrzeszczeć: nie strzelać, nie strzelać. Ktoś wtedy łupnął mnie z tyłu w łeb, aż zwałem się na ziemię. Gdy po chwili otrzeźwiałem i usiadłem przed biurkiem ubowca spisującego protokół amnestyjny, znowu oberwało mi się po gębie ponieważ, jego zdaniem nie chciałem ujawnić swojego organizacyjnego pseudonimu. Mówiłem, że nie mam takiego i nie miałem, na co on tak wpadł w nerwy, że aż sobie przypomniałem przedwojenny, peowiacki pseudonim mego ojca - „Gnat” i tak zostało w protokole zapisane.

Dodam tutaj na koniec jeszcze, że po całej tej historii z ujawnieniem, ksiądz Piotr był chyba święcie przekonany, że uratował mnie wtedy od więzienia. W jego mniemaniu byłem przecież dowódcą jakiejś dobrze zakamuflowanej patriotycznej, podziemnej organizacji.

Za to wszystko dzięki dziś Księżu Piotrze.



Józef Gierczak nr 53 wygrywa slalom gigant na Małej Kopie.

### **Curriculum vitae**

#### **Józef Gierczak - gimnazjum**

*Moje lata 1945-1949 to jędrzejowskie gimnazjum i liceum, niezapomniane, młodzińcze lata. Wokół szkoły ogniskowały się nasze losy, przeżycia, emocje, wznioły i upadki. Jędrzejowskie liceum to było latarnią całego miasta. Potencjał moralny i intelektualny kadry profesorskiej i zaangażowanie społeczne promieniowały na całe miasto i jego okolice.*

*Moja nauka w gimnazjum rozpoczęła się wręcz katastrofalnie. Mama wróciła z pierwszej wywiadówki przerażona i splotkana. Synuś otrzymał bowiem trzy niedostateczne i to z kluczowych przedmiotów: polskiego, łaciny i historii. Przyznaje, że ta jej rozpacz wstrząsnęła mną. W przeciągu paru miesięcy w miejsce tamtych trzech dwój były trzy piątki. Zostałem nawet pierwszym łacinnikiem w klasie z pełną znajomością słownictwa, składni i wykutymi na pamięć wyjątkami Nie będę*

*ukrywał, że zapanowanie nad łaciną sprawiło mi największą satysfakcję. Utwierdziłem się w intuicyjnym dotychczas przekonaniu, że „se ipsum vincere est maxima victoria”, to prawda uniwersalna. Ale wtedy obok piątek i czwórek była także trójka ze sprawowania i karne urlupy od dyrektora Artymiaka, oraz taka nieustająca jego chęć pozbycia się ze szkoły niesfornego, czupurnego ucznia. Teraz to sobie myślę, że były to takie sobie incydenty, które od czasu do czasu dodawały kolorytu gimnazjalnej poprawności.*

*Nas braci Gierczaków było trzech: Stanisław, Jan i Józef. Zaraz po tak zwanym wyzwoleniu w 1945 roku najstarszy z nas, w czasie okupacji żołnierz AK, zgłosił się na ochotnika do wojska, czego, o ile wiem, nie uczynił żaden z jego rówieśników. Zamiast na front skierowano go do podchorążówki gdyż wojna miała się właśnie ku końcowi. Byłem na promocji i z dumą patrzyłem na jego oficerską gwiazdkę. Służbę pełnił potem w forcie Bema więc mógł podjąć studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Z wojska i z uczelni wyleciał z hukiem, a jego zbrodnia polegała na tym, że był synem przedwojennego wicestarosty a jego żona, de domo Wątko, córką komendanta policji w Jędrzejowie, nota bene zamordowanego potem w Katyniu albo Ostaszkowie.*

*Bratu na fali „odnowy” roku 56 udało się ukończyć prawo i podjąć prace w charakterze dyplomaty. Zmarł na placówce w Bukareszcie jako attache.*

*Janek, mój średni brat był z nas Gierczaków najzdolniejszy. Nie umiał, a może nie chciał zdyskontować swych talentów?. W czasach gimnazjalnych, po paru winach sławnej marki „Tur” i wyartykułowaniu na głos kilka swoich opinii na aktualne wtedy tematy polityczne, za co został tak zwyczajnie po bolszewicku „zdjęty” z ulicy i zniknął gdzieś bez wieści i śladu na kilka tygodni. Gdy go wreszcie wypuścili zamknął się w sobie. Pewnie był tam bity, gdy nie mógł lub nie chciał odpowiadać na ich klasyczne, ubowskie polecenie: „przyznajcie się do wrogiej działalności”.*

*Ja byłem podobno w gimnazjum dobrym uczniem. Wymyśliłem więc post factum, taką pozał się Boże, teoryjkę dla potomnych pod hasłem: Jak zostać w szkole najlepszym uczniem. Po pierwsze Ora et Labora z przewagą Labora. Należy też posiadać kilka dodatkowych przymiotów, jak choćby minimum zdolności i maksimum inteligencji. W języku angielskim występuje słowo „smart” co znaczy sprytny, inteligentny. Do tego dochodzi jeszcze taktyka wyrozumowana, przemydlana lub spontaniczna, immanentna właściwość osobowości.,*

*Reasumując więc: ora et labora, trochę zdolności, inteligencja + spryt i taktyka, taktyka. Postępujemy uderzeniowo. Wyrabiamy sobie u nauczycieli dobrą opinię: Pracowity, zdolny, pilny, inteligentny, markując te rzeczy i pozorując. Wdrażanie teorii jest niełatwe i trochę trwa, ale potem, ho, ho można odcinać kupony. Moja teoryjka jest jak widać poniekąd cyniczna. Tworzenie bowiem teorii post factum niejedno działanie usprawiedliwiło.*

*Oprócz nauki były też rozrywki. Profesor Dylski odkrył przed jędrzejowskimi gimnazjalistami narciarstwo. Bakcylem tej pięknej dyscypliny zainfekował znaczną grupę swych wychowanków i to na zawsze.*

*Z Jędrzejowa jeździliśmy na narty do Sobkowa, na Słowik, na Kadzielnę a nawet do Zakopanego. Piękne, niezapomniane lata. Dzięki Profesorze!*

*W tamtych czasach byłem też harcerzem, tak zresztą jak większość uczniów naszego gimnazjum. To był piękny czas obozów, wycieczek, piosenek podchodów biwaków. Hufcowym w Jędrzejowie był wtedy Zygmunt Biernacki. Znałem go dobrze. Spotkaliśmy się powtórnie w 1949 roku we Wrocławiu. On był już studentem III roku architektury, ja zaś zagubionym w całym tym uniwersyteckim tyglu pierwszakiem. Zygmunt pomógł mi wtedy bardzo. Jego rodzice, ludzie szlachetni, empatyczni przyjęli mnie na mieszkanie podobnie zresztą jak Wojtka Leśkiewicza, Zymka, Pęczaka, Mariana Rojka i Mariana Warwasa. Wcześniej przez dwa semestry mieszkalem ze Stasiem Piątkiem u państwa Smorągów, też jędrzejowiaków.*

\* \* \*

Trzecie wspomnienie o tamtych zetempowskich czasach w naszym liceum pochodzi od Waldka Wiejacza, ówczesnego Przewodniczącego Samorządu Szkolnego, który z urzędu niejako pośredniczył między zetempowcami, niezrzeszonymi i dyrekcją szkoły.

Waldek pisze tak: „Nasze liceum miało w tamtych latach bardzo wysoki poziom nauczania. Jeśli dodamy do tego poważny stosunek młodzieży do nauki i szerokie zainteresowania życiem i światem, to wynikał z tego fakt, że większość uczniów (około 90%) po zdaniu matury, wybierało się na studia. Niektórzy zrobili potem piękne kariery. Ludwik Pak stał się dobrym aktorem. Hanka Socha-Jelonek dobrą malarką. Już w szkole był dostrzegany jej wieki talent. Jurek Wyglądała był jednym z głównych konstruktorów fabryki ciągników Ursus”. Kilku kolegów wróciło do Jędrzejowa jak: Boguś Kniewski czy Tadek Krzeszowski i uczyli tam swoich młodszych kolegów. Oczywiście do ZMP należałem również, bowiem zawsze przemawiały do mnie zasady równości i sprawiedliwości społecznej. W dodatku losy mojej rodziny i jej oczywisty awans społeczny zdecydowanie plasował mnie po stronie nowych czasów.

Były jednak sprawy, które mnie w tej nowej rzeczywistości bulwersowały. W naszej szkole gdzieś od początku 1950 ZMP zaczął forsować rzeczy i sprawy, które mnie „nie leżały”. Chodziło o poczucie kolektywizmu kosztem ograniczenia znaczenia jednostki (z tym miałem kłopoty i na uczelni), walkę z religią i lekceważenie młodzieży wierzącej (to mnie denerwowało), publiczne i gwałtowne demonstrowanie przywiązania do idei „socjalizmu” (manifestacje, pochody, szturmówki, skandowanie) i wreszcie, co było nader ważne, służalcze tony wobec ZSRR i generalissimusa Stalina. Nasz szkolny ZMP był rządzony przez Stanisława Cieślika, ambitnego chłopaka ze wsi, pozbawionego skrupułów, a za to wyposażonego w wielką ilość złych cech charakteru. Tenże Cieślik zaczął się szarogęsić, etykietować koleżanki i kolegów w zależności od jakichś klasowych czy pochodzeniowych kryteriów. Halina, moja przyszła żona, też miała u niego „przechlapane”, gdyż pewnego razu odważyła się skarcić go za jakieś niewłaściwe zachowanie.

Przykro było patrzeć jak niektórzy zastraszeni profesorowie dawali mu lepsze oceny niżli innym uczniom. Bywało też, że odpytywany uczeń Stanisław Cieślik bezczelnie odczytywał swoją odpowiedź z kartki a ten czy inny profesor nie reagował na to w ogóle.

Myśmy to wszystko widzieli, cała klasa i milczeliśmy. Komentarze były tylko w zaufanym gronie, bowiem taka atmosfera sprzyjała przecież donosicielstwu. I tak było z pewnością. Siostra Haliny, moja szwagierka Isia, nie dostała się na studia z powodu złej opinii ZMP. Uznano ją za wroga „obecnej rzeczywistości” gdyż lubiła śpiewać piosenkę „Polesia czar”, co było wyrazem wrogości wobec ZSRR, a może nawoływaniem do rewizji granic. Ja byłem prymusem w klasie, ale nie dostałem dyplomu przodownika nauki i pracy społecznej” który uprawniał do studiów wyższych bez egzaminu, na wybranym kierunku. Otrzymał go, no któż by inny, kolega Cieślik, który wybrał metalurgię kolorową na jednej z uczelni w ZSRR. Nie pracował potem w wyuczonym zawodzie. Okazał się być przydatnym w aparacie partyjnym, gdzie doszedł do stanowiska I-go Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy”.

Wspomnienia Waldka Wiejacza, mimo, że pisane z dużej perspektywy czasu zaskakują niezwykle szczerością. Nie jest to wcale łatwe zwłaszcza dla ludzi o uznanych już zasługach dla minionego ustroju. Dotyczą przecież czasów trudnych, kiedy czyny i działania rozmijały się często z sercem i sumieniem. Ów dualizm moralny jest w pamiętnikach Waldka Wiejacza bardzo widoczny. Dla kontrastu więc jego druga wypowiedź poniżej

„Mój ojciec zgłosił się do pracy pierwszego dnia po wyzwoleniu. Stał za tą samą tokarką w warsztatach naprawczych PKP. Wkrótce zapisał się do Polskiej Partii Socjalistycznej. Nigdy nie dowiedziałem się dlaczego to zrobił. Nie było wtedy jeszcze żadnego nacisku na przystępowanie do partii. Gdyby się kierował oportunizmem to by wstąpił do PPR, która już istniała i była wówczas „siłą wiodącą”. Sądzę, że miał Ojciec jakieś lewicujące poglądy, które wyniósł ze Związku Zawodowego Kolejarzy. Ciekawe były dalsze losy Ojca. Po zjednoczeniu partii robotniczych, stał się oczywiście członkiem PZPR i był wybierany do władz partyjnych (chyba jako „ozdobnik” np. jako członek Komitetu Miejskiego PZPR w Jędrzejowie), Zaraz potem stał się „przodownikiem pracy”. Otrzymywał wtedy różne nagrody i odznaczenia, wyjeżdżał na wczasy. W roku 1952 w ramach modnego wówczas awansu społecznego został mianowany zastępcą naczelnika warsztatów naprawczych kolejki wąskotorowej. Był z tego bardzo dumny. Po 1956 roku, w ramach odwilży i usuwania z kierowniczych stanowisk ludzi niemających dostatecznych kwalifikacji zawodowych Ojcu polecono stanąć ponownie za tokarką.

Tę degradację przeżył strasznie, choć nie dawał tego poznać po sobie. Wkrótce dopadł go pierwszy zawał, potem drugi. Umarł w roku 1962.

Często myślę o Ojcu jako o ofierze „rewolucyjnych” przemian, ale i o jego uczciwości połączonej z naiwnością. Ile się ten człowiek naszarpał żeby sprostać zadaniom i oczekiwaniom. A był człowiekiem ambitnym i ogarniętym społecznikowską pasją”.



Reprezentacja piłkarska naszego liceum.  
Pierwszy od lewej Bobek Kniewski, czwarty to Waldek Wiejacz,  
Po prawej stronie sędziego: Ciechanowski, Dziedzic, Sadowski.  
Leżą: w środku bramkarz Kurkowski a na prawo od niego  
kapitan drużyny, Adol Chrzanowski.

\* \* \*

Najmłodszym z nas, autorów tej książki jest Zbyszek Ciałowicz, który mówi, że nowa ideologia związana z przemianami politycznymi w Polsce, różne w naszym jędrzejowskim ogólniaku przybierała formy. Jedni byli za, inni przeciw. Z tego powody powstawały oczywiście liczne grupy i grupki, tu zetempowcy, tam złota młodzież, ówdzie ci z katolickimi przekonaniami więc bywało, że bijatki wynikały z tego rozmaite, jak to u chłopaków gdy głowy stawały się gorące. Różne też przezwiska sobie dawano, Tadka Głuchowskiego na przykład nazywano Czang-Kai-Szek.iem, a był to przecież



przywódca imperialistycznych Chin, najgorszy wróg całego postępowego świata ze Związkiem Radzieckim na czele. Dlaczego takie przewisko dano właśnie Tadekowi? Nikt tego nie wie.

Kiedyś, po takiej ideologicznej bójce, na przerwie między lekcjami, jeden z uczniów, atakujących grupę Czang-Kai-Szeka, złapany został przez dyżurnego profesora i celem ukarania zaprowadzony przed oblicze dyrektora Adamczyka

Dyrektor wstał zza biurka i zapytał.

- A ty synu jak się nazywasz?

- Ciałowicz Zbigniew – usłyszał w odpowiedzi.

- To jaką znowu burdę na dużej przerwie żeście zrobili?

- Walczyliśmy panie dyrektorze

- Jak to walczyliście? Kto z kim?

- Chiny Ludowe z Czang-Kai-Szekiem

- A ty kto jesteś?

- Chiny Ludowe

- To dobrze. Możesz wracać do klasy.

W taki więc niewyszukany sposób ideologia uratowała ucznia Ciałowicza Zbigniewa od obniżonej oceny ze sprawowania. Ale co się odwlecze, jak mówi przysłowie..

- Byłem już w dziesiątej klasie – wspomina dalej Zbyszek Ciałowicz kiedy na lekcje historii prowadzoną przez profesor Wandę Wiśniewską przyjechała wizytatorka z kieleckiego Kuratorium. Tematem jej pokazowej lekcji był wpływ jednostki na bieg historii w oparciu rzecz jasna o marksistowską teorię dziejów, że jednostka jest niczym, zerem, a tylko masy pracujące in gremio tworzą historię i lepszy świat.

Ja wtedy byłem akurat pod takim mocnym wpływem tyle co przeczytanej, wybitnej zresztą książki Wiktora Hugo pt. „Dziewięćdziesiąt trzy”, która historyczną rolę jednostki przedstawiła zupełnie inaczej niż pani wizytator. Zapytałem więc czy zna może tę książkę, która jest zupełną intelektualną przeciw wagę do głoszonej przez nią teorii?

- To o czym pani nam mówi – twierdziłem - sprzeczne jest również z działalnością choćby Mahometa, Czyngis-chana, Tamerlana, a ze współczesnych Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina.

Tego to już dla pani wizytator było za wiele. Podniosła się zza stołu i wyszła z klasy, za nią pobiegła nasza pani profesor, a mnie po małej chwili wezwano do dyrektora.

Obniżono mi wtedy stopień ze sprawowania z „bardzo dobrego” na „dobry” więc i tak miałem szczęście, bo gdybym dostał „odpowiedni” musiałbym powtarzać rok.

Na początku jedenastej klasy rozpoczął się w naszym liceum taki bum na zapisywanie się do ZMP.

- Ja też się wtedy zapisałem – mówi Zbyszek. – Kto był bowiem uznany przez ZMP jako ideologicznie już dojrzały mógł idąc na studia liczyć na dobry wpis w formularzu personalnym, a kto miał zły, to szedł w odstawkę. Dużo tutaj do powiedzenia miał przewodniczący naszych zetempowców, kolega Julian Łebek, z dziesiątej klasy. Różnił on się tym od swoich ideologicznych poprzedników, Józka Góry i Janka Zająca, że lubił wypić a i zachuliganic potrafił.

W XI klasie dokooptowano nam dwóch drugorocznych uczniów to jest Czesława Kałkę, który później został dyrektorem Jędrzejowskiego Liceum, oraz Stanisława Palimąkę późniejszego księdza. To, że Czesiu Kałka będzie w przyszłości wybitnym pedagogiem, wszyscy żeśmy przeczuwali, był bowiem znakomitym uczniem, ale że Stachu Palimąka zostanie księdzem, nie, tego się nikt nie spodziewał. Nagle zjawił się u nas w domu w Jędrzejowie w sutannie już jako kleryk.

W naszej XI kasie przewodniczącym zetempowców wybrano Zygmunta Łapaja. Fajny był z niego kumpel, taki trochę powolny, opieszwały ale swoją funkcję piastował z dużym namaszczeniem, co powodowało różne uwagi i uszczypliwości z naszej strony. Gdy Zygmunt zaczynał coś mówić politycznie, to chłopaki zaraz wołali.

- Siadaj Łapaj bolszewiku jeden.

Z tamtych lat Zbyszek Ciałowicz opowiada jeszcze jedną, bardzo fajną historyjkę, a ponieważ dotyczy ona bardzo sławnego dziś człowieka, więc warto ją tu przytoczyć.

Otóż uczniowie XI klas mieli w ramach pracy społecznej obowiązek prowadzenie takich pogadanek oświatowo - politycznych z uczniami młodszych klas. Zbyszkowi również przypadło przeprowadzenie takiej lekcji. Po wygłoszeniu referatu na temat „miejsca niepodległej Polski Ludowej w świecie”, nastąpiła dyskusja a potem zadawanie pytań.

Jako pierwszy zgłosił się do dyskusji taki drobny blondynek i zapytał, czy rzeczywiście jesteśmy suwerennym krajem, jak to szanowny prelegent powiedział, skoro na naszych ziemiach zachodnich stacjonują wciąż wojska radzieckie?

- Zdębiałem - opowiada Zbyszek. Wiedziałem oczywiście o tym. Też cichcem słuchałem Londynu i „Głosu Ameryki” gdzie stawiano często takie właśnie pytania. Ale żeby mieć odwagę w szkole i tak pro publico bono?

Już nie pamiętam jak z tego wybrnąłem. Starąłem się pewnie uzasadnić to zagrożeniem imperialistycznym, zwartością obozu socjalistycznego, przyjaźnią polsko-radziecką, szybko jedna zmienilem temat i zakończyłem dyskusję. Szkopuł tkwił jednak w tym, że z każdego takiego spotkania należało składać pisemne sprawozdanie zarządowi ZMP. I co ja miałem wtedy zrobić? Napisałem oczywiście to sprawozdanie ale słowem nie wspomniałem o wystąpieniu Stanisława Gomułki, ucznia wtedy ósmej klasy, a obecnie wybitnego ekonomisty i doradcy kilku kolejnych Prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej. Uratowałem go wtedy, co? Bo gdyby trafił na kogoś innego.

\* \* \*

Należy tu również powiedzieć, że w tamtych powojennych czasach jędrzejowskie Liceum Ogólnokształcące było jedyną szkołą w mieście i okolicy, która zapewniała biednej młodzieży możliwość zdobycia przynajmniej średniego wykształcenia. I wielu młodych ludzi z tego skorzystało. Dla przykładu przywołam tu casus Teresy Łatkiewicz- Podsiadło z którą zaprzyjaźniony jestem od wczesnego dzieciństwa, więc wiem w jak niesamowicie trudny sposób zdobywała wykształcenie.



Na pamiątkowej fotografii ( od lewej)  
Basia Skoczek, Hania Iberszer i Teresa Łatkiewicz.

Gdy chodziła do liceum, to jeszcze świeć Panie, jakoś to było. Ciężko oczywiście, gdyż ich rodzina składała się z pięciorga dzieci i wszyscy wraz z rodzicami mieszkali w jednym pokoju z kuchnią (30 m<sup>2</sup>) co oznaczało, że każda z osób miała dla siebie 4 m<sup>2</sup>. Tytle co duży stół.

Poprawę sytuacji przyniósł Teresie wyjazd do Kielc, gdy w lipcu 1956 roku zdała egzamin wstępny na wydział filologii polskiej Studium Nauczycielskiego w Kielcach, gdzie już po dwóch latach nauki mogła zdobyć zawód i podjąć pracę.

Na normalne studia jej rodziców nie było po prostu stać.

Po ukończeniu SN-u podjęła pracę nauczycielki w Szkole Podstawowej w Zagnańsku k. Kielc. Uczyła też dorosłych, którzy musieli zdobyć przynajmniej podstawowe wykształcenie, żeby móc pracować. Na zajęcia przychodzili często zmęczeni, głodni, śpiący, ale na ogół otrzymywali upragnione świadectwo.

Teresie nie wystarczyło jednak tylko półwyższe wykształcenie. Lubiła się uczyć, miała swoje zawodowe i intelektualne ambicje, więc postanowiła kształcić się dalej. Rozpoczęła studia zaoczne w otwartej właśnie w Kielcach filii krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

I tu mała ciekawostka. Gdy profesor Jan Hatys z tej właśnie filii krakowskiej WSP zobaczył na świadectwie maturalnym Teresy Łatkiewicz, że łaciny uczyła

ją profesor Eugenia Żukowa, która była również jego nauczycielką w jędrzejowskim liceum, zaliczył jej ten przedmiot od razu. Uważał bowiem, że musi być w tej łacinie dobra skoro wyszła spod ręki profesor Żukowej.

W tak zwanym międzyczasie Teresa wyszła za mąż i urodziła syna Marka.

Po ślubie zamieszkała w Kielcach.

Przez pierwsze dwa lata studiów, przy pomocy męża, jakoś sobie radziła. W następnych latach było już trudniej, ponieważ zajęcia odbywały się w Krakowie.

– „Był to dla mnie niezwykle trudny czas – pisze w swoich wspomnieniach. Mój synek był dzieckiem chorowitym, wymagał większej niż inne dzieci opieki, a ja, oprócz pracy zawodowej musiałam się uczyć. Więc uczyłam się często z dzieckiem na kolanach, w nocy czytałam lektury, doksztalałam się w autobusach którymi codziennie dojeżdżałam do pracy w szkole.

W czasie letnich zjazdów w Krakowie wychodziłam z domu o 5 rano, stawałam przy ulicy Krakowskiej, oddalonej od mojego bloku o jakieś dwa kilometry i czekałam na okazje do Krakowa. Byłam tam około godziny 7-mej, zjadałam szybkie śniadanie w barze mlecznym i pędziłam na uczelnię. Zajęcia, z godzinną przerwą na obiad, kończyły się około godziny 17 lub 18 tej i zaraz potem gnałam też okazją, z powrotem do domu, gdzie sprzątałam, prałam, szykowałam obiad na następny dzień. A rano biegłam o 4 lub 5 na ulice Krakowską, etc, etc.

Sporo wtedy przez mój dom przewinęło się opiekunek do dzieci. Musiałam przecież zapewnić mojemu synkowi jakąś nianię, abym spokojnie mogła wyjeżdżać do Krakowa. Syn bowiem nie nadawał się ani do żłobka, ani przedszkola, bo nieustannie chorował na anginy.

Te opiekunki to zupełnie odrębny temat na opowiadanie. Jedna kradła, inna przyniosła mi do domu wszy, jeszcze inna pochłaniała niewyobrażalne ilości jedzenia. Przez 7 lat cała prawie moja nauczycielska pensja szła na te nieszczęsne pomoce. Dobrze, że mąż jako tako zarabiał.

Gdy mój syn miał 6 lat pojechałam do Kołobrzegu jako wychowawczyni na kolonię. Były to kolonie dzieci pracowników Kieleckiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego. Dyrektor Przedsiębiorstwa Zbigniew Ciałowicz zgodził się, żebym do tej pracy pojechała z synem. Miesięczny pobyt w Kołobrzegu sprawił, że dziecko prawie przestało chorować.

Bardzo ci, Zbyszku, za to jeszcze raz dziękuję.

Studia ukończyłam w roku 1970. Pracę magisterską pisałam na temat: „Nazwiska znaczące w utworach Józefa Korzeniowskiego”. Przez okres dwóch miesięcy przeczytałam 12 tomów dzieł tego autora (powieści, nowele, utwory sceniczne) Wybrałam 155 nazwisk i wszystkie je wszechstronnie omówiłam.

Już z dyplomem magistra otrzymałam etat nauczycielki języka polskiego w Zespole Szkół Ekonomicznych Zaocznych w Kielcach, gdzie przepracowałam kolejnych 15 lat.

Dziś, po 30- tu latach pracy w szkolnictwie jestem na tak zwanej zasłużonej emeryturze. Mój syn Marek ukończył informatykę na Politechnice Świętokrzyskiej i podobnie jak ja został nauczycielem.

Z obszernych wspomnień pani profesor Teresy Łatkiewicz-Podsiadło wybrałam do tej książki jedynie fragment dotyczące jej, co tu mówić, niesamowitego wręcz hartu ducha i uporów, z jakim dążyła do osiągnięcia wyznaczonych sobie celów. Niczego od losu nie dostała. To co jej rówieśnikom przychodziło stosunkowo łatwo, jak normalne dzienne studia, dostatek materialny czy pomoc rodziny, ona musiała się sama po wszystko schylić, wyrwać z życia, zdobywać, kosztem zdrowia, codziennej harówki i zarywanych nocy.

Dziś mówi, że mimo wszystko był to najpiękniejszy okres w jej życiu.

\* \* \*

Gdy ksiądz Wesołowski proboszcz z Imielna dowiedział się, że Janek Zajac ulubiony jego ministrant a także nadworny furman kościelnej bryczką zaczął schodzić na manowce, czyli wkroczył na złą, bolszewicką drogę, postanowił natychmiast go ratować. Kazał zaprzęgać konie i ruszył do Jędrzejowa.

Janek Zając twierdzi, że już wtedy cała ta sprawa z nagłą wizytą księdza Wesołowskiego wyglądała bardzo dziwnie. Komuś zależało chyba żeby w ten sposób skompromitować nowego szkolnego przewodniczącego ZMP i pod znakiem zapytania postawić jego polityczne przekonania. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że ksiądz z jakiejś małej wioski bez żadnych przeszkód zwolnił Janka z lekcji i wyprowadził na przyszkolne boisko sportowe. Cała szkoła zamarła wtedy z wrażenia. Wszyscy stali w oknach, nauczyciele również i patrzyli na przedstawicieli dwóch przeciwstawnych ideologii spacerujących po boisku. A oni chodzili, o czymś gadali i chodzili.

Zbyszek Ciałowicz twierdzi, że dylemat sprowadzał się wtedy do jednego tylko pytania. Czy ksiądz Wesołowski zdoła nawrócić Janka na drogę cnoty? Czy też Janek Zając nawróci księdza Wesołowskiego na marksizm leninizm?

- Tak źle nie było – śmieje się dziś Janek. Rozmawialiśmy o szkole, o mojej pracy wśród młodzieży, o potrzebie przyzwoitości w życiu. Pamiętam, że na koniec przyrzekłem księdzu, iż obojętnie jakie przyjmę poglądy, zawsze będę się starał być przyzwoitym człowiekiem.

Ci, którzy Janka znają, twierdzą, że słowa tamtego dotrzymał.

Żeby jednak dołożyć trochę pikanterii do tej opowieści o Janku i księdzu, przytoczę protokół z zebrania Zarządu Szkolnego ZMP w sprawie, że tak powiem światopoglądowej. Rzeczone bowiem zebranie odbyło się zaraz po tamtej wizycie księdza Wesołowskiego w jędrzejowskim liceum i dotyczyło Rzymu i Papieża.

Zeszyty z takimi protokołami znalazł Janek Zając na śmietniku jędrzejowskiego liceum, gdy po tak zwanej odwilży w 1956 roku likwidowano ZMP. Wtedy je zabrał i teraz przekazał mnie na potrzeby tej książki.

Jakież tam są perełki, ludzie! Czyta się to jednym tchem, bo i zdarzenia znajome i nazwiska bliskie. A jakie różne rzeczy na tych zebraniach wygadywano. Uwierzyć aż trudno.

#### **Protokół z zebrania Zarządu Szkolnego Koła ZMP przy Liceum Ogólnokształcącym w Jędrzejowie**

*z dnia 28 października 1950 roku (tekst i pisownia oryginalne)*

Porządek zebrania:

1. Zagajenie

2. Walka o Pokój na świecie

3. Sprawy organizacyjne:

a) zobowiązania w związku 33-cią rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej

b) analiza pracy Samorządu Szkolnego.

c) omówienie uchwały Rady Naczelnej ZMP

d) Omówienie zabawy szkolnej.

4. Dyskusja

5. Uchwały i wnioski.

Zebranie otworzył i zagał kol. Jan Zając. Referat na temat walki o Pokój na świecie wygłosił kol. Cieślak Stanisław.

*„Młodzież całego świata – powiedziała – stoi na stanowisku walki z podżegaczami wojennymi”*

*Następnie kol. przewodniczący mówił, że klątwa jaką grozi nam papież, jest niesprawiedliwa i krzywdząca. Widać tu wyraźnie działalność idącą po myśli obozu imperialistycznego. Czemu papież nie rzucił klątwy na zbrodniarzy hitlerowskich a grozi nią bojownikom o pokój i lepszą przyszłość świata pracy. My jako młodzi członkowie ZMP stanowczo przeciw temu protestujemy, Należy z całą siłą przeciwstawiać się wsteczniectwu kleru i reakcyjnemu kościołowi.*

*W sprawach organizacyjnych omówiono przygotowania szkoły do obchodów święta Rewolucji Październikowej oraz zobowiązań na jej cześć. W każdej klasie członkowie ZMP powinni zorganizować masówki na podłożu dialektyki marksistowsko – leninowskiej.*

Na zebraniu ogólnym, każda klasa przedstawi swoje zobowiązania w nauce i postępie w zaangażowaniu politycznym. Obchody święta Rewolucji są też okazją żeby poznać życie i prace Narodu Radzieckiego. Młodzież ZMP- wska powinna chodzić zbiorowo na filmy radzieckie, które są wartościowe w przeciwieństwie do amerykańskich. Powinny być one analizowane na zebraniach i lekcjach wychowawczych. Za bilety odpowiedzialna jest osobiście kol. Kuliś, która wykupuje bilety.

W punkcie 2 -gim poddano analizie pracę Samorządu Szkolnego.

Kolega Wiejacz Józef, jako prezes Samorządu był już zawieszany w członkostwie ZMP-wskim, co źle o nim świadczy. Był pod wpływem wroga, ale widać, że się przełamuje. Należy na niego zwracać uwagę, bo może się maskuje.

Zantfos Halina jest bierna. Charakteryzuje ją dwulicowość i pochodzenie szlacheckie.

Szyrmer Jan: wroga ideologia, sprzeczny z natury.

Samorząd za mało współpracuje z organizacją ZMP-ską.

Punkt 3. Omówienie Uchwały Rady Naczelnej ZMP.

Zgodnie z uchwałą Rady Naczelnej ZMP o czystości szeregów i walce ideologicznej z wrogami nowej rzeczywistości, Zarząd Szkolny ZMP postanowił usunąć albo zawiesić w czynnościach następujących członków:

Klimczak Jerzy - usunięty z organizacji za kolegowanie z bikiniarzami i dzokerami.

Gleń Marian – za lekceważenie organizacji i wrogi do niej stosunek

Nurczyńską Barbarę – bo obca klasowo.

Jerzy Szczygieł, Malarski Zbigniew, Rogulska Jadwiga, Afanasjew Krystyna, Dębska Barbara oraz kol. Orlińska – za wrogi stosunek do nowej rzeczywistości.

W prawach członków ZMP zawieszeni zostali:

Kol. Czaplą Władysław, Halina Chatys, Leśniewska Julia, Szczygieł Eżbieta, Chrzanowski Jan, Osiński Zdzisław – zawieszeni na 2 miesiące za brak ideologicznego zaangażowania.

Korona Wiesław ponieważ złożył samokrytykę, zawieszony na 1 miesiąc.

W kolejnym punkcie porządku omówiono złe zachowanie młodzieży zetempowskiej na potańcówce szkolnej zorganizowanej przez Zarząd ZMP.

Sprawę omówił kol Tarach Julian. Zabawa nie przyniosła rezultatów jakich się spodziewano. Członkowie Zarządu ZMP zamiast święcić przykładem źle się zachowywali. Walczymy z pijaństwem, ale na zabawie młodzieżowej były wypadki pijanych członków, czego przykładem jest Pełka z 10c, Jerzy Szczygieł, Lucjan Pawlik i Stanisław Kowalczyk. Należy podjąć w stosunku do nich konsekwencje. Pojawiły się też na zabawie tańce kosmopolityczne. Należy je tępić w naszej organizacji. Walczymy o socjalistyczną kulturę. Solidaryzowanie się z wrogiem klasowym jest równoznaczne z wrogą działalnością.

#### Wnioski:

Całkowicie zlikwidować pijaństwo wśród młodzieży. Całkowita walka z kosmopolityzmem.

Kol. Włodarczyk podał projekt, by nie grać rumb. Kol Ostrowski samokrytycznie zaznaczył, że był odpowiedzialny za tańce na zabawie, ale kiedy grali rumb, to akurat wyszedł.

W wolnych wnioskach poruszono sprawy szkolnego Towarzystwa Przyjaźni Polsko Radzieckiej. Należy je zaktywizować.

Kol. Jan Hatys powiedział, że przyjaźń trzeba związać z lekturami. Na przykład przy omawianiu Komsomołu przeczytać książkę pt. „Młoda Gwardia”.

*W tym samym temacie opowiedział się kol. Cieślak. Dla poparcia szkolenia ideologicznego należy omawiać literaturę pisarzy radzieckich: „Jak hartowała się stal” albo „Daleko od Moskwy”. Należy też uczyć młodzież postępowych piosenek jak: „Wara od Odry”, „Zdobyczym krokiem”, „Pieśń Przyjaźni”, „Na barykady”.*

*Zebranie zakończono odśpiewaniem hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej.*

*Sekretarz*

*Stańczak Regina*

*Przewodniczący*

*Przew Zarz. Szk. ZMP*

*Jan Zajęc*

A ten hymn ŚFMD, to pamiętacie jeszcze starzy ZMP-wcy, jak go się wtedy na szkolnych apelach śpiewało?

Naprzód młodzieży świata

Nas braterski połączy dziś marsz

Groźne przeminą lata

Hej, kto młody pójdź z nami i walcz.

Na lądzie i na wodzie

Na wschodzie i na zachodzie

W marszu po szczęście pokój radość

Zgodnie nasz dźwięczy krok.

refren:

Nie zna granic ni kordonów

Pieśni zew, pieśni zew, pieśni zew.

Wiec śpiewajmy nie zamilknie

Wolny śpiew, wolny śpiew!

Przez cały świat słowa pieśni tej

Niech niesie wiatr.

Nie zamilknie nie ucichnie wolny śpiew

Wolny śpiew, wolny śpiew!

(muzyka, kompozytor radziecki A. Nowikow, słowa polskie K. I. Gałczyński)

### **Curriculum vitae**

#### **Jan Zajęc - liceum**

*Wśród ludzi którzy pamiętają jeszcze pierwsze powojenne, lata pada często stwierdzenie, że „my byliśmy inni”. I jest w tym chyba sporo prawdy. Bo pokolenie nasze miało już przecież za sobą ciężkie wojenne i okupacyjne doświadczenia. Emocjonalnie więc, a i fizycznie również dojrzewaliśmy szybciej niż nasi rówieśnicy z czasów już pokojowych. W dniu zakończenia wojny miałem ledwie czternaście lat i już za sobą rok pracy u krawca w charakterze ucznia i cztery miesiące przymusowego kopaniu rowów strzeleckich na Nidę przy niemieckich umocnieniach frontowych.*

*Gdy po ukończeniu podstawówki w Imielnie wyjeżdżałem do szkoły średniej w Jędrzejowie, byłem już zafascynowany rewolucyjnymi hasłami nowej władzy ludowej. Pochodziłem przecież ze wsi z całą jej biedą i nierównością społeczną. Widziałem, że byli ludzie*

wyzyskiwani i tacy, którzy wyzyskują i że chleb nie był dzielony sprawiedliwie. Z całym więc młodzieńczym zapałem dołączyłem do ludzi, którzy chcieli żeby wreszcie zapanowała równość, żeby wszyscy mieli prawo do nauki i pracy i żeby na świecie był pokój.

Ja naprawdę tego chciałem, gdyż całe tamto spektrum demokratycznych żądań było w zupełnej zgodzie z moim krótkim ale jednak doświadczeniem życiowym.

Któregoś dnia, już po wojnie, mój bogaty wuj zabrał mnie ze sobą jako furmana jego bryczki do znajomych na drugą wieś. I tutaj zadrwił sobie ze mnie jakoś tak bardzo boleśnie, że utkwіło to we mnie niczym taka zadra na całe lata.

Wyprzęgnąłem wtedy konie z bryczki i wszedłem do domu, gdzie mój wuj biesiadował już z gospodarzami. Stałem w drzwiach bosy w ręku międlitem czapkę. I wtedy gospodarz spytał: Kto to ?

Wuj odpowiedział: „zięcia wam przywozłem”. Macie przecież dwie córki, nie?

Do dziś pamiętam tamten ich śmiech. Zarykiwali się niczym z najlepszego dowcipu. Naigrywali się z mojej biedy. Ja i ich córki, też pomysł.

Muszę tu dodać, że żaden późniejszy wykład ideologiczny poddający krytycznej analizie istotę różnic klasowych, nie dokonał w mojej świadomości większego przełomu niż tamto właśnie zdarzenie. Dziś oczywiście patrzę na to wyrozumiałością i uśmiechem.

Ale w tamtych czasach byli również ludzie, którzy się temu naszemu pragnieniu równości społecznej sprzeciwiali. Chcieli utrzymać stare porządki. My młodzi odwrotnie. Byliśmy niecierpliwi i bezpardonowi. Chcieliśmy jak najszybciej oglądać owoce tego naszego entuzjazmu. Wszystkie niepowodzenia kładliśmy na kark wrogich działań przeciwników ustrojowych. Szukaliśmy ich wszędzie, w najbliższym otoczeniu również. Bezsporne sukcesy w odbudowie kraju, stabilizująca się sytuacja polityczna i gospodarcza utwierdzały nas w przekonaniu, że robimy dobrze i że my tylko mamy rację.

W tamtych latach, jeszcze przed zjednoczeniem organizacji młodzieżowych w jedno ZMP, istniały już wyraźne podziały wśród gimnazjalnej młodzieży. Jedni bowiem pochodzili ze środowisk chłopskich i robotniczych, a drudzy od burżuazji i miejskiej inteligencji. Młodzież chłopską i robotniczą jednoczyły wówczas liczne organizacje o charakterze lewicowym jak OM TUR, ZWM, czy ZMW „WICI”. Ja zapisałem się wtedy do OM TUR –u, czyli Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, która mieściła się w parterowym pawilonie gdzie dziś stoi budynek Banku Narodowego. Nie byłem jeszcze wtedy ani działaczem, ani aktywistą młodzieżowym lecz z wypiekami na twarzy chłonołem wszystko, co mówili nam tacy doświadczeni już działacze jak Heniek Cudzik, Olek, Zdzychu i Janina Patrzalkowie, Włodek Garycki, Jan Wiejacz, Staszek Cieślik, Renia Stańczak, Staszek Ostrowski, Szmit, Fiuk...

Naszą szkołę odwiedzał również Pan Babinicz – dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Pawłowicach koło Sędziszowa. Legendarna postać z tego okresu. Był doskonałym pedagogiem, organizatorem, fantastycznym gawędziarzem. To on właśnie wykształcił całe pokolenie działaczy i organizatorów życia kulturalnego na wsi.

Nas młodych, lewicowych ideowców łączyły jeszcze bijatyki z roslymi i wysportowanymi harcerzami spod znaku „skautingu”. W naszym jędrzejowskim gimnazjum, trzeba to nazwać po imieniu, była to bojówka kierowana przez naszego zacnego prefekta. Nie wspominam nazwisk tych kolegów, bo często siedzieliśmy z nimi w jednej ławce, a i czas te antagonizmy spopielił, wymazał z pamięci

Zjednoczenie organizacji młodzieżowych wypadło na okres wakacji. We wrześniu wróciliśmy do szkoły jako ZMP- owcy. Od Władka Kulisa – on był na Zjednoczeniowym zlocie, dostałem w prezencie znaczek ZMP- wski, który mam do dziś.

Zaczęła się żmudna organizatorska praca w tworzeniu nowych struktur i wyłaniania ich zarządów. W tej pracy brałem już aktywny udział nie tylko na terenie szkoły, ale powiatu również. W każdą sobotę i niedzielę całymi grupami wyjeżdżaliśmy w teren na wieś do młodzieży. Tak było weselej i bezpieczniej. Z tym „jeździliśmy” to nie była zupełna prawda. Najczęściej już od pociągu szło się piechotą do wyznaczonej miejscowości i wracało się podobnie. Pamiętam, że kiedyś, późną jesienią w 1948 roku wracaliśmy razem z Romanem Wiśniewskim członkiem Zarządu Powiatowego ZMP ja ze Staniewic a on z Lipia koło Sobkowa. Padał deszcz ze śniegiem, a my nocą piechotą zśliśmy na stację w Sobkowie. Dotarliśmy tam około północy jak dwa sople lodu. Dla mnie skończyło się to katarem i kilkudniowym leniuchowaniu w łóżka, u Romana zaś zapaleniem płuc, długą chorobą i gruźlicą.

No ale cóż. Daliśmy się ponieść nowym ideałom, a także, co dotarło to do mnie znacznie później, byliśmy też mocno manipulowani i instrumentalnie wykorzystywani. Co by jednak dzisiaj nie powiedzieć, to osiągnięciem na miarę wręcz historyczną był nasz udział w walce z analfabetyzmem. W roku 1945 było w Polsce około 25% analfabetów, to jest ludzi którzy wtórnie albo od urodzenia nie umieli pisać, ani czytać. Nasz szkolny zarząd ZMP podjął wnet zobowiązanie w tym temacie i rozpoczął nauczanie. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania.



*Było się z czego cieszyć, ale nie brakowało też powodów do zmartwień. W moim bowiem domu rodzinnym zaczęła się bieda. Gdzieś od początku 1949 roku nastąpiło wyraźne zwiększenie nacisków na kolektywizację, podniesiono obowiązkowe dostawy płodów rolniczych na rzecz Państwa, a ceny materiałów do produkcji rolnej poszły w górę. Wszystko to plus koszty mojej stacji w Jędrzejowie powodowało, że żyło się coraz ciężiej do tego stopnia, że rozważałem nawet przerwanie nauki.*

*Z pomocą przyszło mi wojsko. Przeprowadzano wtedy we wszystkich szkołach średnich taką akcję werbunkową pod hasłem „nie matura lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera”. Armia nasza potrzebowała bowiem oficerów. Trwał przecież konflikt zbrojny na półwyspie koreańskim, gdzie ścierały się dwa ustroje. Nasz socjalistyczny z ich imperialistycznym ze Stanami Zjednoczonymi na czele.*

*Połączyłem ten haczyk i po tak zwanej małej maturze we wrześniu 1949 roku znalazłem się w Oficerskiej Szkole Artylerii w Poznaniu. Ojciec aż odetchnął. Odpadło mu opłacanie stacji i co oficer, to oficer.*

*Nie trwało to jednak długo, bo już w trzy miesiące potem stwierdzono na podstawie moich dokumentów, że elew Jan Zajęc jest niepełnoletni i jako taki nie może być dalej słuchaczem szkoły.*

*Przywdziałem więc cywilne ubranie, wróciłem do Jędrzejowa i swojego ogólniaka. Straciłem co prawda rok ale w nagrodę spotkałem się w tej samej klasie z dziewczyną „w seledynowej sukience”, czyli moją Ireną Wielińską.*



# STANCJE

To były takie wynajmowane pokoje, albo najczęściej tylko łóżka, głównie przez młodzież, która z okolicznych wiosek przyjeżdżała do szkół w Jędrzejowie. Internatów jeszcze wtedy nie było, choć u nas na rogu ulicy Krzywej a Kilińskiego był jeden taki, gdzie na piętrowych łóżkach spało trzydziestu chłopaków i przy jednym stole odrabiali lekcje. Na stancjach zresztą wcale nie było lepiej. Wiem coś na ten temat, bo moja mama prowadziła w naszym domu przy ulicy 14 go stycznia 91 taką właśnie stancję, gdzie na 30 metrach kwadratowych żyło nas siedem osób. To znaczy trójka nas Kalininów, oraz same późniejsze znakomitości jak: Ludwik Pak, wybitny potem aktor filmowy i teatralny, Heniek Jach Komendant Wojewódzki MO w Gdańsku, Staszek Kowalczyk, inżynier górnik i Gieniu Pełka, który nie zdążył dołączyć do swoich wielkich kolegów, bo śmiertelnie potracił go samochód z „Podkówczarni”, gdy rano szedł do szkoły.

Tamten czas to był okres wspianiały, żyliśmy wszyscy jak jedna rodzina. Moja mama wszystkim matkowała, doradzała, pomagała przy poprawianiu niedostatecznych ocen. Każdemu z nas przed pójściem do szkoły sprawdzała wygląd i „żałobę” za paznokciami. Trzeba było też mieć na glanc wyczyszczone byty i pachnieć czystością.

- Bo uczeń liceum, proszę panów – mówiła - o, to już inteligencja.

Rodzice chłopaków akceptowali taki dryl. Przyjeżdżali przecież co tydzień, żeby dostarczyć zapisane w umowie o „korzystaniu ze stancji” świeże produkty żywnościowe. Ziemniaki, kapustę i inne warzywa, oraz mąkę, kaszę, smalec, mięso, czasem kiełbasę lub dziczyznę złapaną we wnyki. Wyżywić bowiem sześciu zawsze głodnych dryblasów, nie było wcale łatwo. No i ten dom. Boże, jakież to był dom. Nigdy potem w życiu tak pięknie już nie było. Każdy z nas miał przecież masę różnych kolegów i koleżanek, którzy prawie codziennie odwiedzali naszą stancję. Fajne dziewczyny spotykały tu fajnych chłopaków, fajni chłopcy dziewczyny. Bywało, że słuchaliśmy wspólnie, jak Lulek Pak, który już wtedy przejawiał ogromne zdolności aktorskie, czytał nam patetycznie propagandową wtedy awangardę Majakowskiego.

„Kto tam znów rusza prawą?

Lewa, lewa, lewa”

Z Lulkiem Pakiem jakoś szczególnie szybko skumał się Włodek Bożęcki. Przychodził często do nas na stancje, bo jak mówi przysłowie, swój swojego zawsze znajdzie. A Włodek duszę artysty miał od urodzenia.

Już wtedy, niczym w teatrze, czytał nam z Pakiem na dwa głosy sztukę Juliana Tuwima „Porwanie Sabineek”, a my wszyscy, to jest cała nasza stancja i koledzy z sąsiedztwa: Jadzia i Teresa Łatkiewiczówny, Lucek Pawlik, Waldek Znojek, Jadzia Świtalska, Dzidek Wypych, Zenia Leśniewska, że wymienię tylko zapamiętanych, słuchaliśmy zauroczeni.



Włodek Bożęcki w roli dyrektora Strzygi Strzyckiego w „Porwaniu Sabineek” Z lewej Ryszard Chrobot.

Tamto „Porwanie Sabineek” musiało chyba Włódkowi Bożęckiemu mocno zapaść w serce, skoro po latach wystawił tę sztukę na scenie jędrzejowskiego Domu Kultury. Grał tam, znakomicie zresztą, sławetną rolę dyrektora Strzygi - Strzyckiego.

Powtarzam. Grał znakomicie i wiem co mówię, bo aż dwa razy oglądałem to przedstawienie, dlatego tak pamiętam je do dziś..

O Włódku Bożęckim dużo i ciepło napisała pani Beata Znojkowa w swojej pięknej książce pt „Korzenie i Skrzydła”, więc nie będę się powtarzał (zresztą tak ładnie bym nie potrafił). Dodam tylko, że z Włódkiem Bożęckim przyjaźniliśmy się właściwie od

Jędrzejów 18. XII. 1955.

Drogi Andrzejku.

Moje drugie milczenie nie jest objawem zamiku powłoki, lecz efektem mi kojącej się choroby i wytrwałego pobytu w szpitalu. Te kilka słów zostało napisane w szpitalu, gdzie aktualnie pulsujełam już od kilku tygodni.

W poniedziałek zostałam skierowana do kliniki Knaleskiej i poddany operacji serca. Po powrocie boję się tego zabiegu, ale jestem przekonana, że wkrótce słysząc się moje cierpienie.

Bardzo mi miło było w poniedziałek w szpitalu, więc (z nadzieją w sercu) przysięgam sobie, że jeśli przeżyję, to wrócę do Jędrzejowa. Żyję dalej z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Dwa, dwa zdrowia, poproszę o zdrowie, sukcesów artystycznych i wszelkiej pomyślności dla Ciebie i Twojej rodziny.

P.S. Obawiam się, czy do tego czasu, nie ma już choćby jednego bratankowego, bo w szpitalu ma to wstrząs, że do obornia (jeśli powróci!) grobić pod Konie Kwietnia. Przekazuję za Ciebie miłe pozdrowienia!  
 Z sercem  
 Włodek

wczesnych, młodych lat. Bywałem potem na Jego wystawach malarskich i w tej niezwyklej piwnicy artystycznej, gdzie emanowało prawdziwą sztuką i jakimś takim artystycznym klimatem. Obrazy były Jego sztuką, On sam zaś takim uosobieniem kultury z tą jego niegdysiejszą już gracją i elegancją w życiu i byciu. Byłem chyba ostatnim z jego przyjaciół, który otrzymał od Niego list, tuż przed śmiercią w krakowskim szpitalu. Ponieważ list ten jest czymś w rodzaju moich relikwii po ludziach pięknych i szlachetnych przeto pozwolę go sobie tu zamieścić.

Włodek musiał być już bardzo chory i myślami pewnie gdzieś tam w przeszłych i lepszych dla siebie latach, skoro w nagłówku listu umieścił datę: Jędrzejów 18 XII 1955 rok.

Co się wydarzyło wtedy Włodekowi, że ten rok tak zapamiętał? Szkoda, że już nam nie powiesz.

Bardzo piękne wspomnienie o Włodku Bożęckim napisał w „Gazecie Jędrzejowskiej” Janek Zajac. Razem przecież kiedyś działali w ZMP.

„Włodek poznałem jesienią 1947 roku – pisze Janek -, kiedy któregoś dnia odwiedzałem swojego kolegę Edka Kwietnia, mieszkającego u państwa Bożęckich na tak zwanej „stancji”. Włodek był od nas sporo młodszy. Taki szczupły, drobny blondynek o bystrych oczach obserwatora. Wymieniliśmy uściski dłoni i od tamtego dnia byliśmy już dobrymi kolegami. Dla chłopców z wioski, takich jak ja czy Edek Kwiecień, była to znajomość ważna bo, że tak powiem, miastowa.

Obaj przecież z Edkiem zostaliśmy rzućni z rodzinnego

Jakubowa na jędrzejowski bruk i to prawie dosłownie, bo ulice były tu brukowane i domy kamienne wysokie nawet na dwa pietra. Byliśmy świeżymi absolwentami Szkoły Powszechnej w Imielnie i Jędrzejów jawił się nam jako takie przysłowiowe „city”

Ja po nieszczęsnej naprawie zegara u państwa Turskich wylądowałem w przeludnionym internacie, Edek zaś u państwa Bożęckich, gdzie traktowany był jak syn.

Już wtedy w roku 1947 rozpoczęło się w Polsce reformowanie nie tylko oświaty, ale życia w ogóle, bo zawsze (dziś też) znajdują się tacy reformatorzy, co to wiedzą lepiej jak trzeba nam żyć, jak pracować, uczyć się, kochać i umierać.

Właśnie o tych reformach i reformatorach gadaliśmy sobie z Włodkiem przy okazji kolejnego Święta Jędrzejowa. Włodek był już wtedy poważnie chory, ale nie chciał rozmawiać o swojej chorobie. Pytał mnie o moją żonę Irenę. Był przecież niejako naszym swatem, bo przed laty na takiej szkolnej zabawie w „jedynce” poznał nas ze sobą.

Wtedy jednak w roku 1998 na tym jędrzejowskim święcie miasta rozmawialiśmy głównie o polityce. Włodek mówił, że trzeba być okrutnym cynikiem, żeby Warszawę podzielić na gminy, a człowieka zarządzającego sprawami Pcmia nazywać prezydentem.

- Janku – mówił. – Chyba nie ma już Państwa”.

W tym zdaniu zawarł prawie wszystko, żal, obawy i krytykę tego, co się wówczas wokół nas działo.

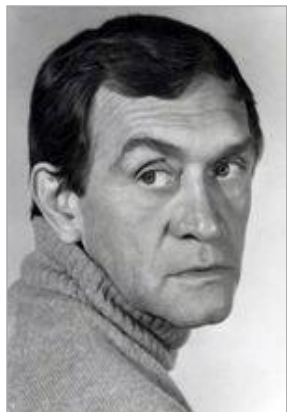
- To przecież ty – przypomniał mi - napisałeś kiedyś w kieleckim „Słowie”, że największą wartością dla społeczeństwa jest trwałość prawa i struktur organizacyjnych państwa.

Muszę przyznać, że wtedy mnie zadziwił. Napisałem to przecież jakieś dwadzieścia lat temu i On to pamiętał. Ale taki był właśnie Włodek

Przy rozstaniu umówiliśmy się na spotkanie u niego w Jędrzejowskiej pracowni, gdzie chciał mi pokazać swoje najnowsze prace.

Bardzo żałuję i boleję, że do tego spotkania nie doszło. Włodek bowiem dobiegł niestety do mety. I nikt mi nie powie, że nie ma ludzi niezastąpionych. Czy ktoś, na przykład wyobraża sobie Jędrzejów tamtych lat bez Włodka Bożęckiego?

\* \* \*



Ale wracając do naszej stacji na Podklasztorzu. Tu oczywiście najważniejszy był Lulek Pak, artysta od urodzenia, jak żeśmy o nim mówili. On chyba też tak o sobie myślał, skoro do szkoły aktorskiej wyjechał jakoś tak w środku dziesiątej klasy liceum, kiedy trwał taki kolejny zetempowski zaciąg, tym razem pod hasłem. „Młodzi proletariusze na artystów kina i teatru”, albo coś w tym stylu. Ludwik wyjechał wtedy do Lublina, gdzie ukończył tamtejsze studium dramatyczne i, co najważniejsze, zdał również maturę. Dzięki temu mógł potem podjąć studia aktorskie w warszawskiej Wyższej Szkole Teatralnej, którą w 1955 roku ukończył i w której należał do grona najbardziej utalentowanych absolwentów.

Zadebiutował w teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, żeby potem już na stałe związać się z teatrami stołecznymi: Dramatycznym, Ateneum i Rozmaitości, gdzie stworzył wiele interesujących kreacji. Był bowiem aktorem wszechstronnym. Dobrze czuł się zarówno w

dramacie, jak i w komedii.

Ja spotkałem go potem tylko jeden raz, gdzieś w latach siedemdziesiątych w Jędrzejowie. Poszliśmy wtedy na wódkę do restauracji na Wodzisławskiej i Lulek opowiadał mi wówczas o pracy nad swoim pierwszym, większym filmem pt: „Szklana Góra”.

- Żeby dostać w nim główną rolę – mówił - musiałem się zapisać do PZPR-u.

- O, to teraz jesteś artystą partyjnym, tak?

- No. Tyle, że w tej Partii Jędrzek, to nawet jest fajnie, wiesz?. No co tak patrzysz? Wszyscy tu z wszystkimi jesteśmy na „wy”,

Cały Lulek.

W filmie zadebiutował w 1954 epizodem w „Godzinach nadziei” Jana Rybkowskiego. Dzięki swojemu interesującemu emploi grywał często role główne. W tym okresie jego bohaterowie: negatywni (chuligan Tolek w Lunatykach) czy pozytywni (majster Anastazy w „Szklanej górze”, sierżant Kamiejczuk w „Jarzębinie czerwonej”), najczęściej obdarzeni byli silną osobowością. Wyjątkiem były pamiętne kreacje: Gościka w noweli „Rozwód po polsku” (w filmie „Trzy kroki po ziemi”) oraz Katjana w „Długiej nocy”, w których wcielił się w osoby postawione przed życiowym wyborem i niepotrafiące podjąć właściwej decyzji.

Wieloletnie zmagania z chorobą alkoholową spowodowały, że coraz rzadziej pojawiał się na ekranie grywając raczej role drugoplanowe bądź epizody, które nie dawały możliwości ukazania w pełni jego talentu. Widoczna zmiana fizjonomii (zniszczona, postarzała twarz) zadecydowała, że reżyserzy chętnie obsadzali go w rolach ludzi prostych, często z marginesu, niezaradnych, „skłóconych z życiem”, czy kierujących się własną, trudną do zaakceptowania przez otoczenie, filozofią życia. Stworzone przez niego postacie robotników, chłopów, a nawet alkoholików, np. w „Misiu” Stanisława. Barei, obdarzone ciepłym uśmiechem, niekiedy smutnym i zagubionym wzrokiem, były małymi aktorskimi perełkami, na długo pozostającymi w pamięci widzów.

Zwieńczeniem jego filmowej kariery (około 30 ról) była wybitna rola drwała Peresady w „Siekierzadzie” Witolda Leszczyńskiego wg opowiadania Edwarda Stachury. Za tę kreację, bardzo gorąco przyjętą przez krytyków i publiczność, został w 1989 roku nagrodzony „Brązowymi Lwami Gdańskimi” za najlepszą męską rolę drugoplanową na XI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku.

Był bardzo lubiany przez widzów i środowisko aktorskie.

(Bibliografia: „Ekran” 2/1989, s. 5; Encyklopedia kina (red. Lubelski T.), Kraków 2003; „Film” 4/1989 s. 2, 10/1989 s. 5; Kaszyński S. Teatralia kaliskie, Łódź 1972; Leksykon Polskich filmów fabularnych (red. Słodowski J.)

Ludwik Pak, to był nasz krajan, chłopak, artysta, którym my, jego koledzy, szczyliciliśmy się wszędzie i zawsze. Ja też. Ilekroć spotykałem się z jakimiś znanymi ludźmi ze świata sztuki, mówiłem im, że Ludwik Pak to mój kolega ze stancji i jędrzejowskiego liceum.

- Myśmy go nazywali Lulu – odpowiada zaprzyjaźniona z naszym domem Emilka Krakowska. Był przecież absolwentem tej samej akademii teatralnej co ja. O ile dobrze pamiętam zadebiutował w Warszawie rolą Tourterelle'ego w „Niemcach” Kruczkowskiego. Ale największy poklask i uznanie zyskał znakomitą rolą, nieznanego bohatera w prapremierze „Kartoteki” Różewicza w tetrze Dramatycznym w Warszawie. Zapowiadał się znakomicie i mógł być jednym z największych naszych aktorów gdyby...No właśnie.

Podobne zdanie o Lulku mieli również inni bywalcy mojego domu w Kusiętach: Marek Perepeczko, Janusz Zakrzeński czy Andrzej Łapicki. Ten ostatni grał przez czas jakiś razem z Pakiem w teatrze „Wojska Polskiego” w Warszawie i Lulka oczywiście pamięta świetnie. Zakrzeński grał z nim w „Rozmaitościach” a Marek Perepeczko spotykał go często na planach filmowych. Wszyscy zgodnie uważali, że był to wielki talent i aktor znakomity.

Jako pewnego rodzaju ciekawostkę warto tu jeszcze dodać, że nasz Ludwik miał zagrać rolę Balcerka w sławnej komedii Stanisława Barei „Alternatywy 4”. Kręcenie tego serialu przerwało wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Po wznowieniu zdjęć reżyser Stanisław Bareja zdecydował się na zmianę w obsadzie filmu i przekazanie tej roli Witoldowi Pyrkoszowi. Powodem decyzji była podobno odmienna koncepcja tej postaci. Inną miał reżyser, a inną chciał zagrać Ludwik Pak.

W ocenie Zofii Czerwińskiej odtwórczyni roli żony Balcerka, Lulu postać Balcerka zbyt „trywializował”.

Swoje ostatnie lata życia Ludwik Pak spędził w Domu Aktora Weterana w Skolimowie, gdzie zmarł 7 grudnia 1988. Pochowany został na cmentarzu swojej rodzinnej wiosce w Jasionnej, niedaleko Jędrzejowa.

\* \* \*

Ale jak mówimy już o aktorach i teatrze, to Jędrzejów był w tym zakochany. Zaraz po zakończeniu wojny powstało tu kilka amatorskich grup teatralnych. Kto nie czuł scenicznego powołania, ten na rzecz teatru działał. Robiono w ten sposób dekoracje, malowano afisze, szyto stroje, sprzedawano bilety, organizowano transport, ustawiano krzesła albo ławki. Taki był wtedy ogromny głód polskiej kultury i wolnego słowa. Całe miasto znało swoich aktorów a frekwencja sama wypełniała salę każdego przedstawienia



O tych wszystkich jędrzejowskich grupach teatralnych pięknie i wyczerpująco napisała w swojej książce „Korzenie i skrzydła” pani Beata Znojkowa, więc nie będę konkurował. Dodam tylko nieskromnie, że ja też kiedyś w Jędrzejowskim teatrze występowałem, oczywiście.

Graliśmy słynną sztukę Jerzego Lutowskiego „Sprawa Rodzinna”. Zdjęcie mam nawet z tego spektaklu. Występuje tu razem z panem Brodzikowskim, reżyserem tego spektaklu i piękną panią Danutą Osińską. Scenografię zrobił sam Tadeusz Chmielarz.

Ale przedstawiam także poniżej fotografie unikalną, bo z przedstawienia, które jako pierwsze, zaraz po wojnie, odbyło się w sali kina „Gdynia” przy Krzywym Kole. Sztuka nazywała się „Tam wśród gór” i reżyserował ją pan Zawłocki. Fotografia pochodzi z prywatnych zbiorów pani Teresy Łatkiewicz Podsadło. A ta mała dziewczynka siedząca jako druga z lewej to właśnie ona.



\* \* \*

Wszystkie stancje uczniowskie dla młodzieży spoza Jędrzejowa, były w tamtych latach chyba najlepszymi i najbardziej poinformowanymi instytucjami w całym mieście. Tu się wszystko o wszystkich wiedziało: kto z kim, gdzie, kiedy i dlaczego, bo młodzież z natury była i jest ciekawa wszystkiego więc wszędzie obecna.

O tym co wydarzyło się w mieście w szkole czy kościele rozmawiało się najczęściej przy obiedzie zaraz po powrocie z lekcji. Każdy coś wtedy miał do powiedzenia.

A to jak ubowcy uganiaли się otwartym łązikiem po polach w okolicach Prząsławia i z karabinu maszynowego polowali na zające, a to jak szewc pan Poskuta, facet wielkiej urody, uwodził dziewczyny w swoim warsztacie, a to jak funkcjonariusze bezpieczeństwa z Jędrzejowa postrzelili pana Papkę, młynarza z Sudołu, który nie chciał im oddać swojego młyna.

Władza ludowa rozpoczęła wtedy wielką, zakrojoną na szeroką skalę „bitwę o handel i drobne rzemiosło”. Duży przemysł został już upaństwowiony, zaczęto więc odbierać ludziom sklepy i sklepiki, małe fabryczki i warsztaty rzemieślnicze. Wszystko teraz musiało być uspołecznione, a nieliczni już, tak zwani „prywaciarze” określani byli jako wrogowie ustroju i socjalistycznego państwa.

Sposób na odebranie ludziom dorobku ich życia znaleziono prosty i po bolszewicku skuteczny. Nakładano na ludzi tak zwane „domiary”. Czyli zwiększano podatki do wymiarów tak horrendalnie wysokich, że nikt nie był w stanie ich spłacić. Rósł więc dług podatkowy za który potem zabierano ludziom sklepy, małe fabryczki, warsztaty rzemieślnicze. Trwało to wszystko tak długo, aż ogłoszono zwycięstwo w bitwie o uspołeczniony handel i drobną wytwórczość. Wielu ludzi tej

kłęski nie wytrzymało psychicznie. Ojciec naszej koleżanki, Bożeny Kozielskiej z Sędziszowa powiesił się w stojącej na dworze ubikacji gdy skarbowka z bezpieką przyszła odebrać mu sklep.

Znany był w Jędrzejowie cytowany wyżej przypadek pana Papki właściciela młyna w Sudole, którego ubowcy, a właściwie niesławnej pamięci Edward S. postrzelili, gdy z siekierą w ręku stanął w obronie swojej własności.

\* \* \*

Wielkie kiedyś wrażenie zrobiła na nas wszystkich wiadomość, że pan Marian Migalski, człowiek z wielką fantazją był partyzantem od „Jędrusiów”, który zaraz po wyzwoleniu został komendantem jędrzejowskiej milicji i kiedy zobaczył, co się tak naprawdę dzieje się w Polsce, to wyprowadził wnet wszystkich swoich podkomendnych z powrotem do lasu.

Nikt nie zna niestety dalszych losów tego niezwykłego człowieka, takiego naszego, jędrzejowskiego Hubala, jak żeśmy go wtedy nazywali.

Ja to go sobie nawet przypominam. Bo u nas na Podklasztorzu w remizie strażackiej (była taka buda z drewna naprzeciwko „Pompki”. Do dziś stoi tam e figura świętego Floriana) odbywały się latem zabawy taneczne. Grał nam tam ze swoją orkiestrą pan Piecyk, albo pan Wiktor Wysoki, artysta z nosem nad harmonią wielkim jak u Cyrano de Bergeraca.

I na którąś z takich zabaw

przyszedł kiedyś pan Migalski. Na jego widok harmonista przestał grać, a on stojąc w drzwiach remizy powiedział.

- O 21 koniec.

To my do niego. Ale panie komendancie, przecież jutro jest niedziela, nie idziemy ani do szkoły ani do pracy, to dlaczego?

- To o 22 koniec – powiedział i wyszedł.

Nawet nie sprawdził potem czy jego polecenie zostało wykonane. Bo władza to była wtedy władza.

Gdyby takie zdarzenie miało miejsce dzisiaj, to pewnie by go gdzieś cichcem zakatrupili.

A u nas o 22-giej rzeczywiście nastąpił koniec zabawy.

\* \* \*

Drugą taką niezwykłą postacią z patriotycznym charakterem, był w tamtych czasach, nasz kuzyn, były żołnierz od Berlinga czyli z kościuszkowskiej dywizji, Niuniek Eret. Przyjechał do nas chyba prosto z frontu, bo szynel wojskowy miał na sobie wojną sfatygowany i buty chodzeniem długim sflaczałe. Jedyne bagaż, jaki miał z sobą, to dwudziestobasowa harmonia, zdobyczna jak o niej mówił i chudy plecak na ramieniu z rzeczami najpotrzebniejszymi

Nasza mama nie mogła go przyjąć na dłużej, bo dom cały uczniowie na stancję zajęli więc Niuniek posiedział u nas tylko trochę ot, żeby się przed dalszym życie rozejrzeć.

To właśnie wtedy przy kieliszku z panem Sobolewskim powiedział nam, że nie z wojska ani z frontu do nas przyjechał, ale z karnej kompanii, gdzie dwa prawie lata kamień na drogi z gór wyrывał.

- A za co oni ciebie do tej karnej kompanii wsadzili? - zapytał pan Sobolewski.

- Za co? Za Katyń.

- Jak za Katyń? Co ty bredzisz?

- No, bo ja chciałem, żeby tym pomordowanym dobre imię przywrócić.

- W tych czasach? Zwariowałeś chyba. Po co?

- Dla sprawiedliwości.

- Jakiej?

- Polskiej.

Bo w czasie wojny jak my na Pradze czekali, aż się powstanie w Warszawie zakończy, to różne nam wtedy szkolenia polityczne robili. Któregoś dnia film o Katyniu pokazali, jak to Niemcy polskich oficerów w lesie brzozowym w tył głowy rozstrzelali.

Potem specjalna komisja radziecka ich groby odkrywała i dowody na zbrodnię niemiecką w nich odnajdywała. Ilu panie ludzi tam pozabijanych było z rękami do tyłu zawiązanymi, ile listów do żon, do dzieci niewysłanych. Niektórzy żołnierze to aż się płakali i na front przeciw Niemcom domagali się iść.

Ale ja panie prawdę znał już wcześniej. Od naszych żołnierzy, co jeszcze tam w Sielcach nad Oką o Katyniu na ucho sobie szeptał. Więc kiedy oni w żywe oczy wierutne kłamstwa nam na tym filmie pokazywali, to pomyślał ja sobie: dam ja wam, zobaczycie. I już na następnym szkoleniu politycznym głos zabrał i rezolucję taką zgłosił, żeby na cześć tych pomordowanych polskich oficerów nasz trzeci pułk piechoty imieniem bohaterów Katynia nazwać.

Panie, co to się wtedy narobiło. Tak zawrzało wśród żołnierzy, że ten major, co zajęcia prowadził koniec szkolenia musiał zarządzić. A mnie jak aresztanta do dowództwa pułku wnet zaprowadził.

- Co wy nam tu, k... jakieś prowokacje polityczne robicie? – naskoczyli tam na mnie. Z pierdła za to nie wyjdziecie.

- Jak to z pierdła? zapytał ja wtedy. Przecież na tym filmie komisja z Najwyższego Sowieta wyraźnie mówiła, że to Niemcy tej zbrodni dokonali.

- Bo Niemcy – odpowiedział pułkownik. Jasne że Niemcy.

- No, to czas chyba przyszedł żeby tym z Katynia honor oddać, taki sam jak tym z Westerplatte, albo spod Lenino. Oni przecież też życie za ojczyznę oddali.

- Ale to już nie wasza w tym głowa, kapralu Erecie - odpowiedział pułkownik. Odnośne władze o tym myślą. Partia wie, co robi, a wy Eret Partii nie pouczajcie. Odmaszerować.

No i wywieźli mnie potem do kamieniołomu blisko Głuszycy na Dolnym Śląsku. A tam jak komuś normy w pozyskiwaniu granitu nie udało się wykonać, to jeść nie dostawał. Bo norma to była rzecz święta, polityczna powiedzieć można.

I to byłby właściwie koniec całej tej historii o naszym Niunku, który tak szlachetnie stawał w obronie polskiego honoru, gdyby nie ta jego harmonia i wielkie serce do muzykowania. Bo też tak, jak ten Niuniek umiał zagrać na swojej guzikówce „Poemat” Fibicha, to żaden skrzypek nie był w stanie mu dorównać.

Potem znikł nam jakoś z oczu, bo jak mówili znalazł sobie dziewczynę, taką Maniusię z Zielonek, wdowę po leśnym partyzancie.

Ona podobno goniła go potem do roboty, a goniła, bez żadnej wyrozumiałości dla jego sztuki. Wziął więc Niuniek któregoś dnia swoją harmonię na plecy i na jarmark na Łysakowską poszedł grosza trochę na swoje wydatki zarobić. Czapkę starą wojskową u nóg sobie położył, oczy zamknął, żeby hańby swojej żebraczej nie widzieć i zaczął grać wszystko, co mu akurat w duszy muzyką śpiewało. Ludzie stawali wokół niego i dziwowali się bardzo, że tyle pięknych dźwięków z harmonii wydobyć potrafi. Więc Niuniek im grał zapamiętałe i od serca, jakby znowu na froncie żołnierzom przygrywał, albo na akademii pierwszomajowej występował.

- A co na to twoja żona Maniusia? – zapytałem - gdy któregoś dnia spotkałem go na targowisku. Niuniek skrzywił się na to koślavo jakoś, przetaił ręką oczy i powiedział prawie ze złością w głosie.

- To przez nią tu jestem. Gderała, gderała, że niby przedówek i pieniędzy w domu brakuje, więc co było robić. Dałem się namówić bynajmniej.

Zmarniał mi ten Niuniek przez ten czas, gdy go nie widziałem. Postarzał się, zmałał jakby a szczeciniasty zarost na brodzie posiwił mu wyraźnie. Teraz gładził go palcami w zakłopotaniu a potem zapytał

- Zagrać coś?

- Oczywiście, że zagrać – odpowiedziałem.

Pokiwał głową, poprawił rzemienny pasek, podtrzymujący na ramieniu harmonię i ułożył żółte od nikotyny palce na basowych guzikach. Harmonia ziewnęła, westchnęła, miechy rozciągnęła podługowato i zagrała na początek cicho, jakby tylko paroma klawiszami oddychała.

Kochany stary Niuniek pamiętał o moim ulubionym „Poemacie” Fibicha.

- A widział ja ciebie, widział jak ty w „Naprzodzie” za piłką gonił - powiedział w takt granej melodii. Razem z moją Maniusią w jedną niedzielę na mecz my poszły.

- Zobacz – mówię ja wtedy do niej - jak mój kuzyn pięknie na skrzydle gra. Bardzo my obydwój zadowoleni z ciebie byli - dodał i po chwili znowu rozciągnął miechy harmonii, dodał im powietrza, a potem przechylił głowę na bok i zagrał głośno do wtóru patriotycznej piosenki.

„Szumi dokoła las, czy to jawa czy sen”. Głos miał ochryply, charczący, a słowa niewyraźne, pogubione w czeluściach brakujących zębów. Ludzie stawali obok, grzebali w kieszeniach płaszczy w poszukiwaniu pieniędzy, a Niuniek na ten widok grał im jeszcze głośniejsze i śpiewał „płynię, płynię Oka, jak Wisła szeroka”. Zalaływało wtedy od niego kiepskim winem, pijacką nostalgią i całym tym przechowywanym gdzieś w pamięci minionym, wojennym czasem. Przyklaskiwałem mu do rytmu, stojąc obok, ale on chyba tego już nie widział zajęty swoją harmonią, muzykowaniem i wspomnieniami.

Wszystko to jednak działo się dawno, nawet bardzo dawno temu i dopiero po wielu latach, gdy w któreś wakacje przyjechałem do Jędrzejowa, spotkałem na ulicy Antosię, córkę Niunia.

- A jak tam twój tata? – zapytałem.

- Nie ma go.

- Co to znaczy, Antosia, nie ma go?

- A to, że zmarł.

- O mój Boże, a kiedy?

- Będzie z pół roku temu, na wiosnę. I matka też umarła. We dwa tygodnie po nim jakoś wyzionęła ducha.

- Boże święty, co za nieszczęście. A na co oni umarli, tak razem? - powiedz Antosia.

Ale Antosia wzruszyła tylko ramionami.

- Jak to na co? Stare już byli, zgryzoty różne mieli i życie ciężkie, tak i zmarli w spokoju.

- To nie mogłaś jakoś dać znać? - zapytałem - Wiesz przecież gdzie mieszka mój brat.

- A czy ja pomyślała, że wy chcecie wiedzieć? Nikogo zresztą na pogrzebie nie było. Pogrzeb zrobili my cichy i mały. Jeden tylko taki, co z nim teraz w chałupie siedzę, na organkach mu zagrał nad grobem „Spozapoza gór i rzek” i tyle. Umartym ludziom na huczonym pogrzebie nie zależy, nie?

- A gdzie oni są pochowani?

- Tam gdzie my wszystkie kiedyś legniemy. Na smentarzu, znaczy obok siebie.

- Powiedz mi jeszcze Antosiu, a chorowali przed śmiercią, ciężkie mieli konanie?

- Życie mieli ciężkie, to konanie lekkie. Ojca przy wódce dosięgło. Kieliszek jak raz do ust podnosił, gdy nagle głowa mu spadła na harmonię, co ją na kolanach trzymał. Ręce jakoś same miechy rozciągnęły i harmonia zagrała mu jeszcze raz na koniec życia, to co lubił najbardziej. Znaczy ten „Poemat” od Fibicha. A teraz, wiesz pan, smutno jakoś w domu bez tej jego harmoni. Bo ten mój nowy chłop żadnego drygu do muzyki nie posiada. Nie to, co nieboszczyk ojciec. Nie to. Mieli racje ludzie, co mówili, że Niuniek to był taki przedwojenny artysta. Z sercem, powiedzieć można do sztuki i muzyki. Tera, panie to nikt już tak grać nie potrafi. Bo te dzisiejsze młode, to tylko na gitarach bębno i bębno. A jaka to muzyka, to sam pan wiesz.



\* \* \*

Do galerii ludzi z sercem takim do sztuki, zaliczyć muszę jeszcze dwóch panów, którzy kiedyś mnie i Lutkowi Pawlikowi mieszkanie malowali.

Otóż gdy w roku 1956 z tak zwanym nakazem pracy trafiłem do Wałbrzycha, spotkałem tam starego kumpla z Podklasztorza rzeczonego wyżej Lucka Pawilka. Lucek był już wtedy inżynierem górnikiem po Politechnice Gliwickiej i pracował jako sztygar zmianowy na kopalni „Bolesław Chrobry”. Miał już tam mieszkanie służbowe, dwa duże pokoje z kuchnią i łazienką i pewnie ze względu na jego wielkość czuł się tam obco i samotnie. Zaproponował mi więc wspólne zamieszkanie. Tyle, że wcześniej całą tę chałupę trzeba było jakoś odremontować, odświeżyć, pomalować. Poszliśmy zatem do biura budowlanego kopalni, gdzie Lutek miał kumpla, z prośbą o pomoc w tej sprawie.

- Oczywiście przyślemy wam malarzy – zapewnili. W trymiga dom wam odremontują.

Z tymi malarzami, którzy przyszedli do nas następnego dnia umówiliśmy się tak. My na trzy, cztery dni wyniesiemy się do hotelu, a oni w tym czasie ściany ładnie nam pomalują i wszystko potem elegancko po sobie posprzątają.

Nie było żadnych targów o cenę, co się naszym malarzom bardzo spodobało. Daliśmy im konieczną zaliczkę na farby i obiecali suty napiwek przy odbiorze roboty.

-To w jakich kolorach mamy zrobić ściany – zapytali.

- W ładnych – odpowiedzieliśmy. W ciepłych, raczej wiosennych Panowie jesteście malarzami więc sami dobrze wiecie jak powinno wyglądać ładnie odmalowane mieszkanie.

Chyba w złą godzinę żeśmy to powiedzieli, bo gdy po umówionych czterech dniach wróciliśmy do domu, to oczy ze zdziwienia aż nam wylazły z orbit. Ściany w dużym pokoju wymalowane były na taki mocny niebieski kolor na wzór letniego nieba z białymi tu i ówdzie obłokami między którymi fruwały wielkie jak odrzutowce bardzo egzotyczne ptaki. Nie przesadzam ani słowem. Malarze musieli w to włożyć masę serca i pracy, piórka bowiem tych ptaków były wręcz wypieszczone, wydmuchane taką specjalną rurką pożyczoną, jak się pochwalili z cukierni, gdzie służyła do dekoracji tortów.

Patrzyliśmy na to wszystko oniemiała i kombinowaliśmy, jak im to powiedzieć, że w takiej pstrokaciznie żyć ani mieszkać nie można, zwłaszcza, że w drugim pokoju wcale nie było lepiej. Ściany miały tu soczysty kolor zielonej łąki, na niej zaś rosły czerwone kwiaty z pszczołami na nich tak ogromnymi, że w życiu takich dużych nie widziałem. I tu także wszystko było cierpliwie i realistycznie wymalowane, tu i tam trochę dla sztuki przerysowane niczym w dziełach jakiegoś Ociepki albo Nikifora.

O gustach się podobno nie dyskutuje, zwłaszcza, że obaj malarze stali obok nas wyraźnie z siebie zadowoleni.

- Wiecie co panowie – powiedział wtedy Lucek. My pójdziemy na trzy albo, cztery dni do hotelu a wy w tym czasie zmienicie te ściany na jakiś taki normalny jednolity kolor. „Jolo bahama” na przykład.

- Co? Oburzyli się wtedy. To pan bynajmniej pojęcia nie masz o sztuce malarskiej. To są brzydkie ściany, co? Cztery dni my tu zasuwali.

- Ależ my panom oczywiście zapłacimy i dodamy coś jeszcze na zgodę.

- Wiesz pan, gdzie my mamy pańskie pieniądze?

Nie tknęli położonego na stole wynagrodzenia, zabrali swoje klamoty i ruszyli do drzwi. Pobieśliśmy za nimi i prawie na siłę wetknęliśmy im pieniądze. Napracowali się przecież.

Nie był jednak koniec z tym ich malowaniem. Kolejni bowiem fachowcy żadną farbą nie mogli pokryć ich malunków. Ciągle na wierzch wylażała im ultramaryna tamtego nieba i złote pszczoły na kwiatkach. Dopiero gruba tapeta kupiona za dewizy w Peweksie, (dziadkowie niech wytłumaczają wnukom co to było), uratowała nam dom.

\* \* \*

O czym się jeszcze na naszej stacji mówiło? O Józku Gierczaku na przykład, jak ponemieckie miny rozbierał.

A było tak: W starej, nieczynnej już gipsiarni na Podklasztorzu, znalazł Józek magazyn szwabskich min zegarowych. Tak długo kombinował, aż nauczył się je rozbierać. Na szczęście wspomniany wcześniej pan Migalski zdetonował je w porę strzelając do nich z karabinu, ale Józkowi udało się uratować kilka, bo jak mówił; ciekawiły go w nich precyzyjne, niemieckie mechanizmy. Jedną z tych min wziął na groble, gdzie teraz jest trybuna ziemna stadionu „Naprzodu” i zaczął oczywiście rozbierać.

- Zdjąłem pokrywę – opowiadał potem - i struchlałem bo Iglica w minie była odblokowana. Zacięła się sprężyna. W każdej chwili mogła spowodować wybuch, a ja trzymałem ją w rękach. Pomalutku, ostrożnie starałem się ją wyrwać. Na szczęście eksplodował tylko detonator, ale i tak na chwilę straciłem przytomność. Gdy otrzeźwiałem, zobaczyłem, że palce mam we krwi, poszarpane spodnie i paskudną raną powyżej kolana. Lekarz, do którego jakoś się dowlokłem, opatrzył mnie papierowym niemieckim bandażem i nakazał zastrzyk przeciwwężcowy. Zdobyłem go od kogoś, kto szabrował niemieckie magazyny, ale dostałem po nim, na skutek uczulenia, takich męczarni, że tydzień nie mogłem ruszyć się z łóżka.

- Najtragiczniejsza w tym wszystkim – mówi Józek Gierczak - była wiadomość jaką po tamtym incydencie z ponemiecką miną przyniesiono mojej mamie. Zawiadomiono ją mianowicie w formie bardzo delikatnej, wręcz subtelnej, że „Józka na grobli rozerwała na kawałki mina”.

Moi bracia od tamtej pory nazywali mnie „Dzidek-pirotechnik” Wtedy w domu byłem jeszcze Dzidkiem.

\* \* \*

W naszym liceum chyba od czasów jeszcze przedwojennych istniała taka uświęcona tradycją praktyka, że w okresie wiosenno-wielkanocnym odbywały się rekolekcje. W tym czasie zawieszono były wszystkie zajęcia szkolne i chętni w naszym kościele parafialnym uczestniczyli w naukach rekolekcyjnych. Mniej zaś religijni organizowali sobie tak zwaną „koleżeńską pomoc w nauce”. Najczęściej były to takie schadzki w szkolnej świetlicy z wygłupami i gadaniem o niczym, a często też takie wcale nie wielkopostne lekcje tańca towarzyskiego. Większość jednak chodziła do kościoła/

- Ja w takich właśnie rekolekcjach uczestniczyłem - opowiada dziś Janek Zając. I rzeczywiście. Wszyscy mieszkańcy naszej stacji bardzo się temu dziwili, bo przecież był to pierwszy zetempowiec w naszej budzie. A tu masz, na rekolekcje poszedł i do spowiedzi nawet przystąpił. Wszyscy żeśmy to widzieli.

- Bo taki wtedy istniał zwyczaj – odpowiada Janek Zając, że zaraz po rekolekcjach szło się do spowiedzi więc ja też ustawiłem się w kolejce do konfesjonału. Spowiadał stary ksiądz prałat Jabłoński o słuchu już trochę stępionym ale sumieniu twardym. Gdy kolej przyszła na mnie przyklęknąłem, wypowiedziałem odpowiednie formułki i zacząłem wymieniać swoje grzechy. Nie było ich wiele, dziś nie wiem czy to w ogóle były grzechy. O polityce przecież nie mówiłem. W pewnym momencie powiedziałem, że ścisnąłem się z jedną dziewczyną w kolejce wąskotorowej gdy jechałem na niedzielę do domu. Ale ksiądz prałat nie odezwał się na to słowem. Wydawało się nawet, że zwyczajnie drzemie sobie w konfesjonale. Ale gdy powiedziałem, że wkładałem tej dziewczynie rękę pod spódnicę, obudził się od razu.

- Ty huncwocie – huknął na mnie. Ty świntuchu jeden, to ty takie rzeczy robisz? W dodatku żadnej skruchy w twoim głosie nie słyszę.

Coś tam jeszcze mówił, ale ja purpurowy ze wstydu, wstałem już od konfesjonału i na oczach wszystkich rekolekjonistów wyszedłem z kościoła. Od tego czasu ciągle jestem na etapie studiowania biblii i innych ksiąg świętych, choć mój kontakt z kościołem skończył się wtedy właśnie na zawsze.

\* \* \*

#### **Protokół z zebrania Zarządu Szkolnego Koła ZMP przy Liceum Ogólnokształcącym w Jędrzejowie**

*z dnia 11 marca 1951 roku (tekst i pisownia oryginalne)*

*Porządek zebrania:*

1. Zagajenie
2. Referat o konieczności szkolenia ideologicznego i światopoglądowego.
3. Dyskusja nad referatem.
4. Sprawy nauki i zachowania
5. Sprawy organizacyjne
  - a) Przyjęcie nowych członków do ZMP
6. Odśpiewanie hymnu ŚFMD.

Zebranie otworzył i zagał kol. Włodarczyk.

Referat wygłosił kol. Majcherski w którym zwrócił uwagę na rozwijający się front walki ideologicznej szczególnie ze strony reakcyjnego kleru i jego zauszników.

Mówił o konieczności zaktywizowania pracy kół ZMP na tym właśnie polu. Wzorem i przykładem takiej działalności powinien być bratni nam Komsomoł.

Nasza szkoła to też front walki ideologicznej nowego ze starym porządkiem. Są nauczyciele którzy posługują się burżuazyjnymi metodami nauczania nie biorąc pod uwagę przodującej nauki i kultury radzieckiej.

W dyskusji głos zabrali:

Kol Tarach Julian: Zwrócił uwagę na klerykalizację postaw niektórych kolegów, którzy w ten sposób niszczą swój świecki światopogląd. Powinno się im pomóc poprzez prenumeratę pism młodzieżowych np „Sztandar Młodych”

Kol. Włodarczyk. Bo zaostrza się w szkole walka klasowa. Trzeba umieć dusić w zarodku wszystkie wrogi wystąpienia naszych kolegów. Dużo jest dwulicowości między członkami ZMP również.

Kol. Wyglądała: Polska ludowa jest państwem świeckim, więc koledzy którzy nie chodzą do kościoła i nie byli na rekolekcjach nie powinni być wyśmiewani.

Kol. Wiejacz Józef: podkreślił zadania ZMP na terenie szkoły. A mianowicie: naukę czujność rewolucyjną / wytykać wrogów/ z poczuciem odpowiedzialności. „Nasza organizacja, państwo ludowe jest zdrowym organizmem na silnych podstawach, a błędy to wady organizmu które można usunąć” Następnie zdał sprawozdanie z pracy Samorządu Szkolnego.

Następnie w sprawach nauki i wychowania poruszono problem bumelanctwa. ZMP- wcy mają dwóje i źle się na lekcjach zachowują, a na zebraniach niechętnie śpiewają pieśni rewolucyjne.

Następny punkt porządku zebrania to przyjęcie do organizacji nowych członków. Kol. Zając przemówił do kandydatów zaznaczając, że członkiem ZMP mogą być jedynie najlepsi uczniowie.

Do organizacji przyjęto jednogłośnie kolegów którzy wykazali się prawidłowym światopoglądem:

Stańczak Zofia

Oliwkiewicz Maria

Chowaniec Feliksa

Chudzik Teresa

Łyska Edward – wszyscy z VIII b

Kol. Baran Maria z 8b ma zmienić swoje postępowanie i zastanowić się nad sobą, a wtedy będzie przyjęta.

kol. Sadowska z 8b. Po sprawdzeniu danych personalnych będzie jej sprawa rozpatrzona.

Kol. Sękówna. Gdy poprawi stopnie będzie przyjęta.

Zebranie zakończono odśpiewaniem hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej.

Sekretarz

Stańczak Regina

Przewodniczący

Przew Zarz. Szk. ZMP

Jan Zając

\* \* \*

Wycieczki szkolne w tamtych naszych licealnych czasach były prawdziwymi atrakcjami tak towarzyskimi jak poznawczymi. Za okupacji niemieckiej nie można było przecież jeździć ot tak sobie i zwiedzać kraj, więc teraz chcieliśmy sobie to powetować. Nasz szkolny katecheta ksiądz Opozda, pierwszy zainicjował takie krajoznawcze wojaże. Był zagorzałym kibicem Cracovii więc najpierw namówił nas na mecz Wisły z Cracovią. Potem wycieczek było więcej ze zwiedzaniem zabytków Krakowa z przedstawieniami w Teatrze Słowackiego, gdzie raz nawet obejrzelśmy „Kościuszkę pod Raławicami” z udziałem sędziwego już, bo prawie stuletniego Ludwika Solskiego. Zwiedzaliśmy również grobowce królów polskich w Katedrze Wawelskiej oraz sarkofag Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zdarzyło się wtedy, że kilka dziewczyn z naszej wycieczki to uknęło nawet i zaczęło się modlić do Marszałka, co oczywiście wywołało gniew u naszych zetempowców.

A oto fotografia z jednej z takich wycieczek, zrobiona w Ojcowie. Był rok 1949 i cała nasza IX b w pełnej krasie.



**na dole od lewej: Grzybowska, Nurczyńska, Gołębiowska, Staszek Kowalczyk  
w drugim rzędzie: Jurek Szczygieł, Jadzia Kałwa, Skowronek  
trzeci rząd: Danusia Skrzypiec, Halina Wójcik,  
Majcherski Marian, Lilka Baran  
górný rząd: Janek Zając (ten w berecie) Łataś, Sławka Łatówna.  
A pozostałe osoby niech każdy sobie odnajdzie.**

Ogromne poruszenie w całym mieście wywołało aresztowanie dyrektora jędrzejowskiego liceum Ludwika Żuka i to pod pretekstem molestowania seksualnego jednej z uczennic. Napisałem „pod pretekstem” a nie z powodu, bo tak właśnie odbierano to aresztowanie w Jędrzejowie. Dyrektor Żuk cieszył się ogromnym autorytetem tak pośród uczniów jak i w gronie pedagogicznym. Był jednak niewygodny, a może nieposłuszny nowej władzy ludowej, skoro postanowiono najpierw go skompromitować a potem usunąć ze stanowiska. Z tą kompromitacją nie wszystko się jednak udało.

Większość bowiem uczniów z tamtych lat ze specjalną estymą wspominają profesora Ludwika Żuka. Był takim humanistą-omnibusem i takim autentycznym krzewicielem dobrej kultury. Słynne były w naszym liceum jego przedstawienia muzyczne, bo muzykiem był także.

W całej tej jego sprawie dziwny wydawał się fakt, że zwyczajnym przecież molestowaniem (jeśli takie było) zajmował się wtedy, zamiast milicji wszechwładny wówczas Urząd Bezpieczeństwa. A tam rządził przecież sławny na cały Jędrzejów i okolice Edward Szpak, taki jędrzejowski czekista, człowiek jak mówiono okrutny, budujący nowy ustrój według najgorszej, bolszewickiej recepty. Z tego co potem mówiono wiem, że po przełomie październikowym ledwie uniknął linczu.

Głośna również była w Jędrzejowie sprawa pana Stanisława Żelazika i dwóch innych akowców czyli naszych „Jędrusiów”. Ponieważ proces zrobiono pokazowy więc odbywał się w największej sali naszego miasta czyli w kinie „Gdynia”. Kilka klas z naszej szkoły zaprowadzono tam również.

Pana Żelazika na początku nie poznałem, tak miał zmienioną twarz, a przecież znałem go dość dobrze. Bywał czasami w naszym domu, a jego tuż przed aresztowaniem poślubiona żona, pani Adamowicz mieszkała blisko nas na Podklasztorzu.

Od końca wojny upłynęło już trochę czasu, to wiedzieliśmy już kto był kim w podziemiu czy partyzantce. Niełatwo więc było uwierzyć w stawiane im zarzuty, zwłaszcza że ci trzej młodzi ludzie siedzący na ławie oskarżonych, mimo obrzękłych od śledztwa twarzy, zachowywali się bardzo godnie. Nie prosili o nic, nie łasili się do swoich oprawców za sędziowskim stołem. Mówili, że byli jedynie akowską grupą do wykonywania wyroków wydanych przez władze, Polski podziemnej na gestapowcach, konfidentach, zdrajcach i donosicielach. Wkroczenie Rosjan w ich żołnierskim odczuciu wyroków tych nie anulowało.

Jak wtedy naskoczył na nich ten młody prokurator w mundurze podporucznika. Krzyczał, że to nieprawda, że są zwyczajnymi bandytami bo mordowali dla pieniędzy.

Wtedy wstał ten drugi z oskarżonych, nazywał się Nawrot Stanisław i powiedział, że tam w Sosnowcu, o którym mówi akt oskarżenia, taki właśnie spóźniony wykonywali wyrok na zdrajcy, niejakim Bernardzie Jegierze (późniejszym agencie UB) który donosił gestapowcom na Polaków a także zadenuncjował majora Stefana Gądzio komendanta ówczesnego jędrzejowskiego obwodu AK.

Kazano mu zamilknąć. Niepytani nie mieli prawa nie mówić.

Nie wiem czemu, ale cały ten szybki, niespełna jednodniowy proces, jakoś szczególnie mocno utkwiał mi w pamięci. Może dlatego, że zapadły wtedy dwa wyroki śmierci? Dla pana Żelazika i pana Nawrota. Trzeci z oskarżonych Stanisław Duchliński otrzymał karę dożywotniego więzienia.

Wyroków śmierci na szczęście nie zdołano wykonać, gdyż sąd drugiej instancji zmienił ją na karę dożywocia, która później też okazała się zwyczajnym blamażem tamtego ustroju i tamtego, ludowego sadownictwa. Już bowiem w rok chyba po gomułkowskiej odwilży z roku 1956, pan Staszek Żelazik wrócił do domu z takim oficjalnym pismem w rękę, że był ofiarą błędów i wypaczeń poprzedniej ekipy rządzącej Polską. I to wszystko. Ani słowa przeprosin ani słowa o rehabilitacji. Wiem o tym bo poszliśmy do niego z Antkiem Rokickim, ale on nie chciał już o tych sprawach rozmawiać, wyalienowany jakiś z życia i myśli.

Po latach dopiero poprosiłem Janka Zajęca, wtedy Prezesa Sądu Wojewódzkiego w Kielcach, o odpis wyroku z tamtego procesu. I Janek mi to załatwił. Dlatego mogę w tej książce zamieścić ostateczną decyzję Sądu Wojewódzkiego z roku 1989, który na wniosek pani Krystyny Fatygi, córki nie żyjącego już wtedy Stanisława Żelazika oczyścił go z wszystkich zarzutów.

*Sygn. akt.III/.Ko/ 345.93/Un*

*Kielce 13.03.1998*

#### **Postanowienie**

*Sąd Woj w Kielcach. Wydział III Karny w składzie:*

*Przewodniczący: Sędzia SW, Anna Bojara.*

Sędziowie: S.S.W. Zbigniew. Karamara

SSW. Tadeusz Romański / Spr./

Protokolant: sekretarz sądu, Barbara Reniecka

przy udziale Prokuratora.Woj Kielce: F.Hajduk –Frończyk

Po rozpoznaniu w sprawie przeciwko Stanisławowi Żelazikowi s. Ludwika skazanemu o przestępstwo z art.14&2 dekretu z 13. 0.6.1946 r.Z wniosku: Krystyny Fatygi. W przedmiocie o stwierdzenie nieważności orzeczenia

Na podstawie art.1 ust.1Ustawy z dnia23lutego 1991r./ Dz.U.Nr.34 poz.149.

Postanawia:

Stwierdzić nieważność wyroku b. Wojskowego Sadu Rejonowego w Kielcach z dnia 27.07.1947r.Nr SR-760/47 zamienionego postanowieniem Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 16.09.1947r..odw. S 2417/47 wydanego wobec Stanisława Żelazika, s. Ludwika.

II. Kosztami postępowania obciążyć Skarb Państwa.

#### UZASADNIENIE

Przytoczonym wyżej wyrokiem Stanisław Żelazik został skazany na podstawie art.14 & 2 dekretu z 13.06. 1946. I innych na łączną karę śmierci, a nadto utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze i utratę całego majątku.

Wyrok powyższy został częściowo zmieniony w postępowaniu odwoławczym w ten sposób m. in, że w miejsce kary śmierci orzeczono karę dożywotniego więzienia. O stwierdzenie nieważności tego wyroku wystąpił sam Stanisław Żelazik. Który jednak zmarł pod koniec postępowania dowodowego w tej sprawie/ k.42/. Po jego śmierci ze stosownym wnioskiem wystąpiła jego córka Krystyna Fatyga.

W związku z powyższym Sad dokończył postanowienia częściowo zmieniające tenże wyrok. W toku postępowania w tej sprawie był przesłuchiwany wnioskodawca Stanisław Żelazik oraz zgłoszeni przez niego świadkowie a to: Jan Gajerski, Jan Kordon, Julian Jaroń oraz świadek Jerzy Wilczyński Sąd dopuścił także dowód z opinii biegłego Andrzeja Jankowskiego. W przedłożonej pisemnej opinii biegły ten stwierdził, że wnioskodawca był członkiem patriotycznej, podziemnej organizacji opozycyjnej wobec ustroju ustanowionego w Polsce w latach 1944- 1945. Należąc do WiN. W okresie okupacji niemieckiej należał do AK. Motywem zamachu na życie Bernarda Jegiera za co został skazany Stanisław Żelazik było to, że już w okresie okupacji miał on być agentem Gestapo i zadenuncjować m. In, mjr. Stefana Gędzio, b. komendanta jędrzejowskiego obwodu AK. Bernard Jegier po wyzwoleniu kraju od okupacji niemieckiej był współpracownikiem organów bezpieczeństwa. Trafnie biegły podnosi w swojej opinii, że w czasie okupacji niemieckiej, wnioskodawca, Stanisław Żelazik wykorzystywany był w AK między innymi do akcji likwidacji szpiegów, konfidentów i agentów niemieckich. Do takich należał Bernard Jegier. Zamach na B. Jegiera w czym on brał udział, nie polegał na zabieraniu im pieniędzy i innych wartościowych przedmiotów. Zamierzali oni po wylegitymowaniu wykonać na nim wyrok, co w Przytoczonej wyżej sytuacji.było uzasadnione.

Mając powyższe na względzie Sąd uznał, że skazanie Stanisława Żelazika było związane z jego działalnością na rzecz Niepodległego Bytu Państwowego, co wyczerpuje treść art.1ust..1 Ustawy z 23.02.1991r./ dz.U.nr.34.poz.149/



\* \* \*

Sprawą ubeckiego funkcjonariusza Edwarda Szpaka, oprawcy wielu akowskich żołnierzy, zajęła się już w Polsce niepodległej, Komisja do Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Kielcach. O jej ustaleniach napisała pani Martyna Głębocka w kieleckim „Słowie Ludu” z 8 maja1995 roku.

A jest tam tak: „Jeden ze świadków więziony w areszcie Jędrzejowskiego Urzędu Bezpieczeństwa jesienią 46 roku mówi, że w czasie przesłuchań był bity tak, że tracił przytomność. Zapamiętał dokładnie jednego z oprawców, Edwarda Sz. To było wielkie chłopisko, ważył ponad sto kilo. Kazał mi siadać na nodze odwróconego taboretu. Nogi musiałem mieć wyciągnięte do przodu a stopy oparte o ziemię. Ręce leżały na kolanach. Po kilku minutach takiego siedzenia noga taboretu wbijała się w odbyt. W tych przesłuchaniach nie interesowało ich, co mam do powiedzenia. Chcieli tylko abym potwierdził ich wersję”.

Dalej pani Głębocka pisze tak: „Wśród dokumentów jakie w sprawie Jędrzejowskiego UB zgromadził kielecki IPN najczęściej przewija się nazwisko Edwarda Sz. który pośród innych funkcjonariuszy wyróżniał się wyjątkowym okrucieństwem – bił, kopał odbijał nerki, wybijał zęby, Wielu Jędrzejowian pamięta go do dziś jak wzbudzał popłoch jeżdżąc na uliczkami miasta z ogromnym radzieckim rewolwerem wystającym z otwartej kabury. Ludzie schodzili mu z drogi a ci, którzy siedzieli w areszcie, modlili się, żeby nie wpaść w jego ręce”.

\* \* \*

Nie wszystkim jednak w tamtych latach odpowiadał wiejący właśnie wiatr ze wschodu i związana z nim atmosfera. Niektórzy nie chcieli albo nie potrafili tego zaakceptować, buntowali się. Bywało nawet, że zawiązywali różne organizacje niepodległościowe, za co potem trafiali do więzień. Inni zaś uciekali gdzieś na Zachód, czyli jak to się wtedy mówiło „wybierali wolność” Niektórym to się nawet udawało Taki na przykład Janek Rudnicki z Podklasztorza, który już po miesiącu przysłał wiadomość, do domu, że jest w Niemczech i niebawem wyjeżdża do Anglii.

Mimo to zaskoczyła nas wszystkich wiadomość, że kilku chłopaków z Jędrzejowa zatrzymali w Tatrach Czechosłowaccy pogranicznicy, gdy usiłowali nielegalnie przekroczyć granice ludowej ojczyzny.

Ależ to była wtedy sensacja, chodziło przecież o naszych kolegów z liceum, Staszka Jackowskiego i Mariana Kuderę. Po Mańku to się można było tego spodziewać. Był przecież takim nieprzejednanym skautowskim harcerzem i w szkole nr 1 drużynowym 2-giej jędrzejowskiej drużyny harcerskiej imieniem Księcia Józefa Poniatowskiego. Zrozumiałe więc, że się wściekł i chciał dać dyla na zachód, skoro zlikwidowano mu ukochane harcerstwo. Ale żeby Stasiu Jackowski, taki spokojny ułożony chłopak?.

Maniek Kudera, który od wielu już lat mieszka w Chrzanowie, dopiero teraz opowiedział mi prawdę o tamtym zdarzeniu.

- Wszystko zaczęło się zaraz po ukończeniu dziewiątej klasy – opowiada - czyli po tak zwanej małej maturze. W kilku chłopaków zaplanowaliśmy wtedy wakacyjny wyjazd do Zakopanego, ale nie tylko turystycznie. Chcieliśmy się rozejrzeć przy okazji, zbadać sytuację, bo różne nam, że tak powiem, wolnościowe plany chodziły po głowach.

Kilku kolegów miało już wtedy swoje motocykle więc ustaliliśmy termin a potem w drogę. Ja jechałem na „Harleyu” z Leszkiem Augustynikiem, Jurek Żuk ze Staszkiem Jackowskim na DKV, zaś Adaś Piasecki ze Staszkiem Zakrzewskim na „Vilersie”, takim angielskim cudzie z demobilu.

„Jacek” miał w Zakopanem na Bystrym rodzoną siostrę Wandę Sławińską więc mieliśmy się gdzie zatrzymać. Chodziliśmy trochę po górach, gadaliśmy wiadomo na jakie tematy, ale po tygodniu nasi motocykliści z trefili i odjechali z powrotem do Jędrzejowa. Tylko my dwaj, to znaczy Staszek Jackowski i ja zostaliśmy przy swoich planach.

Rano z plecakami na grzbietach poszliśmy w góry. Zamysł był prosty: przez Czechosłowację musimy się dostać do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Wielu ludziom przed nami taka eskapada się powiodła, więc czemu miałaby nie nam?

Drogę do „Łysej Polany” znaleźliśmy dość dobrze, potem należało tylko przekroczyć zieloną granicę i wsiąść do pociągu jadącego w stronę Niemiec.

No, niestety. Nie znaleźliśmy dobrze terenu, szliśmy po harcersku tak na wycucie no i stało się. Wytropił nas pies, na szczęście w kagańcu, bo bestia była ogromna. W chwilę potem otoczyli nas pogranicznicy z radzieckimi pepeszami skierowanymi w naszą stronę. Nie wiedzieć dlaczego krzyczeli po rosyjsku: „ruki wierch” i ruki wierch”. Skuli nam ręce do pary i pod tymi pepeszami zaprowadzili do jakiejś granicznej strażnicy. Pamiętam, że na jej froncie wisiały dwie flagi; czechosłowacka i czerwona radziecka. Tu nas dokładnie przeszukali, sprawdzili plecaki, dokumenty i rozpoczęli śledztwo.

Cały czas nam potem wmawiali, że mu „szpiony” i „szpiony”, że czekali na nas już od cztery dni. A my w zaparte.

- Jakie szpiony, jakie? W górach na wycieczce żeśmy zabłądziliśmy, ot co.

- No uwidim – odpowiedzieli nam, spisali odpowiednie protokoły jeszcze tego samego dnia zapakowali nas w taką enkawudowską więźniarką całą z blachy w ciemno zielonym kolorze. Gdzieś nas więzli i trzeba tu powiedzieć, że strach jechał z nami. A jeśli nas wywożą na Sybir? – myśleliśmy. Oni przecież takie rzeczy robią, ze szpiegami szczególnie, na

białe niedźwiedzie ich wysyłają, a nam takich właśnie „szponów” przypisali. Boże wielki, że też zachciało nam się wolność wybierać.

Na szczęście była to znajoma już nam „Łysa Polana” gdzie czechosłowaccy pogranicznicy przekazali nas swoim polskim kolegom. Przed nocą dostarczono nas do Zakopanego i zamknięto w piwnicy placówki granicznej. Były tu cztery drewniane prycze z siennikami wypchanymi jęczmienną słomą i po jednym kocu śmierdzącym taką piwniczną zgnilizną. Aha i stały tam jeszcze dwa wiadra, jedno z wodą do picia drugie na sikanie. Ten areszt był, jak się później okazało, w willi „Świt” przy ulicy Zamoyskiego. Jakoś w nim przekiblowaliśmy noc.

Rano zaś rozpoczęły się przesłuchania. Nasi śledczy w pełni podtrzymali wersję czeskich pograniczników o naszym szpiegowskim działaniu. Dopytywali się więc, do jakiej nielegalnej organizacji należymy, kto i gdzie nas szkolił i jakie cele nam postawiono. Mielśmy podawać tylko fakty, osoby i zdarzenia, bo inaczej to kto inny się za nas zabierze.

A my wciąż mówiliśmy swoje, że byliśmy w górach na wycieczce i pobłądziliśmy. I tak minęło nam pierwsze trzy dni. Rano strażnik, który przynosił nam jedzenie, szepnął nam dyskretnie, że w naszej sprawie prowadzony jest wywiad środowiskowy w miejscu zamieszkania. Co my jesteśmy za jedni i czy rzeczywiście „szpiony”.

To nas ucieszyło. Przecież w Jędrzejowie wszyscy na znają, to może zaświadczą o naszej niewinności.

Fakty jednak wyprzedziły rzeczywistość. W piątym chyba dniu weszła do naszej piwnicznej celi jakaś sowiecka szychą w mundurze pułkownika. Nasi pogranicznicy to chodzili przed nim na paluszkach. Wiec ten pułkownik zapytał patrząc na nas.

- Nu, a ani kto?

- Polacy - odpowiedział mu strażnik.

- A czto ani dziełali?

Zaczęliśmy mu wtedy opowiadać jeden przez drugiego nieskładnie i chaotycznie, aż on uniósł rękę i powiedział, chwatit, chwatit.

- Znaczy u was Palaki Palaków w ciurmu zakrywajt, a? Odwrócił się do swojej świty i powiedział.

- Pustite ich, eto tolka maładyje pacany.

W dwie godziny później szliśmy już sobie Krupówkami wolni i szczęśliwi, świadomi faktu, że po raz drugi zostaliśmy oswobodzeni przez Ruskich.

Zakopane wyraźnie nam się spodobało zwłaszcza, że na budynku Państwowego Liceum Budowlanego wisiało ogłoszenie o rekrutacji na pierwszy rok.

Wstąpiliśmy tam i o dziwo spotkaliśmy dawną jędrzejowiankę panią profesor Stefanię Strzelbiecką, za namowa której obaj ze Stasiem Jackowskim zapisaliśmy się do jej szkoły. Zakopiańskie Liceum Budowlane miało znakomitą renomę od czasów jeszcze Cesarsko Królewskiej Szkoły Przemysłu Drzewnego. Obaj ze Staszkiem Jackowskim ukończyliśmy tę szkołę z tytułem technika budowlanego, ja dostałem nakaz pracy do Chrzanowa, gdzie mieszkam do dziś. „Jacek” zaś wrócił do Zakopanego, gdzie żył i pracował do ostatnich swoich dni.



# Nasze dziewczyny

Wszystkie pierwsze miłości mają żywot motyla. Pojawiają się najczęściej gdzieś w ostatnich klasach podstawówki i trwają najczęściej do końca roku szkolnego, albo przez czas letnich wakacji.

Dzisiaj, to nawet trudno jest określić tamte nasze dziecinne fascynacje płcią przeciwną. Wszystko przecież jest już tylko wspomnieniem, baśnią, legendą, przeszłością. Poplątały się w pamięci i pomieszały złote kłosa zbóż ze złotymi włosami naszych dziewczyn, a kolory wiosny i lata z ich sukienkami, sylwetkami i zalotnymi spojrzeniami. Tamte pierwsze nasze miłości zależały w dużej mierze od książek aktualnie czytanych. Tak naprawdę to wcale nie wiadomo, czy było to prawdziwe zakochania, czy tylko takie naśladowanie miłość Stasia Tarkowskiego do Nel, z sienkiewiczowskiej „W pustyni i w puszczy”? albo Skrzetuskiego do Helenki Kurcewiczówny. Książki miały wtedy przeogromny wpływ na nasz rozwój emocjonalny ale i erotyczny również. Ukradkiem przecież pod kołdrą i z wypiekami na twarzy czytało się zakazane przez rodziców książki typu „Dekameron” albo popularnego wtedy Antoniego Marczyńskiego.

Dopiero w gimnazjum nasze wyobrażenia o dziewczynach jakby trochę spoważniały. Bo co tu mówić, byliśmy już wtedy kawalerką dojrzałą prawie z sypiącym się wąsem i zarostem do golenia. Zaczynało się więc także wielkie szpanowanie na dorosłość. Podpalanie papierosów chowanych jeszcze w zwiniętej dłoni, żeby nikt z dorosłych nie zobaczył jarzącego się ognika, ukradkowe pociąganie wina prosto z butelki i spacerowanie blisko domów, gdzie mieszkały upatrzone dziewczyny.

To właśnie wtedy zaczynała się nasza młodość „chmurna i durna”, jak określił to kiedyś znany poeta.

Oczywiście, żaden z moich dzisiejszych rozmówców nie przyznaje się do takich młodzieńczych zakochań.

Józek Gierczak to wręcz się tego wypiera. On się interesował dziewczynami? Ale skąd!. Unikał ich nawet i lekcewał.

Interesowały go - jak mówi - tylko harcerstwo, gołębie, narty, wycieczki rowerowe i takie tam inne męskie zajęcia. Na żadne dziewczyny nie miał czasu ani ochoty. Aż przyszedł ten dzień, kiedy pani profesor Dylska na którejś ze swoich lekcji wychowania fizycznego zarządziła naukę tańca.

- Zaczęła od „trojaka” - opowiada Józek. Ustawiła nas w pary i rozpoczęła pod „zasiali górale owies...”.

Nie do wiary, jak w nas to wtedy uderzyło. Było bowiem coś niezwykle i ekstraordinaryjnego w tym chodzeniu i trzymaniu się za ręce. Okazało się w dodatku, że te nasze dziewczyny generują jakieś nowe, nieznane dotąd i o dziwo, przyjemne fluidy. Nadto po takich tanecznych lekcjach bardzo nam się rozszerzyło widzenie świata o jakąś tajemniczą, nową sferę, zauroczenie dziewczynami.

- Mnie dotyczyło to również - opowiada dalej Józek Gierczak - bo tamtego „Trojaka” tańczyłem wtedy z najpiękniejszą chyba dziewczyna w Jędrzejowie, zjawiskową wręcz Zosią Tittenbrun w dodatku baronówną. To była bardzo urodziwa dziewczyna z wdziękiem który zniewolić potrafił każdego, największego nawet twardziela. Miała oczywiście wielu adoratorów i wielbicieli, ale mnie, przyznać to muszę nieskromnie, jakby trochę wyróżniała. I chyba było coś w tym z prawdy, skoro wiedziony zazdrością niejaki Jan Frandofert, kielczanin, później znany dziennikarz, przybył do mnie z wielką, jak mówił, prośbą, bym z Zosi zrezygnował na jego rzecz. Ma bowiem wobec niej poważne zamiary. Połechtala mnie ta sprawa po męskiej ambicji, połechtala, owszem, nie powiem. Jakoś uważniej patrzyłem potem na Zosię, ale ona wyszła potem za mąż za Krzysztofa Komedę-Trzcinińskiego. Sławnego potem muzyka i kompozytora.

Od czasów tamtych „Trojaków” my zwyczajne chłopaki coraz bardziej stawaliśmy się kogutami, co to już wiedzą jak o względy dziewczyn zabiegać. Sprzyjały temu zwłaszcza ówczesne prywatki. Był to taki towarzyski hit tamtych czasów, miejsce spotkań, towarzyskich tańców i drobnych alkoholizacji. Kto z nas ich nie pamięta i nie wspomina do dziś. Piosenki nawet na ten temat śpiewano z tą najsłynniejszą: „Gdzie się podziały tamte prywatki”.

Józek Gierczak mówi, że na ich prywatkach najczęściej rej wodziły: Krysia Afanasjew, Alina Majówna, Iśka Kirlowicz, Henia Pszczoła, a wcześniej burmistrzanka, Jadzia Konczeska i tajemnicza Alina Gajdówna. Bywały też licealne koleżanki, z którymi Józek dotarł do matury: Danka Banasik (młynarzówna), Jania Grabowska i Halina Wielińska.

Najsławniejsze prywatki odbywały się wtedy u sióstr Kielbasianek w Sudole, ale także w młynie u państwa Banasików, lub w domu Janka Hatysa na Pińczowskiej. Każde pokolenie miało potem swoje prywatki i swoje najpiękniejsze dziewczyny. Pewnie jest tak do dziś, zgodnie z odwieczną sztafetą pokoleń.

W naszych czasach był jeszcze taki dodatkowy, piękny zwyczaj, że na szkolne zabawy, bo i takie bywały, dziewczyny przygotowywały kotyliony. Przypinały je potem wybranym chłopakom, co oznaczać miało sympatię i zaproszenie do wspólnej zabawy. Teraz i później.

Chłopaki te kotyliony skrzętnie zbierali. Stanowiły bowiem dowód ich męskości i powodzenia. Nie wszyscy oczywiście z należytą atencją. Bracia Gierczakowie na przykład, Janek i Józek, otrzymanymi na zabawach kotylionami udekorowali któregoś dnia swojego pieska Barcika i wypuścili go na dwór, a ten pognał wnet, jak to miał w zwyczaju, prosto do biura ich mamy. Cała ulica go w tych kotylionach widziała.

Józek mówi, że dzisiaj się tego wstydzi, ot taki głupi szczeniacki wygląd, w którym nie było jednak żadnej młodzieżowej odmiany mizoginii.

Rzecz dziwna, ale żaden z autorów tych wspomnień słowem nie chce nawet powiedzieć o jakiś bliższych i tych pierwszych kontaktach z dziewczynami. Janek Zając to się nawet tego wypiera.

- On się nie interesował żadnymi innymi dziewczynami – mówi – no może tylko poza swoją Ireną..

A Zbyszek Ciałowicz twierdzi, że wcale tak nie było. Bo Janek kiedy był w naszym liceum przewodniczącym zarządu szkolnego ZMP, to Ignęły do niego koleżanki zetempówki, a Ignęły. Tak było na przykład w okresie przerwy rekolekcyjnej. W szkole zorganizowano wtedy tak zwane „dni świetlicowe” na zasadzie konkurencji dla kościelnych rekolekcji. Polegało to na różnych zajęciach w tym tańcach przy muzyce z adapteru.

I nie było wtedy dziewczyny, która nie chciałaby zatańczyć z kolegą przewodniczącym, mimo, że na mszy porannej nasz ksiądz katecheta przypominał, iż wszelkie tańce w okresie wielkiego postu to grzech z gatunku tych najcięższych. No cóż? Urok przewodniczącego okazywał się być jednak mocniejszy, niżli obawy przed potępieniem wiecznym.

Janek Zając tylko się uśmiecha, gdy o tym mówimy, bo jak twierdzi, wie swoje.

Zaraz bowiem po przyjeździe do Jędrzejowa, jakoś wiosną 1948 roku Włodek Bożęcki zaprosił go do swojej podstawówki na szkolne przedstawienie. Z tamtego dnia Janek zapamiętał tylko jedno. Bardzo urodziwą dziewczynkę z długim warkoczem w seledynowej sukience.



Irena Wielńska, Ela Szczygłówna  
Slawek Lech i Andrzej Kalinin.

Boże, jak ona pięknie tańczyła z takim wdziękiem i gracją. Cała sala zawirowała mu wtedy razem z tamtym dziecięcym korowodem.

- Było to jego - jak mówi – jego pierwsze w życiu takie zupełne oczarowanie dziewczęcą urodą. Już nie pamięta, jak się przy niej znalazł. Dowiedział się tylko, że była uczennicą siódmej klasy i nazywała się Irena Wielńska. Osiem lat później została jego żoną.

- Irena była rodowitą jędrzejowianką – opowiada Janek. Jej ojciec uczestniczył w wojnie 1920 roku i z Piłsudskim był aż pod Kijowem i wtedy – jak mówił - „cofli ich aż pod Warszawę”. Ta legenda o wojnie pana Wielńskiego z bolszewikami tworzyła w ich domu taką bardzo polską, patriotyczną atmosferę. Irena w niej wyrosła. Już na początku szkoły średniej wstąpiła do harcerstwa. Była nawet w Rewalu na wakacyjnym kursie drużynowych ZHP, ale drużynową zostać już nie zdążyła, bo nowa ludowa władza postanowiła zlikwidować stare, przedwojenne harcerstwo i zastąpić je Związkiem Młodzieży Polskiej.

W liceum Irena uczyła się niżej o rok od Janka. Już się zaczęło między nimi coś jarzyć, kiedy on zapragnął zostać oficerem w myśl modnego wówczas hasła, że „nie matura lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera” i zgłosił się ochotniczo do Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu. Tam zaś już po paru miesiącach dopatrzono się w dokumentach, że kadet Zając

nie ma jeszcze osiemnastu lat więc należy odesłać go do cywila.

Trochę nieswój i ze spuszczoną głową wrócił znowu do swojej starej budy w Jędrzejowie. Stracił rok, ale znalazł się za to w tej samej klasie co Irena. Ożyły więc na nowo wszystkie wzajemnie fascynacje i oczarowania. I tak aż do matury. Kiedy potem na tle budynku gimnazjalnego robiono im wspólną, pamiątkową fotografię, Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej, profesor Karol Dębski powiedział:

- „Panie Zając, niech pan stanie obok pani Ireny Wielińskiej, bo chciałbym wam życzyć, żebyście tak samo pięknie przeszli przez życie, jak pięknie zdaliście maturę”.

- Podszedłem wtedy do Ireny – wspomina Janek i wziąłem ją za rękę. Byliśmy szczęśliwi. To była miłość taka od pierwszego wejrzenia, od tamtego szkolnego przedstawienia, gdy zobaczyłem ją tańczącą w seledynowej sukience. Razem już potem złożyliśmy podania na studia do Łodzi. Irena na stomatologię, ja na prawo. Niestety Irenie się nie powiodło. Wróciła do domu i rozpoczęła pracę w banku rolnym w Jędrzejowie. Rozdzieliło nas to prawie na pięć lat.

- Tęskniłem bardzo – wspomina dalej Janek. Zwłaszcza, że życzliwi koledzy dostarczali mi różnych do zazdrości powodów.

A to, że jeden z braci Lechów usiłuje ją poderwać, a to że inni miejscowi przystojniacy jak Jędrzek Kalinin, Zdzichu Dutkiewicz czy Jurek Skrobiszewski wyraźnie smolą do niej cholewki.

Zacząłem więc pisać listy i to obowiązkowo raz w tygodniu, żeby o mnie nie zapomniała. Chodziło mi głównie o pamięć, toteż listy moje były krótkie zwięzłe, zapewniające jedynie o mojej miłości. Ireny zaś na cztery strony kancelaryjnego papieru. Mam je wszystkie, około dwustu, do dziś, bo zawsze zachowuję to, co jest dla mnie cenne i ważne. Aż przyszedł wreszcie rok 1955. Ostatnie moje wakacje przed ukończeniem studiów. Poszliśmy sobie z Ireną na taki długi spacer po obrzeżach Jędrzejowa, aż do źródła „Świętej Barbary”. Nagle Irena przytuliła się do mnie i zaczęła popłakiwać.

- Co się stało? – zapytałem.

- Bo odjeżdżasz i zapomnisz o mnie. Tak twierdzi moja mama i namawia mnie, żebym wyszła za mąż za Zdzicha Dudkiewicza.

Za Dudkiewicza? A to drań. Był przecież moim kolegą szkolnym. Przez pewien czas, siedzieliśmy nawet w jednej ławce. Czeka ty Brutusie, niech ja cię spotkam. Żeby jednak nie kusić złego postanowiliśmy się pobrać. Nasz ślub odbył się 3 września 1955 roku przed Urzędnikiem Stanu Cywilnego w Jędrzejowie. Świadkami byli: Ela Szczygieł, serdeczna przyjaciółka mojej Ireny i kolega z roku Henio Siewierski. Na skromnej kolacji w domu panny młodej spotkali się również nasi rodzice. Nie stać nas było na nic więcej, nawet na nowe ubrania „ale to nie jest ważne mój mężu” powiedziała wtedy Irena.

Przeżyliśmy potem z sobą czterdzieści siedem lat, aż do tamtego tragicznego 11 maja 2002 roku, gdy moja żona odeszła. Dziś, kiedy piszę te słowa znowu płacę. Bo tak to już jest z prawdziwymi miłościami.

O innej, równie wielkiej miłości życia, opowiada także Waldek Wiejacz. Z tym, że on sprawę stawia jasno. Dziewczynami zaczął się interesować bardzo wcześnie. Tyle, że były to takie chłopięce zauroczenia, krótkie niewinne i szybko przemijające. Miał chyba 13 lat gdy pierwszy raz zadurzył się w koleżance z sąsiedztwa, Zosi Wójcik. W dwa lata później zakochał się znowu, ale tym razem jak sam mówi, nieprzytomnie w Marysi Olkowskiej. Była to bowiem dziewczyna intrygująco piękna, ładnie też śpiewała i chętnie grała na pianinie. Umiała też zawracać chłopakom w głowach. To jego zakochanie w Marysi stało się wnet znane w całej naszej szkole, że nawet dyrektor Gugulski wezwał Waldka do siebie na taką ojcowską rozmowę. W głowie mu się bowiem nie mieściło, żeby prymus jego szkoły mógł trwonić dla dziewczyn swoje talenty.

- Na co ci te amory Wiejacz? – pytał więc Waldka – Na co? Tyle jest ładnych dziewczyn, a ty do jednej musisz się absztyfikować?

No i chyba miał rację stary profesor, skoro niebawem wyszło na jaw, że jego ukochana Marysiénka zdradza go z innym chłopakiem i to z sporo od niej starszym.

- Oczywiście, że mnie to zabolalo – mówi dalej Waldek. Dlatego wziąłem na ambit, jak to teraz mówią młodzi i przez jakiś czas w ogóle nie patrzyłem na dziewczyny. Harcerstwo było mi tylko w głowie, piłka nożna i inne typowo męskie zajęcia. Trwało to tak gdzieś do roku 1948, kiedy na mojej drodze stanęła nagle Halinka Chatysówna, najmłodsza i najpiękniejsza

z wszystkich czterech urodziwych sióstr Chatysianek. Od razu i to zupełnie straciłem dla niej głowę. Była przecież dziewczyną bardzo piękną, wesołą, entuzjastyczną nawet z takim zawsze ciepłym i serdecznym sposobem bycia. Dla porządku rzeczy dodam tu jeszcze, iż była we mnie zakochana z wzajemnością zresztą. I nie ma tu żadnych bałwochwalczych przechwałek. Dowodem niech będzie podpis na pierwszej fotografii jaką od niej dostałem. Stało tam napisane tak. „Jeśli zapomnisz oryginał, zniszcz kopię”.

Mam tę fotografię do dziś.

Zbyszek Ciałowicz o swoich dziewczynach mówić oczywiście nie chce. On nie. Jego nie interesowały żadne dziewczyny ani wtedy w czasach gimnazjalnych, ani później. Piłka go zajmowała. „Naprzód” Jędrzejów był najważniejszy, bo tam trenował codziennie swoje bramkarskie umiejętności. Dopiero dużo, dużo później, gdy spotkał Krystynę, obecną swoją żonę, to się zakochał na zabój, co zresztą niezmiennie trwa do dziś.

Pięknie to oczywiście zabrzmiało, chociaż Janek Zając twierdzi, że to nieprawda, bo Zbyszek Ciałowicz już jako licealista tłukł się o dziewczyny z innymi chłopakami. Raz to nawet wynikła z tego spora chryja i to na cały Jędrzejów. Chciano go wtedy wyrzucić ze szkoły.

- To Janek Zając chciał mnie wyrzucić - prostuje Ciałowicz. Za nieprzestrzeganie regulaminu socjalistycznej szkoły.

Janek na takie dictum tylko się uśmiecha i mówi, że jest to takie Zbyszkowe parafrazowanie faktów.

Jak więc było naprawdę? Mam na ten temat wspomnienia obydwu adwersarzy, więc je tutaj przytoczę. Zbyszek Ciałowicz pisze tak:

„Był marzec 1952 roku. Wszystkich uczniów naszego liceum obowiązywał zakaz przebywania na ulicach miasta po godzinie 20 wydany przez dyrekcję naszej szacownej szkoły. Tamtego dnia wieczór był na tyle piękny, że umówiliśmy się z naszymi koleżankami Haliną Solarską i Lalką Wsulek, na taki mały przedwiosenny spacer. Nie będę tu ukrywał, że Halinka Solarska, była wówczas moją pierwszą sympatią.

Idziemy więc sobie spokojniutko para za parą, ja z Haliną, Andrzej Latacz z Lalką ale wnet przyłączają się do nas dwaj inni koledzy: Dzidek Adamski i Józek Kubicki. Idziemy sobie teraz szóstkę. Mijamy po drodze kawiarenkę na Kieleckiej o szumnej nazwie „Gubałówka”, gdzie oprócz herbaty można się było napić taniego wina i zagryźć go herbatnikiem. Tylko jako uczniowie nie mamy tu wstępu i słusznie, bo dwie butelki wina marki „Tur” niesiemy w kieszeniach ze sobą. Robi się trochę chłodno, więc odbijamy nasz trunek i siadamy do ucztowania w pobliskim zagajniku. I wtedy podchodzi do nas kilku chłopaków z równoległej klasy naszego liceum. Też mają wino tak, że balanga zaczyna nabierać rumieńców. Jest coraz weselej i coraz fajniej, aż do momentu, kiedy oni zaczęli dowalać się do naszych dziewczyn. Przyznaję, że to ich uparte, a nawet takie nachalne emablowanie mojej Halinki wyprowadziło mnie wtedy z równowagi.

Wynikła z tego dość ostra bijatyka z kilkoma siniakami i rozkwaszonymi nosami, ale pogoniliśmy ich wtedy a pogonili, tyle tylko że skandal się później z tego zrobił na cały Jędrzejów.

Już następnego dnia rano zebrał się w naszej sprawie Zarząd ZMP jak również Rada Pedagogiczna szkoły. Sam dyrektor Adamczyki wezwał nas też do siebie na dywanik. Zaraz potem zwołano więc na głównej klatce schodowej naszego gimnazjum, gdzie odbywały się apele, masówki i inne szkolne wydarzenia, żeby potępić wczorajsze, niecne zachowanie niektórych uczniów. Sprawę zreferował przewodniczący naszego ZMP, kolega Jan Zając, który zażądał przykładowego ukarania uczniów którzy jawnie złamali regulamin szkolny i w godzinach wieczornych wszczęli chuligańskie burdy na ulicach miasta.

- Nie licuje to zupełnie z wychowawczo - politycznymi zasadami nowej, socjalistycznej szkoły – mówił - i niegodne miana ucznia. W imieniu więc zdrowego trzonu naszej młodzieży żądamy usunięcia wyżej wymienionych ze społeczności szkolnej.

- Powiało nam wtedy strachem - opowiada Zbyszek Ciałowicz. Był przecież rok 1952, w Kraju toczyło się kilka młodzieżowych procesów politycznych. Grupy Ciołka na przykład czy Burmajstra, relacjonowanych obficie przez radio i prasę typu „Sztandar Młodych”.

Ten nasz szkolny „proces” w obecności wszystkich uczniów liceum, pasował jak ulał żeby zaliczyć nas do takich właśnie wrogich i przestępczych grup.

Decyzją więc Rady Pedagogicznej Liceum Ogólnokształcącego w Jędrzejowie, Halina Solarska i Lalka Wsulek otrzymały nagany z wpisaniem do akt szkolnych. Podobnie zresztą jak Zdzisław Adamski, Józef Kubicki i Zbigniew Ciałowicz. Tylko Andrzejowi Lataczowi, oprócz nagany, obniżono ocenę ze sprawowania.

I to mnie bardzo poruszyło – mówi Zbyszek. Przecież to ja, Ciałowicz a nie Andrzej Latacz byłem prowodyrem całej tamtej bójki. To ja w oczach Haliny chciałem być mężny i rycerski niczym sam Kmicic i teraz oto chcą mi to wszystko odebrać. No i dlaczego właśnie Andrzeja miała spotkać taka niezasłużona kara? Nie mogłem do tego dopuścić, więc rychło zaprotestowałem.

Powiedziałem, że to ja jestem wszystkiemu winien. Mnie należy ukarać i nikogo innego.

Zrobiło się cicho. Dyrektor Adamczyk chrząknął coś zakłopotany, po czym ogłosił, że Rada Pedagogiczna powtórnie udaje się na naradę.

Wyrok potem zaaplikowano mi srogi. Uczeń, Zbigniew Ciałowicz - czytał dyrektor - za krnąbrność i brak skruchy, zostaje okresowo usunięty ze szkoły. Pozostałe wyroki Rada Pedagogiczna utrzymuje w mocy.

Mama Zbyszka, gdy o tym usłyszała, załamała ręce.

- I co teraz będzie – zapytała. Jeśli się nie zastanowisz nad sobą, to kamienie przyjdzie ci tłuc na drodze – dodała prawie z płaczem. Rano poszła jednak do dyrektora i chyba wyblagała zmianę decyzji, skoro gdzieś w tydzień potem Zbyszek wrócił do szkoły. Miał tylko na świadectwie obniżoną notą ze sprawowania.

Janek Zajac w swoich wspomnieniach pisze o tej sprawie tak.

„Zbyszek Ciałowicz, właściwie od tamtego wydarzenia po dzień dzisiejszy wytyka mi fakt, że to niby ja wtedy w 1952 roku usiłowałem wyrzucić go ze szkoły. Oczywiście wcale tak nie było, co w niczym nie zmienia faktu, że na ten właśnie temat wadzimy się sympatycznie już od ponad 50 lat. Zbyszek opowiada swoją wersję, najczęściej w trakcie jakichś wspólnych, towarzyskich spotkań, ja zaś uparcie ją prostuję i mówię, że Zbysiu faktycznie zaprawił się wówczas winem marki „Tur”, a potem pobił się o dziewczyny, co stało się głośne na całe gimnazjum. Prawdą jest również, że wszyscy uczniowie byli wtedy po jego stronie. Szczególnie dziewczyny, że taki szarmancki i rycerski dla dam.

\* \* \*

Wszystkie pokolenia, w naszym Jędrzejowie miały i mają swoje piękne dziewczyny. To zrozumiałe. Urodę dziewczyn odkrywamy przecież niemal na każdym kroku i wciąż od nowa. Tyle, że nasze pokolenie, o którym piszemy w tej książce, miało oczywiście dziewczyny najpiękniejsze. Janek Hatys mówi nawet o jędrzejowskim zagłębiu dziewcząt urodziwych.

Każdy więc z nas, ówczesnych jędrzejowskich donżuanów, mógłby wymieniać z imienia i nazwiska te dziewczyny, które ich zachwyciły wdziękiem i urodą.

Siedzimy z Józkiem Gierczakiem, Jankiem Zajacem, Zbyszkim Ciałowiczem i Jasiem Hatysem przy nalewce w moim ogrodzie w Kusiętach i przypominamy sobie dziewczyny z naszych lat. Było ich sporo: Halina Abramowicz, Maryla Bakula, Lilka i Malina Baranówny, Hanka Ciekalska, Teresa Chowaniec – Szwach, (później lekarka i przewodnicząca Rady Miasta Jędrzejowa) Wanda Kupska, Krystyna Kornalska, Jadzia Świtalska, Maryla Wielińska, Sławka Łatówna, Jadzia i Teresa Łatkiewiczówny, Toska Łatasiówna, Ela Szczygłówna, Marysia Kniewska, oraz Marysia Bałuka-Horecka, Basia Głodzin, Halina Solarska, Krystyna Łukasik, Danka Skrzypcówna (potem lekarz w Rabce) Regina Piskorska, Mirka Kłosówna, Halina Wójcicka, siostry Kochańczyków, Basia Gajerska, Jadzia Kałwianka, Halina Wieczorek, Danusia Dobrowolska, Maryla Rusakiewicz, Maryla Kamińska, Marysia Żelazna, że wymienię tylko te nazwiska, bo o innych piszemy w treści tej książki.

W odróżnieniu od moich kolegów, współautorów tej opowieści, którzy uparcie twierdzą, że zawsze byli, o jej, jacy bogobojni i nie w głowie im były żadne miłosne fascynacje, to ja się tu przyznam, że zawsze byłem bardzo kochliwy. Nadto tyle lat upłynęło od tamtych dni, że można już spokojnie o tym wszystkim opowiadać.

Więc najpierwszą moją miłością była Ela Serafinówna. Spotkałem ją na takiej dziecięcej kolonii w Czarny koło. Włoszczowej i od razu zachłysnąłem się jej urodą. Bo co tu mówić była piękna, smukła, zgrabna z oczami migdałowymi jak sarna. Tak ją zresztą w myślach nazywałem: Moja sarna. Chłopaki to dosłownie szalały, żeby się jej przypodobać, ale ona w dziwny jakiś sposób mnie właśnie faworyzowała. Ciągłe gdzieś się koło mnie kręciła. Gdy szliśmy na jakąś kolonijną wycieczki to brała mnie za rękę, czym wprawiała mi serce w szybkie łomotanie.

Niestety zakochała się w innym chłopaku, Jurku Żuku za którego wyszła potem za mąż i na stałe wyjechała z Jędrzejowa. Potem byłem nieprzytomnie zakochany w jasnowłosej Sławce Łatównie i jeździłem nawet za nią do Łodzi, ale wcześniej.

No właśnie. Wtedy skończyłem akurat siedemnaście lat i był to czas, kiedy chłopców nawiedzają różne pragnienie i erotyczne sny. Ile to miało się wówczas marzeń na temat znajomych dziewczyn, ile planów na miłosne podboje. Tyle, że chcieć nie znaczyło jeszcze to samo co móc.

Jakoś wtedy właśnie pojechałem do Chrobrza, takiej urokliwej wioski ze starym pałacem Wielopolskich nad samą Nidą. Pałac oczywiście był już upaństwowiony, mieściła się w nim Szkoła Rolnicza, na czas wakacji zamieniona na wczasowisko. Moja mama pełniła tu funkcje kierowniczkii kolonii letniej dla dzieci pracowników wąskotorówki z Pińczowa i Jędrzejowa, stąd moja tam obecność. Spotkałem tam również swojego gimnazjalnego kolegę, Czarka Pawlikowskiego, tego samego, który w kilka lat potem stał się w Jędrzejowie najważniejszym facetem od telefonów, a potem i telewizorów również.

Zaczęło być fajnie, bo z miejscowymi chłopakami, Franiem Zubem, Józkiem Klapaczem i Mariankiem z jedną krótszą nogą, skumpłowaliśmy się dość szybko i serdecznie. Było więc z kim pogadać, wykapać się w rzece, a pod wieczór wypić jakieś winko.

To właśnie od nich, miejscowych chłopaków, dowiedziałem się o Ludwice. Przyjechała tu jak mówili uczyć polskiego w miejscowej szkole.

- Nakaz pracy znaczy taki dostała – wyjaśnił Józku Klapacz.

- Bo tamten stary nauczyciel to na suchoty pomarł wiosną jakoś – dorzucił Franiu. Cała wieś teraz o tej nowej nauczycielce mówi.

- A dlaczego – zapytałem.

- Bo chłopcy na nią lecą, he, he, he, to się baby na nią wnerwiają i obgadują.

- Ładna taka?

- Chyba ładna, ale dla nas, co ty? za stara. Ze dwadzieścia lat ma. A zresztą zobacz, właśnie idzie.

Odwróciliśmy głowy. Uliczką od strony pałacu szła w naszym kierunku jakaś dziewczyna. Siedzieliśmy na ławkach przy budce z piwem więc mogliśmy ją sobie obejrzeć dokładnie. Czarkowi Pawlikowskiemu to aż grdyka na jej widok podskoczyła na gardle. Bo też i zjawisko to było nie dziewczyna. Szła jak królowa jaka, a za nią w tle ten piękny pałac i ona taka młoda, elegancka jakby zeszała wprost ze starych, burżuazyjnych portretów w czasy demokracji ludowej.

- Cześć chłopaki – powiedziała przechodząc obok nas.

Staliśmy wciąż jak zaczarowani z butelkami piwa w rękę. Czarkowi znów grdyka skoczyła do góry, a Józku powiedział: O kurde!

Od tamtego dnia już ją podglądałem. Widziałem jak całymi godzinami na tyłach pałacu wylegiwała się w cieniu zdziczałej jabłoni. Jak czytała książki w przeciwsłonecznych okularach, albo jak podsypiała z ręką pod głowę.

Chłopcy to się rzędem ustawiali przed kościołem, niby na papierosa, żeby ją zobaczyć idącą w niedzielę na sumę.

Potem różne rzeczy opowiadano we wsi na jej temat. A to jak gruby i bogaty Kosmala, kułakiem przez partyjnych wtedy nazywany, przyjechał bryczką któregoś dnia w parę koni zaprzęzoną, żeby wziąć pannę na „potańc do Pińczowa”, i odjechał z niczym wyśmiany przez nią w głos. Albo gajowy Niecpoń, co po drabinie wchodził pod okno nowej nauczycielki, żeby ją - jak mówił - przestraszyć dla „szpasu”. Czarek i Franek zgodnie powiedzieli mi kiedyś przy winie, że im się ta Ludwika ukazuje w snach. Mnie zresztą też.

W tamtą ostatnią niedzielę wakacji dzień już od rana stał się upalny. Wody w Nidzie jakby ubyło i tylko głębia pod skarpą obok mostu zachowała jeszcze zdrowy chłód. Poszliśmy tam w czwórce chłopaków zaraz po obiedzie prosto na skoszoną łąkę nad brzegiem Nidy. Do rzeki przy moście skoczył tylko Czarek, ja z Józusiem trochę za nim, Maniuś zaś, ten z jedną nogą krótszą, pluskał się przy brzegu i pilnował nam porzuconych na piasku ubrań.

Rozsiedliśmy się potem leniwie pod starą wierzbą, od kościoła szło dzwonienie na nieszpory, a słońce nisko nad ziemią oświetlało już tylko czubki drzew pobliskiego lasu. I wtedy, dla szpasu chyba tylko, zacząłem opowiadać chłopakom o Ludwice, że niby chodzę do niej.

- Coo? – zapytali i aż podnieśli się na łokciach.
- No, że chodzę do niej już od wtorku, noc w noc.
- Bzdury pieprzysz – stwierdzili zgodnie i z powrotem legli na trawę.
- Chodzę do niej – powiedziałem jeszcze raz - pod zdziczałą jabłoń.
- I co z tego i co? – dopytywali się z kpina w głosach.
- A to, że robimy sobie z nią różne fajne rzeczy.
- Z tą Ludwiką?
- Z Ludwiką.

Kłamałem oczywiście. Oni wiedzieli, że kłamię, ale chcieli mnie słuchać, bo też marzyli o tym, o czym im teraz mówiłem. Opowiadałem im więc o naszych nocnych z Ludwiką spotkaniach nie dobierając słów, po świńsku i w brzydkich słowach, ale z najszczerzym zaśłuchaniem w tę swoją opowieść, pyszniąc się nią i sławiąc niezwykłą piękność swojej kochanki. Nie wiem skąd o tym wszystkim wiedziałem, bo przecież tak naprawdę nie znałem jeszcze kobiety, a mimo to opowiadałem, jak to robiliśmy, ona ze mną, ja z nią, że było wszystko najpiękniej na świecie. W tym naszym zaśłuchaniu nie zauważyliśmy nawet, że podsłuchuje nas ktoś jeszcze inny.

Zaszedł nas od tyłu cichym krokiem zza wierzby i stanął nade mną. To był miejscowy gajowy, ten sam, o którym mówiono, że chciał się po drabinie dostać do okna Ludwiki. Był stary, miał ze trzydzieści lat i pewnie dlatego od razu uwierzył w to, co tak pięknie i głupio zmyślałem.

Tamci trzej odskoczyli na boki. On zaś uniósł mnie z ziemi i patrzył jak bledną.

- Do kogo chodziłeś skurwysynie? - wysyczał przez zęby. Do kogo?

Wiedziałem, co stanie się dalej, ale postanowiłem bronić się przed śmiechem moich kolegów i przed własnym honorem. Zawołałem więc.

- Do panny Ludwiki.
- Łzesz jak pies – odpowiedział i znowu zwał mnie na ziemię.

Coraz trudniej było mi wstawać. W oczach miałem ciemność, choć słońce czerwieniło się jeszcze poprzez gałęzie lasu.

Z pomocą przyszedł mi nagle Czarek Pawlikowski. Zaczął ciskać w gajowego kamieniami. Był w tym szybki i rzucał dobrze, bo już po chwili trafił go w głowę, nad okiem chyba, bo oślepiiony krwią gajowy z nową furią pognął za nim w las. Ja zaś powlokłem się do rzeki żeby zmyć z siebie krew, wstyd i ból.

Wtedy ona wyszła wprost na mnie z wiklinowej dróżki, taka sama jaką widywałem pod zdziczałą jabłonią i z włosami związanymi na karku w samej koszuli i zrudziałej spódnicy osłaniającej smagłe od słońca nogi. Niosła ze sobą niewielką miskę z jakimiś fatałaskami do przeprania w rzece.

- Słyszałam, co opowiadałeś chłopakom – powiedziała nagle.
- Spuściłem oczy i zacząłem wycofywać się do tyłu, ale ona mnie zatrzymała.
- Zaczekaj - powiedziała. Pomożesz mi odnieść pranie.

Zatrzymałem się więc. Widziałem, jak podwijała spódnicę, wchodziła do rzeki i płukała to co przyniosła. W rozwarciu koszuli kołysały się piersi, o których tak prawdziwie opowiadałem swoim kumplom i lśnił drobnym potem jej kark opalony na brąz sierpniowym słońcem. Siedziałem już blisko rzeki na zwałonym pniu drzewa i patrzyłem na jej pracę, ona zaś Ludwika odwróciła do mnie głowę i zapytała przez ramię.

- Więc chodzisz do mnie tak?

Nie było w tym pytaniu ani drwiny ani śmiechu, co chyba dodało mi odwagi bo odpowiedziałem, że tak.

Uśmiechnęła się, wyprostowała plecy i podała mi miskę ze swoimi mokrymi łaskami. Szliśmy potem w milczeniu ścieżką przez nadrzeczne zarośla, aż ona przystanęła i spojrzała mi w twarz. Staliśmy tak chwilę, od rzeki szedł zapach śniętych ryb i było słychać plusk wody.

- To opowiedz mi teraz, jak mnie kochałeś – powiedziała.

Znowu zrobiło mi się gorąco i nie miałem czym oddychać, więc milczałem.

- No co? Chłopakom opowiadałeś, a mnie nie chcesz? zapytała i przybliżyła swoją twarz do mojej. Oczy jej ściemniały jak zachodnia strona nieba nad lasem, oddech stawał się szybszy a zza wilgotnych warg pokazały się białe zęby. Ale nie był to uśmiech.

- No powiedz mi, powiedz - powtarzała swoją prośbę i zaczęła pomału rozpinąć guziki mojej koszuli. Stałem jak wryty, a ona tymczasem zsunęła z siebie spódnicę w dół aż do białych stóp. Wyszła z niej potem biała i naga jak z piany morskiej. Jakoś mimowolnie ukląknę u jej nóg drżący i bez tchu, a ona wtedy zamknęła oczy i wyciągnęła ręce, którymi przyciągnęła mnie do siebie. Dalej nie pamiętam już nic, bo znalazłem się w niebie, albo w snach, jakie na jej temat nachodziły mnie co noc. Wiem tylko, że pomogła mi we wszystkim i dopiero gdy bez tchu padłem obok niej, otworzyła oczy. Były granatowe i gwiaździste niczym noc, która przysła nad naszą wiklinę wcześniej, nawet, nim dostrzeżliśmy jej nadejście.

Boże mój wielki, jak ja się potem tej Ludwiki wstydziłem. Omijałem ja z daleka. Na sam jej widok oblewał mnie pot i paliły oczy. A jednak po jakimś czasie zacząłem jeździć do niej do Chrobrzy i to dość często naszą jędrzejowską kolejką wąskotorową.

\* \* \*

Ale jak już opowiadamy o miłości i zakochaniach to wszystkie one są w jakiś tam sposób jednakowe bo najważniejsze. Jak to mówił kiedyś poeta, że „każda miłość jest pierwsza, najwspanialsza najszczerza, wszystkie inne usuwa w cień”.

No właśnie. Jankowi Zającowi po śmierci ukochanej Ireny dobry los zesłał Marysię z którą są już małżeństwem i widać im po oczach, że są ze sobą szczęśliwi. Ja swoją kolejną wielką miłość też spotkałem niedawno, bo przed dwudziestu pięciu laty załedwie, na takiej wycieczce w Zakopanem. Dziś jest moją żoną, ale łatwo wcale nie miałem. Pomogła mi znajomość gwary góralskiej (bo Tatrami i góralami zafascynowany jestem od lat) i taka przejażdżka konną dorożką po dolinie chochołowskiej, na temat której napisałem mojej wybrance wiersz. I to ją złamało.

Ponieważ czas już kończyć nasze wspomnienie o dziewczynach i pierwszych miłościach, przeto na koniec już ten mój góralski wierszyk przytoczę.

*Konik człapie, drynda trzeszczy*

*Od gór mgła opada*

*A na koźle stary gazda*

*Tak z koniem rozmawia.*

*Kielo my to roków siwy po górach jeździmy*

*Ile my to już przewieźli rozmaitego ludu*

*Ale ta pani, co dzisiok tu jedzie*

*Piekno jest*



*Piekno jest do cudu.  
Panic uny, co śniom siedzi  
Straśnie ją miłuje  
Ino w ocy ji pożiro,  
Po rąckach całuje.  
Hej, Boże wielki. Boże na niebiesie.  
Kiebym jo, choć roz jeden naseł taką panią  
Tyz bym poseł za niom.  
Hej poseł bym za nią  
Gazdostwo byk przedął, owce wygnął w hale  
I poseł bym śnią, ka by chciała  
Nie boł byk się wcale.  
Ale nom siwy, cas się wyrtnął,  
Kie kwilecka jedna  
Noc nos zgoni na dziedzinę,  
Jak owce do kierdla  
W dzwierzach pies nas obtańcuje  
Zajazgoce baba  
Dutków mało my przywieźli, to baba nie rada  
No to się choć napacmy, za tą piękną parą  
Hej, widzis śiwy.  
Inse chłopcy na tym świecie  
Lepse szczęście mają.  
Takie szczęście som Panjezus daje rąckom Boską  
Dzisok właśnie takie szczęście  
Wieźli my dorożką.*

# Tamte prywatki

Moja wnuczka Ania, mówi, że dzisiaj nazywają to „domówkami”. Więc co pokolenie, to inna nazwa. Wcześniej były to „tańczące wieczorki”, potem „prywatki” teraz „domówki” tylko sens jest wciąż ten sam: dobra zabawa.

Na prywatkach bawiono się za naszych czasów, bawią się ludzie również dziś. Ja też na taką współczesną „domówkę” zostałem nie tak dawno zaproszony, a to z okazji „osiemnastki” wnuczki mojego starego kumpla, Mirka Bijaka, który całą tę imprezę obiecał sfinansować. Stąd nasza tam obecność.

Dla kurażu pocieszałyśmy się faktem, że chyba nie jest z nami jeszcze tak źle, skoro młoda gospodyni na to swoje święto nas zaprosiła.

O oznaczonym więc dniu odświętnie wyelegantowani i odświeżeni zjawiliśmy się z Mirkiem w domu jubilatki. Miejszem uroczystości był największy pokój w jednym z bloków przy ulicy Krakowskiej w Kielcach, gdzie wszystkie mieszkania są podobne w kształcie i rozmiarach do plastrów miodu w pszczelim ulu. Na czas owej „domówki” wszystko w domu jubilatki zostało gruntownie przemeblowane. Precz usunięto większość zawadzających, niepotrzebnych gratów. Wszystkie dywany, chodniki i donice z kwiatami odstawiono do małego pokoju, zaś rodziców i młodszego brata odesłano het, do dziadków w Jędrzejowie. W chacie miał być bowiem luz i pełna swoboda. Na pełny regulator grała już kasetą z najnowszymi przebojami z listy disco polo w powietrzu zaś unosiły się zapachy lawendy rozpylone z odświeżacza typu „Bri”.

Równy z wybicciem godziny osiemnastej zjawili się pierwsi młodzi goście. Panowie przeważnie z kwiatkiem w ręku i dyskretnie ukrytą w kieszeni półlitrowką, panie zaś podmalowane i odstawione na dorosłość.

Lojalnie muszą też przyznać, że większość z nich już w momencie przekroczenia progów mieszkania wcale nie kryła swego zdziwienia na widok nas dwóch archaicznych skorupiaków potulnie siedzących na wersalce w kącie pokoju.

- A kto ci tak zachlapał chatę wapnem - pytali gospodynię poufnym szeptem.

Dopiero po stosownych wyjaśnieniach, a właściwie po paru lampkach owocowego likworu zaczęli do nas zagadywać z właściwą sobie spokojną tolerancją i umiarkowanym zaciekawieniem. Jeden z chłopców zapytał nawet, co słychać, jakby nie czytał gazet i nie oglądał telewizji.

Tymczasem wciąż przybywali nowi goście i niebawem było ich już pełne mieszkanie. Słychać było śmiechy dziewcząt i głupawe porykiwania chłopaków. Część młodzieży tańczyła już na parkiecie w przedpokoju, inni w okolicach stołu z trunkami i zakąskami podejmowali trudne, międzypokoleniowe rozmowy.

Dopiero po kilku spełnionych toastach za pomyślność i zdrowie jubilatki, zapanowała atmosfera powszechnej przyjaźni i głośniejszej radości. Wzmocnione przyniesionymi alkoholami owocowe wino smakowało owszem, owszem i wyjaśniało dlaczego całe towarzystwo tak nagle poweselało. Domówka zaczynała się rozkręcać. W przedpokoju zakochani tulili się w tańcu, reszta dyskutowała zawzięcie o samochodach, forsie i biznesie. Dziwna rzecz, ale słownictwo tych młodych ludzi do złudzenia przypominało język pewnego mojego znajomego mechanika od samochodów, który w każdej rozmowie używa tylko trzech, powszechnie znanych słów: na literę k, ch i p, i wszystko tym sposobem potrafi opowiedzieć zarówno o usterkach silnika, jak o trudnościach codziennego życia.

Uczestnicy tej „osiemnastki” czynili podobnie. W każdym niemal zdaniu rzucali mięsem, bez cienia skrępowania i najmniejszej żenady, jakby w tym właśnie był ich szpan i cała męska osobowość. Co dziwne, dziewczęta wcale się na to nie oburzały. Przyjmowały te wulgaryzmy jak coś zupełnie naturalnego, zwyczajnego i ani myślały czuć się urażone w swojej kobiecej delikatności.

- W naszych czasach, odezwał się Mirek, też wzmacnialiśmy wino wódką, żeby było mocniejsze, ale przy dziewczętach tośmy tak nie klęli. Obowiązywała polska szarmanckość dla płci pięknej i szacunek wobec dam - pamiętasz?

- Pamiętam. Teraz niestety świat się zmienił, zdewaluował wartości, pieniądź uczynił rzeczą najważniejszą. Myśmy byli biedni, ale piękni.

Tymczasem na „osiemnastce” naszej jubilatki zgaszono właśnie światło, co miało oznaczać początek szampańskiej zabawy. Przez jakiś czas słychać było piski dziewcząt i basowe pomruki rozochoconych chłopaków, aż ktoś na powrót włączył prąd i znowu zrobiło się widno.

Wtedy nastąpił całkiem niespodziewanie zwrot - powiedziałbym nawet pokoleniowy - między nami dwoma wapniakami a osiemnastoletnią młodzieżą.

Właśnie do odtwarzacza wrzucono nową płytę i chyba tylko przez pomyłkę zamiast prymitywnych, ogłupiających wrzasków współczesnej muzyki, popłynęło z głośników stare dobre boogie-woogie, takie z repertuaru orkiestry Glenna Millera: „Czy pani zna miasteczko czatanoga czy czu”.

- Zmień tę płytę - zawołało parę głosów, ale mój Mirek właśnie wtedy podniósł się z wersalki i poprosił do tańca swoją osiemnastoletnią wnuczkę.

Dziewczyna miała dryg w nogach, oj miała. On pomimo upływu lat też nie zapomniał wszystkiego. Zaparł się w sobie, wciągnął brzuch i ruszył w tany.

Boże święty, jak oni tańczyli. Cała jubileuszowa młodzież wywaliła na nich gały a po chwili zaczęli nawet pomrukiwać z uznaniem. A ja się cieszyłem;

- Macie, dupki żółdne - mruczałem pod nosem - macie. Wy potraficie tylko podrygiwać w miejscu, trząść kuprami i wykrzywiać twarze. Patrzcie dupki, jak się kiedyś pięknie boogie-woogie tańczyło. Zacząłem im klaskać do rytmu a reszta młodzieży podchwyciła to niebawem i nagle, przez tę parę chwil wspólnego kibicowania tańczącym byliśmy wszyscy zjednoczeni wspólną radością przeżywanego piękna. Bo dobra sztuka nie dzieli pokoleń, ale je łączy.

Wracaliśmy z Mirkiem do domu zadowoleni i zachwiani trochę w swoich sądach na temat naszej współczesnej młodzieży.

Dochodziła północ, biły zegary.

- Fajnie było, co? -zapytałem.

- Fajnie – odpowiedział Mirek. Zupełnie jak kiedyś za naszych młodych lat. W niczym wtedy nie byliśmy od nich lepsi ani gorsi - pamiętasz?

- Tylko że to było tak dawno. Tak dawno.

- Spoko stary, spoko – poklepałem Mirka po ramieniu - czas ich dogoni. Tylko oni jeszcze o tym nie wiedzą.

Opowiedziałem tę historię o współczesnej „domówce” bo zawsze przecież tego typu towarzyskie spotkania mały urok takiej serdecznej spontaniczności popartej młodymi temperamentami. W tamtych tuż powojennych czasach najlepsze prywatki mieliśmy u Janka Hatysa na Pińczowskiej no i oczywiście te najstynniejsze u sióstr Kielbasianek w Sudole. Szczególnie jedna z nich, gdy zlikwidowało ją jędrzejowskie UB, stała się wręcz legendą. Całe miasto o niej mówiło. Byłem na niej wiec opowiem.

To zdarzyło się jakoś na wiosnę w okresie ferii wielkanocnych. Na tę prywatkę namówił mnie Jurek Kamizela, chłopak z Kielc ale rozmiłowany w Jędrzejowie, gdzie szalał na motorze i podrywał nam dziewczyny.

Mówił do mnie. Wszystko jest już ustalone, kto przywiezie żarcie, a kto trunki. Ważne, żeby towarzystwo było eleganckie, kapujesz?

No i towarzystwo dopisało rzeczywiście, najlepsze. Cała złota młodzież zjawiła się na tej prywatce,.

O tej naszej jędrzejowskiej złotej młodzieży muszę tu słów kilka powiedzieć. Zetempowcy nazywali ich też bikiniarzami, dzoleami, a byli to po prostu młodzi ludzie, którzy nie chcieli brać udziału w życiu nowej, na wzór radzieckiej rzeczywistości. Cenili sobie stare, przedwojenne tradycje, lubili wolność i luz, słuchali muzyki z radia Luxemburg zamiast patetycznych pieśni rewolucyjnych. Ubierali się też zupełnie inaczej niż nakazywała ówczesna proletariacka moda. Spodnie nosili węższe u dołu, zamiast 27 tylko 23, marynarki najczęściej z samodziąłu, kolorowe krawaty na gumce i buty na słoninie, czyli na wysokiej podeszwie i kolorowe w prążki skarpety.

Wyśmiewano ich za to w radio i prasie partyjnej, nazywano bikiniarzmi (niby od małą na wyspie Bikini), ale im to wcale nie przeszkadzało.

Pamiętacie, jak to się wtedy na złość zetempowcom śpiewało?

Bikiniarze to są ludzie tacy  
 Co to sobie nic nie robią z pracy  
 Bo na to im pozwala  
 Słynny plan Marshalla  
 Hej boogie woogie.  
 Idzie sobie bikiniarz ulicą  
 Przed nim cizia z rozciętą spódnicą  
 Pepegami tupie, socjalizm ma w dupie.  
 Hej boogie woogie.

*(Co to wtedy była „cizia”? To dziewczyna, a pepegi to dzisiejsze tenisówki)*

Więc na tamtą, sławna potem prywatkę u sióstr Kielbasianek, zjeżdżała najfajniejsza młodzież z Jędrzejowa. Byliśmy tam z Waldkiem Znojkiem jako jedni z pierwszych, więc mogliśmy obserwować przybywających gości. Zaraz po nas na „Zindapie” z przyczepą przyjechał Jurek Kamizala i przywiózł ze sobą Elę Serafinówną i Wandą Kupską, najładniejsze chyba dwie dziewczyny w naszym miasteczku. Potem zjawił się Jurek Klimczak na „Panonii” z piękną Baską Mrozówną. Wielki Boże, co to znaczyło w tamtych latach mieć taki motocykl. Wszystkie chłopaki zazdrościły im tak wspaniałych maszyn. Ile oni na te motory dziewczyn poderwali. Ale ich było stać. Ojciec Kamizeli miał prywatny warsztat blacharski i naprawiał w całej Polsce dachy muzeów i kościołów, a ojciec Jurka Klimczaka był młynarzem. Dlatego Jurek przywiózł z sobą bułki i ciastka jako składkowe na tę prywatkę. Kto czym mógł to dokładał się do tej imprezy Zdzisiek Zakrzewski na przykład, zwany przez nas „wielki łeb”, dostarczył kielbasy z masarni rodziców, a Leszek Afanasjew zabrany cichcem z domowej spiżarni sółj z ogórkami kiszonymi.

Gdy wszyscy już się odliczyli, Włodek Kielbassa zarządził składkę na coś mocniejszego. Siadł potem na rower i po chwili wrócił z taką aluminiową konewką pełną świeżuteńkiego samogonu. Od tamtej chwili nasza prywatka zaczynała nabierać rumieńców.

Kto chciał biesiadować wygodnie, ten siadał za stołem, kogo ciągnęło do śpiewania i trunków, podchodził do ławy pod oknem, gdzie ustawiono ową przywiezioną przez Władka konewkę z bimbrem i metalowym kubkiem wznosił okolicznościowe toasty. Każdy powód był tu dobry. Za zdrowie na przykład, przyjaciela wszystkich postępowych ludzi na świecie, towarzysza Józefa, Wisarionowicza Stalina. Albo za urodę najpiękniejszych rewolucjonistek, Nadieżdy Krupskiej i Klary Zetkin.

Tam przy „wódopoju”, jak żeśmy ten ką z samogonem nazywali, odbywały się takie improwizowane na poczekaniu konkursy satyryczno – poetyckie, parafrazujące modne wówczas hasła polityczne, wypisywane na plakatach i różnego rodzaju transparentach.

Brylował tu Jurek Żuk, uchodzący już wtedy za dobrze zapowiadającego się poetę.

Zamiast w łożu klepać kłepę – wołał  
 Buduj stadion dla ZMP  
 Zamiast w nocy drażnić prącie  
 Działaj w Narodowym Froncie - wtórował mu Wiesiek Kołkiewicz  
 Zamiast z dziwką się łądaczyć

Buduj ustrój świata pracy - dorzucił ktoś inny, a potem, na całą okolicę płynął śpiew wspólny i donośny:

Nad kołchozem ciemne chmury wiszą

Polną drogą idzie Sasza z Griszą.

Sasza kandydat do partii

A Grisza już członkiem K.C.

Stalin życie im zamienił w bajkę

Zamiast chleba dał im bałaajkę.

Było w tym naszym śpiewaniu i w tych rymowankach, sporo zwyczajnego sarkazmu i nieukrywanej kpiny przeciw wszechobecnej i ogłupiającej propagandzie politycznej. Ale było też sporo zwyczajnego, młodzieńczego wygłupu, zwłaszcza gdy mocno już podchmieleni, zaczęliśmy tańczyć i śpiewać na cały głos, zakazane przez wszystkie zetempowskie ideologie imperialistyczne, boogie woogie.

Mówił murzyn do Murzyna kuku.

Chodź stukniemy komunistę z łuku

Bo na to nam pozwala

Ojców naszych wiara

Hej, boogie woogie

Byliśmy rozgrzani samogonem, podekscytowani zabawą, roz hulani w tańcach, toteż nikt z nas nie dosłyszał warkotu motorów, ani dziwnych cieni przesuających się za oknami domu.

Dopiero gdy cały teren wokół oświetliły samochodowe reflektory i smugami prześwieciły okna naszej prywatki, stanęliśmy wszyscy porażeni strachem, zapamiętanym jeszcze z czasów niedawno minionej wojny.

- Obława – zawołał ktoś głośno.

Zrobiło się nagle cicho. Płyta na patefonie grała jeszcze przez chwilę, a potem zgrzytaniem igły dobiegła do końca i wtedy, doleciał do nas z dworu ochryply głos.

- Tu Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa. Jesteście otoczeni. Wychodźcie z domu pojedynczo, z rękami uniesionymi do góry.

Nikt się nie ruszył. Staliśmy wciąż w bezruchu, jak zastygli gdy tamten głos z dworu wciąż powtarzał swoje: Tu Urząd Bezpieczeństwa...

Nie przypuszczaliśmy wtedy, że tych ubowców zesłała na nas mieszkająca obok komunistka, niejaka Nawrotowa, posłanka do tak zwanego Sejmu Ustawodawczego.

Niektórym z nas udało się wtedy uciec na tyły domu i w pole, ale kilku złapali. Mnie też. Zawieźli nas potem taką milicyjną suką do budynku UB na wprost obecnego banku i ustawili na korytarzu z rękami uniesionymi do góry opartymi o ścianę.

- Nie wolno się ruszać – ogłosili - ani rozmawiać, ma być cisza.

Staliśmy więc jak kazali, a upływający czas zaczął gubić minuty i wydłużał każdą chwilę w coraz większą udrękę. Uniesione do góry ręce drętwiały, dokuczało pragnienie i potrzeba skorzystania z ubikacji.

Któryś z chłopaków, o jakieś dwa, może trzy miejsca wcześniej, nie wytrzymał, chyba bo wrzasnął na cały głos: - Chcę do sracza, do sracza A potem dodał jeszcze, że Polacy nie powinni traktować Polaków, jak Niemcy za okupacji, bo to hańba.

Uspokoił go natychmiast jeden ze strażników, uderzeniem kolbą karabinu w plecy, co wywołało jego krzyk i nasze poruszenie.

- Bedzie tera spokojny? – zapytał strażnik.

Muszą być tutejsi - pomyślałem o strażnikach. Mówili przecież naszą, kielecką gwara, każdą literę „ą” na przykład zamieniając na „o”.

- Jak bedo stać cicho, to nie oberwio. Przyjdo kumendant to rozsodzo, co bedzie z wami - wyjaśnił na koniec.

To są parobki z pobliskich dworów - pomyślałem znowu. Z czworaków poszli do UB i do milicji. Dali im tam dobre pensje, broń do ręki i władzę prawie bezkarną. Na każdym przecież słupie ogłoszeniowym wisiał apel: „Wstępuj w szeregi Milicji Ludowej, zakładać nowy ład społeczny”. Dla chłopaków z przeludnionych wsi i małych rolniczych miasteczek była to szansa na zmianę życia, na lepszy, codzienny byt. Zgłaszali się więc chętnie, głównie dawni partyzanci z Gwardii Ludowej lub z Batalionów Chłopskich, a i akowców nie brakowało. Selekcji dokonywano później, gdy kandydaci okazali, swoją gorliwością w służbie i zaangażowaniu. Mówili im tam również o walce klas, o równości i sprawiedliwości społecznej, przywoływali przykłady ze Związku Radzieckiego, aż im wmówili, że wrogiem jest własny naród.

Obok mnie otworzyły się drzwi i jakiś sierżant za biurkiem zaczął spisywać nasze personalia.

Jako pierwsza odpowiadała Wanda Burska

- Nazwisko?

- Burska.

Kto był, oprócz was, na tym nielegalnym zebraniu?

- To nie było zebranie, tylko prywatka.

- Nie szkodzi. Podawać nazwiska.

- No, Stachu Kolarz.

- Nazwiska podawać, a nie pseudonimy.

- Znaczy, Stanisław Piasecki..

- Kto jeszcze?

- Zenek Kalfas.

- Nazwiska, mówię podawać, nie pseudonimy

- No, znaczy Zenek Znojek.

- Kto jeszcze ?

- Jurek Kamizela.

- Mówiłem, kurwa, bez pseudonimów – krzyknął rozniewany sierżant itak uderzył ją ręką, że spadła z krzesła na podłogę. Stamtąd dopiero powiedziała.

- Jak Boga kocham, on się tak nazywa.

Czas się potem włókł i włókł. Z dworu doleciało jakieś wściekłe ujadanie psa, trzasnęły gdzieś drzwi i ktoś szedł korytarzem. Na jego widok strażnicy wyprostowali grzbiety i zasalutowali dwoma palcami do czapki.

- Obywatelu kumendancie – przywieźli my tych ludzi z Sudoła, zgodnie z waszym rozkazem.

- Dobrze! Przesłuchać, spisać personalia i zwolnic do domu. Gównażeria jedna - rzucił w naszym kierunku i zniknął za drzwiami swojego pokoju.

Z całej tej sprawy kłopot mieli potem tylko nasi rodzice, żeby u dyrektora liceum wyblagać amnestię dla swoich dzieci.

Prywatka u sióstr Kielbasianek długo potem komentowana była w Jędrzejowie i do dziś jeszcze obrasta legendą. Zbyszek Ciałowicz twierdzi na przykład, że dziewczyny tańczyły tam nago. Fajnie by było, ale to nieprawda. Gdyby nie ta cholerna posłanka Nawrotowa nasza prywatka była by zwyczajną prywatką jak wszystkie inne. A tak jest do dziś o czym opowiadać.

\* \* \*

Piękny obrazek Jędrzejowa z tamtych lat z jego folklorem i taką wiejsko - miejską atmosferą oddaje w swoich wspomnieniach Janek Zajac, zwłaszcza z tych czasów kiedy pełnił tu urząd prokuratora.

„6 czerwca 1952 roku zdałem maturę. Przyszedł moment zastanowienia się co dalej z sobą zrobić. Rodziców miałem dobrych, troskliwych, ale ich wyobraźnia nie sięgała dalej jak granice gminy. Ojciec wprawdzie ukończył cztery klasy szkoły podstawowej i zakochany był w książkach, ale mojej dziecięcej ciekawości jakoś nie potrafił zaspokoić. Gdy pytałem go gdzie płyną te wszystkie rzeki? To odpowiadał:

- Jak to gdzie? Do Nidy.

- A Nida gdzie?

- Do Wisły.

- A Wisła?

- Do morza

- A morze gdzie?

- Do takiej wielkiej studni bez dna.

O tego był już za dużo. Moja wyobraźnia w żaden sposób nie mogła zrozumieć, żeby coś nie miało dna. Gdy któregoś dnia przyniosłem ze szkoły wiadomość, że ziemia jest okrągła, to rodzice aż zarechotali z uciechy.

- Co ty opowiadasz? mówili. Przecież ludzie nie mogą chodzić do góry nogami. Nie ośmieszam ich, broń Boże. W takich żyli czasach. A ojcu zawsze będę wdzięczny za tamten czas, gdy przy lampie naftowej czytał mi na głos „Marietta”, książkę jak się później dowiedziałem o dekabrystach i ich walce z caratem.

Ale wracając do głównego tematu. Maturę zdałem z wynikiem dobrym. Jako aktywiście zetempowskiemu zaproponowano mi nawet studia w Związku Radzieckim, ale zrezygnowałem. Moja Irena „szła” bowiem „na stomatologię do Łodzi, więc ja też wybrałem prawo na tym samym Uniwersytecie. Nie ma się co dziwić, byłem zakochany.

Nasz Wydział Prawa dysponował wówczas wspaniałą kadra dydaktyczną. Z tego znakomitego grona wspomnę profesora Stanisława Konopkę, wykładowcę ekonomii który 6 marca 1953 roku rozpoczął swój wykład w sposób następujący. „Kochana młodzieży, jak dowiedzieliśmy się przed chwilą, wczoraj wieczorem przestało bić serce „Ojca Narodów”, „Chorażego pokoju i dobrodziejstwa Polski Ludowej towarzysza Józefa Stalina”. Zrobiło się cicho zwłaszcza, że profesor Konopka schował w dłoniach twarz i zaczął płakać. Kto więc mógł się wtedy dziwić mnie, chłopakowi z zapadłej wioski, ogarniętemu ideami socjalizmu i sprawiedliwości społecznej, że łzy same napłynęły mi do oczu? Skoro taki wybitny profesor płakał.

W tym samym 1953 roku do Łodzi zjechało wielu Koreańczyków. W ramach internacjonalistycznej współpracy narodów byli oni kierowani na naukę do tak zwanych „demoludów” czyli do Polski również. Nam studentom z akademików proponowano wtedy wspólne z tymi Koreańczykami zamieszkanie w celu ich szybszej asymilacji z naszym językiem i obyczajami.

Ja się zgodziłem. Zamieszkał ze mną młody człowiek o nazwisku Czoj Han Czer, co o ile pamiętam oznaczało „wschodzący promień słońca”.

Mnie już się wtedy powodziło dobrze. Żadnej pomocy z domu nie otrzymywałem. Stypendium, które wynosiło wówczas w granicach 240-300 złotych wystarczało na całkowite utrzymanie. Dom akademicki kosztował 10 złotych, stołówka z całodziennym wyżywieniem 180 złotych, bilet sieciowy miesięczny 15 złotych; pozostawało około 50 złotych na własne rozrywki. Miałem się więc dobrze. Już na początku studiów zaciągnąłem się do uniwersyteckiego baletu, bo tańczyć zawsze lubiłem. Ale ten balet rozpadł się po dwóch miesiącach i Pani Szaniawska, która prowadziła również balet przy Zakładach Włókienniczych w Łodzi zaproponowała mi taniec w tym zespole za 300 złotych miesięcznie. O to już była kwota wielkości stypendium. Tyle że balet to ciężka robota. Ile potu i wysiłku trzeba włożyć aby trzydzieści par, a czasem i więcej w tym

samym momencie wykonało ten sam ruch, ten sam gest i ten sam uśmiech. Taniec to była i jest do dziś przyjemność dla ciała i radość dla duszy. No i bardzo często sposób na życie.

Był wtedy taki lokal w Łodzi o nazwie „Delfin” przeznaczony wyłącznie dla pań, bo. Łódź z racji swojego przemysłu zatrudniała głównie kobiety. Było ich tu o kilka procent więcej niż mężczyzn. Więc ten lokal „Delfin” urządzone był w taki sposób, że pod ścianami ustawione były stoliki 2-osobowe. Przy każdym z nich siedziała jedna pani. „Fortancerze” tacy jak ja stali za kotarą i gdy zagrała orkiestra szybko startowali do którejś z dam porosić do tańca. Jeżeli pani zaprosiła potem do stolika, znaczy zaaprobowała partnera, to była darmowa kolacja i 30 złotych ekstra premii. Jeśli podziękowała, to wracało się za kotarę i kiedy orkiestra zaczynała grać itd.

Korzystałem wiele razy z takiego właśnie dorabiania do stypendium. I dodam tu jeszcze nieskromnie, że nie zdarzyło się, bym od partnerki usłyszał „dziękuję”.

Konieczmie muszę przypomnieć rozmowę z moim ojcem, gdy powiedziałem, że wybrałem sobie dziewczynę na żonę.

- Tato – mówię - chcę się ożenić”, Rodzice wiedzieli o Irenie. Ojciec pyta: synu, a musisz?

Odpowiadam „nie”.

- To znaczy, że kochasz tę Irenę?

Odpowiedziałem: tak.

- No to dobrze” - powiedział ojciec.

Wiosną 1957 roku urodził nam się syn – Leszek. Zamieszkaliśmy u rodziców Ireny, a ja podjąłem pracę w Prokuraturze Powiatowej w Jędrzejowie, uzyskałem etat i nominację na stanowisko aplikanta sądowno-prokuratorowskiego.

Warto tu opowiedzieć o jednym wydarzeniu sądowym, Uczestniczyłem w nim jako aplikant i protokółant. To był słynny w Polsce proces słynnego Kargula, albo Kierbela, bo nikt nawet sąd nie znał jego prawdziwego nazwiska. Prokurator Bałuka po zakończeniu przesłuchania zapytał oskarżonego, zgodnie zresztą z procedurą: Panie Kargul, czy Kierbel, jak się pan tam nazywa, kogo mam zawiadomić o pańskim aresztowaniu?”

A na to Kargul: panie prokurator, to ja się pana pytam, czy pan się dobrze zastanowił?.

- Tak, oczywiście – odpowiada prokurator Bałuka.

- To ja się pana zapytam jeszcze raz. Czy pan się dobrze zastanowił?

W trzy dni potem dotarło do naszej prokuratury polecenie o natychmiastowym zwolnieniu obywatela Kargula z aresztu. Podpisał sam ówczesny Minister Spraw Wewnętrznych, Józef Berman.

Czas biegł. 22 lipca 1960 roku powołano mnie na stanowisko zastępcy Prokuratora Powiatowego w Jędrzejowie.

Spośród wielu spraw karnych w jakich oskarżałem, trafiały się też takie z gatunku tragikomicznych. Oskarżyłem kiedyś dwie kobiety, matkę i babkę o zabójstwo dziecka. Kobieta urodziła je w stanie panińskim, poza domem i nie za bardzo miała gdzie z nim wracać. Pojechała w końcu do swojej matki. I tu rozegrała się tragedia. W trakcie awantury między kobietami dziecko zostało po prostu rozerwane na kawałki, a potem cichcem pochowane w przydomowym ogródku.

W czasie rozprawy przed Sądem Wojewódzkim zapytałem domniemanego ojca o kontakty z oskarżoną. Czy przyznaje się do ojcostwa? Świadek oświadczył, że on ojcem na pewno nie jest.

- Ale utrzymywał świadek kontakty cielesne z oskarżoną?

- No niby tak.

- Więc na jakiej podstawie z taką pewnością twierdzi świadek, że nie jest ojcem tego dziecka.

- Bo Wysoki Sądzie ja zawsze uciekałem.

Mówiło się potem w naszym środowisku i nie tylko, że najlepszym środkiem antykoncepcyjnym jest uciekanie.



Wiosną 1961 roku mając niepełne 29 lat zostałem powołany na stanowisko Prokuratora Powiatowego w Kazimierzy Wielkiej. Urzędowało tam już przede mną czterech prokuratorów, ale żaden nie mógł sobie poradzić z ówczesnym 1-szym Sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR Józefem Darolem. Dziwny to był człowiek, słabo czytał jeszcze gorzej pisał, ale daj nam Boże w Polsce jak najwięcej takich pracowitych, konsekwentnych i pomysłowych ludzi. Niewielu znało jego życiorys. Ja też dowiedziałem się niewiele, ot tyle tylko, że przed wojną był członkiem komunistycznej partii Zachodniej Ukrainy, po 45 roku pełnił funkcję Sekretarza PPR a później PZPR w różnych powiatach województwa rzeszowskiego. Był ścigany przez UPA i musiał przed nimi uciekać. Trafił w końcu do Kielc na stanowisko sekretarza ds. rolnych. I tu, jak twierdzili niektórzy towarzysze, oszalał. W trakcie tak zwanej odwilży w 1956 wraz z sędzią Agijewiczem i adwokatem Płoskim wynieśli z sali posiedzeń Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Kielcach gipsowe popiersie Stalina i przed budynkiem rozbijali je młotkiem. Był to akt odwagi wtedy ogromny, więc władze jakby za karę wysłały go do szkoły partyjnej w Warszawie, żeby ochłonął i zmądrzał..

Ale wracając do początków mojej prokuratorskiej pracy w Kazimierzy Wielkiej W pierwszej kolejności zacząłem od tak zwanych „spraw starych”. Ze zdumieniem odkryłem dwie zakończone prawie przed rokiem i leżące bez końcowej, merytorycznej decyzji. Jedna dotyczyła dużych przekrętów finansowych w gminnej spółdzielni, „Samopomoc Chłopska”, druga przyjęcia łapówki przez przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej. Wezwałem niezwłocznie podejrzanych i w stosunku do obu zastosowałem areszt tymczasowy. Nie minął dzień jak zostałem wezwany na posiedzenie Sekretariatu Komitetu Powiatowego PZPR. Uczestniczyli w nim obaj sekretarze, Komendant Powiatowy MO, a także szef miejscowej placówki SB.

Nikt mnie w życiu tak jak wtedy nie opieprzał, Sekretarz Darol zażądał wręcz bym w przypadku ludzi z jego nomenklatury każdą decyzję uzgadniał z nim, jako Iszym sekretarzem. Zapytałem wtedy czy mogę się wypowiedzieć?

- Mówcie – usłyszałem.

Oświadczyłem, że będę postępował zgodnie z przepisami prawa. A jeśli wam, towarzyszu Darol prokurator w Kazimierzy Wielkiej w ogóle nie jest potrzebny, to od jutra możecie zająć moje biurko. Wstałem i wyszedłem. Wybiegł za mną Komendant Powiatowy MO i trzymając się za głowę mówił „coś ty narobił, coś ty narobił? Przez następne kilka dni był jednak spokój. Dopiero sprawa ze strażakami pokazała mi Darola od nowa.

Straż pożarna w warunkach wiejskich przez lata całe była głównym organizatorem zabaw tanecznych. Właśnie po jednej z takich zabaw na tle nierównego podziału zysków porąbało się toporkami kilku strażaków. Otrzymali za to dwuletnie kary bezwzględnego więzienia. Nie siedzieli jednak bo wszyscy byli aktywnymi członkami Partii i czynnymi strażakami. Kiedy zapoznałem się z aktami sprawy kazałem ich natychmiast zamknąć. No i znowu wybuchła z tego awantura. Komendant Powiatowy MO pytał mnie podniesionym głosem: Tylko powiedzcie mi towarzyszu prokuratorze, co ja mam robić? Wy każecie zamykać, a Darol każe wypuszczać..

- To chodźmy do Darola – odpowiedziałem i poszliśmy

Zapytałem tam sekretarza, na jakiej podstawie wydał takie polecenie.

- Bo ja się z takim wyrokiem nie zgadzam – odpowiedział.

Zacząłem mu wtedy czytać wyrok wydany na tych strażaków. „W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Sąd Powiatowy w Kazimierzy Wielkiej.

Wyrok więc zapadł nie w moim ani waszym imieniu, ale w imieniu Rzeczypospolitej.

- Ale czy oni – przerwał mi Darol ale już przyciszonym głosem – mogliby to odsiedzieć dopiero po żniwach?

- Na to się mogę zgodzić – odpowiedziałem - skoro tyle czekaliśmy, zaczekamy jeszcze miesiąc, dwa..

Na koniec jeszcze jedna śmieszna historyjka. Zgłosiła się do prokuratury kobieta w średnim wieku ze wsi Chruszczyna i oświadczyła, że przyszła zameldować, o gwałcie. Poprosiłem sekretarkę do protokołowania i zapytałem jak to się stało?

- No bo mój chłop tego dnia dostał w robocie wypłatę i powiedział, że idzie na wieś. To wiedziałam, że wróci późno. Posprzątałam chałupę zgasiłam światło i poszłam spać. Budzę się, a tu ktosik na mnie leży. Tak sobie myślę wtedy: mój to, czy nie mój? Ale to nie był mój, bo miał miękciejszą brodę.

Zleciłem postępowanie przygotowawcze. Okazało się, że owa kobieta od dłuższego czasu utrzymywała bliskie kontakty z sąsiadem i tego dnia umówili się na spotkanie wiedząc, że mąż po wypłacie nie wróci prędko. I tu się pomyliła. Mąż złapał ją na gorącym uczynku.

- Bo ón mnie zgwałcił – tłumaczyła się żona.

- Jak zgwałcił to idź do prekuratora – odpowiedział jej mąż.

Oczywiście umorzyłem sprawę, ale śmiechu mieliśmy sporo.

W 1998 roku zdecydowałem się przejść w stan spoczynku. Tak się nazywa emerytura sędziowska. Różnica pomiędzy emerytura a stanem spoczynku polega na tym, że sędzia w stanie spoczynku zachowuje wszystkie uprawnienia i obowiązki, zachowuje także immunitet, zwolniony jest tylko z orzecznictwa.

Mam teraz taką nadzieję, że zachowałem po sobie dobrą pamięć. Wielu przecież moich wychowanków pracuje dziś w różnych sadach. Pełnią odpowiedzialne funkcje prezesów sądów okręgowych, apelacyjnych; wielu jest adwokatami, radcami prawnymi, spotykam się z nimi i to daje mi radość i satysfakcję.

Gdy odchodziłem w stan spoczynku moja żona Irena była już na emeryturze. Pracowała także w Sądzie Okręgowym. Przez ostatnie 20 lat była wizytatorem a potem kierownikiem zespołu kuratorów dla nieletnich. Dzieło Jej życia to ośrodki kuratorskie na terenie Kielc przeznaczone dla niepełnoletnich z rodzin patologicznych, ale nie tylko.

Ostatnie lata poświęcała głównie ukochanym wnukom: Maćkowi i Michałowi. To była jej miłość i cała radość życia.

Umarła nagle 12 maja 2002 r. na wylew krwi do mózgu.. Spoczywa na cmentarzu w Cedzynie. Dla mnie to był najtragiczniejszy dzień w życiu. Zostałem sam. Przez parę lat chodziłem po mieszkaniu od ściany do ściany i płakałem. Świat mi się zawalił. Mężczyźni nie są przygotowani do samotności, bywa, że są zdolni do rzeczy wielkich, ale nie umieją porządnie posłać łóżka, zaradzić smutkom.

Wszystkim którzy być może będą kiedyś czytali te wspomnienia, dedykuję mój wiersz napisany w chwili głębokiej rozterki:

*Gnałem do przodu, roztrącałem ludzi i rzeczy.*

*Giąłem do ziemi i dźwigałem w górę*

*Wyciągałem szyję by zobaczyć metę.*

*Dziś finiszuję – widzę zdziwienie i grymas współczucia.*

*Czas skończyć – rękę wyciągnąć do zgody.*

*2000 razy przeprosić i do stołu zasiąść.*

*Dla zdrowia nalewkę wyszczyć do dna.*

*Pokłonić się nisko – zapragnąć miłości.*

*Gdy się myśli jest się wolnym.*

*Prosić o słowa „ego te absolwe”.*

Cierpiałem, aż los zesłał mi Marię. Przebywałem w sanatorium w Solcu Zdroju. Uwielbiałem chodzić tam na wieczorki taneczne. Siedziałem sobie przy piwku i obserwowałem salę. Grała muzyka, pary się kołysały i nagle tak jak kiedyś w lokalu „Delfin” w Łodzi, ogłoszono białe tango. Panie proszą panów. Wtedy podeszła do mnie Marysia. Dygnęła i zapytała: Mogę pana prosić?

Dziś jest moją żoną. Wygrałem szczęście, wróciło do mnie życie.

## Obrazki ze starych klisz

Będą to takie króciutkie opowieści, jak pstryknięcie aparatu fotograficznego, o ludziach, zdarzeniach i klimatach z tamtych naszych lat, gdy wszystko było młode, inne od dzisiejszych, więc warto zapamiętania.

Michał Koniecznyński, to była jedna z wielkich postaci naszego Jędrzejowa. Kochał życie, dobre towarzystwo i miał bardzo życzliwy stosunek do swojej osoby. To był przystojniak, jak do dziś mówią o nim dziewczyny. Świetny kumpel jak twierdzą koledzy i uczynny, otwarty chłopak jak go zapamiętali pozostali. Mnie Michał, bez obrazy, kojarzył się zawsze z pozytywnymi cechami Ostapa Bendera z „Dwunastu Krzesel” znakomitej sztuki Ilii Ileva i Eugeniusza Pietrowa, bo tyle w nim było autentycznej sympatii do życia, ludzi i świata.

Przychodził często do nas na stację, bo kolegował z Ludwikiem Pakiem. Chodzili do tej samej klasy. Wszystko więc, co zrobił Michał, lub częściej czego nie chciał zrobić, mieliśmy, że tak powiem z pierwszej ręki. Uczył się znakomicie mógł więc pozwalać sobie na pewien polityczny i obyczajowy luz.

Kiedyś, już w klasie maturalnej na jednym ze szkolnych zebrań zetempowskich przewodniczący Cudzik zarzucił mu, że bywa często pod wpływem alkoholu.

A na to Michał zupełnie niezbity z pantaląku.

- No cóż. Kolega przewodniczący nie może niestety chodzić pod takim wpływem, ponieważ nie pije alkoholu.

I to był właśnie cały Michał.

Po ukończeniu studiów w Krakowie, już jako inżynier magister, Michał Koniecznyński został w Jędrzejowie... taksówkarzem. Jeździł taką garbatą „Warszawą” model M-20, najczęściej na trasie: stacja PKP – Rynek.

W dni za to targowe miał szalone „branie”. Na ogół podpici mieszkańcy okolicznych wiosek mieli tę ambicję, żeby ich do domu odwoził taksówką sam, najprawdziwszy pan magister. Michał najpierw pobierał opłatę wstępną, na przykład 100 zł i dopiero na miejscu kasował resztę i wszystko spokojnie, beznamiętnie z klasą i gracją jak przynależało magistrowi. Był kopalnią pomysłów i duszą każdej imprezy czy prywatki. Jędrzejów bez Niego, nie jest już taki sam.

\* \* \*



Józek Gierczak i Tadeusz Chmielarz uwodzą w Oksie trzy miejscowe gracie

Kto z nas chłopaków w tamtym Jędrzejowie nie zazdrościł panu Mieczysławowi Augustynikowi jego pięknego BMW 600 boxer. No kto?

To było cacko wprost, a nie motocykl. Pan Mietek ścigał się nim na różnych ważnych rajdach w Polsce, czym wzbudzał w naszym mieście powszechny zachwyt, pożądanie męskiej strony, (Boże żeby kiedyś mieć taką maszynę).

A on lubił też pojeździć sobie po Jędrzejowie. Jak przelatywał tą swoją „beemwicą” przez Rynek z Wodzisławskiej na Kielecką, to nie było chłopaka, by nie mówił w zachwycie, o kurde. Czasem pogadał z tymi co kręgiem go otaczali i wyjaśniał różne tajemnice wyczynowej jazdy. Czasem kogoś, a ściślej mówiąc ładne dziewczyny, zabierał na tylne siodełko i pruł gdzieś w okolice łączyńskiego lasu. Niestety tak to już bywa, że wielcy szczęściarze nie żyją długo. Pan Mieczysław

Augustynik zmarł tragicznie, bo jak wykazało potem śledztwo, „nie zachował należytej ostrożności przy manipulowaniu z benzyną”.

Szkoda, bo to była piękna postać.

Jako jeden z pierwszych szalał też na motorze po Jędrzejowie Józek Gierczak. Jego więc pytam o ówczesne fascynacje motoryzacją. - Pierwszy raz w życiu siadłem na motocykl marki DKW 125 należący do Włodka Kielbassy – opowiada Józek - i tak mi się to spodobało, że potem wspólnie podrywaliśmy w ten sposób dziewczyny. To był wtedy szpan, że ho, ho. Zosia baronówna Tittenbrun jako pierwsza uprosiła Włodka, cichego zresztą jej wielbiciela, żeby nauczył ją prowadzić motocykl. Zgodził się, bo jakże inaczej i po krótkim instruktarzu Zosia ruszyła. Niedaleko, bo niebawem, bez szwanku wylądowała w rowie na Kieleckiej. Włodek podniósł ją z ziemi, otrzepał, ale usiąść ponownie na motocykl już nie pozwolił. Miłość do DKW-ki okazała się bowiem mocniejsza, niż sympatia dla dziewczyny.

DKW tyle, że 250 miał również Tadeusz Chmielarz.

- To on właśnie – mówi Józek Gierczak - tak naprawdę zaraził mnie motoryzacją. Mimo różnicy wieku i statusu zaprzyjaźniliśmy się i pewnie dlatego pozwalał mi uczniowi jeździć do woli swoim motocyklem. Szalałem więc nim ile wlezie po drogach i bezdrożach niczym jakiś niewyżyty rajdowiec. Później miałem już własne motocykle, „eshaelkę” 125, „jawę” 250, a dziś dziewiąty już z rzędu samochód. Nieskromnie tu dodam, że ukoronowaniem tej motoryzacyjnej fascynacji stała się moja monografia naukowa pt „Fenomen auta w przestrzeni”. Pozwoliła mi ona dopisać do tytułu doktora „ikonkę” habilitowany.

\* \* \*

O konflikcie doktora Tadeusza Przytkowskiego z jędrzejowską prokuraturą opowiadało całe miasto. Zaczęło się od tego, że któregoś dnia w okolicach muzeum ze słonecznymi zegarami zapaliły się komórki. Strażacy przyjechali właściwie natychmiast, ale cóż, gdy już po chwili zabrakło im do gaszenia wody. Doktor Przytkowski tak się tym wnerwił, że chwycił mosiężną obudowę pompy wodnej i wyrzucił ją w głowę komendanta strażaków. Ten upadł bez tchu, a ponieważ nie było wody, więc trudno go było ocucić. Gdy w końcu oprzytomniał wniósł niebawem odpowiednie doniesienie do prokuratury, zarzucając doktorowi Przytkowskiemu utrudnianie akcji ratowniczej oraz czynną napaść na funkcjonariusza straży pożarnej.

- Problem z tego zrobił się wielki – mówi ówczesny jędrzejowski prokurator, Jan Zajac. Trudno było przecież o banalny właściwie przypadek stawiać sławnego astronoma przed sądem. W krajach kapitalistycznych, niechętnych naszemu ustrojowi, dopiero by podniesiono larum propagandowe, że szykanujemy jednego z najsławniejszych Polaków.

Za namową więc prokuratorów, komendant strażaków wycofał swoje doniesienie o przestępstwie. Tyle, że niestety nie był to koniec tej historii. Następnym bowiem jej aktem odbył się w knajpie miejskiej pod nazwą „Tęcza” na rogu Rynku i Kieleckiej.

W jędrzejowskim Sądzie Powiatowym był wtedy taki zwyczaj, że po jakichś dłuższych rozprawach, czasem do późnego wieczora, cały skład orzekający w tym adwokaci i prokurator szli do restauracji na taką wspólnie kolację. Gdyby zdarzyło się to dziś, pewnie wybuchłoby z tego rejwach w prasie radiu i telewizji, że kumoterstwo, że skandal, że sitwa. Wtedy jednak nikomu do głowy nie przychodziło, żeby takie spotkanie mogło mieć inny charakter niż towarzyski.

To właśnie w tej restauracji nastąpił wówczas ciąg dalszy opowiedzianej wyżej historii, bowiem w drugim jej pokoju urzędował już, i to głośno, doktor Tadeusz Przytkowski.

Ktoś mu chyba powiedział, że w sali obok siedzą sędziowie i prokuratorzy, co jakoś szczególnie na niego podziało, bo krzyknął na cały głos „a ja mam w dupie wszystkich panów sędziów i prokuratorów”

Zrobiło się cicho, więc przedstawiciele jędrzejowskiego wymiaru sprawiedliwości wzięli płaszcze i szybciułko wyszli z lokalu. Dopiero na drugi dzień stanął problem, jak zareagować na takie, bądź co bądź, publiczną zniewagę? Różne padały propozycje, jedna groźniejsza od drugiej i dopiero prokurator Zajac powiedział do swojego szefa, że on ma pomysł, jaką zastosować zemstę.

- Kupimy taką pocztówkę z widokiem Muzeum Słonecznych Zegarów - mówił – i zaadresujemy na prywatny adres doktora Przypkowskiego. Jędrzejów Rynek 4” a na odwrocie napiszemy: „a my też mamy Pana docenta w dupie. Z poważaniem, prokuratorzy”. I szef się na to zgodził.

Nie minął dzień jak do prokuratury, z ową pocztówką w ręku, wpadł doktor Przypkowski z krzykiem już od drzwi.

- Co to ma znaczyć? Co?

- A my nic – opowiada Jan Zając - udajemy greków. Skąd możemy wiedzieć, mówimy. Ktoś się widocznie pod nas podszył. Chociaż słyszeliśmy, owszem, jak pan docent w restauracji krzyczał, że ma nas prokuratorów w „d.”

Doktor Przypkowski zasapał wtedy, jak to czynił, kiedy był w zakłopotaniu i powiedział :

- Coś słyszałem, cholera. Ludzie mi mówili. To ja was w takim razie, panowie prokuratorowie, bardzo przepraszam.

- Szczerze?

- Jak najszczerzej.

- No więc przeprosiny zostają przyjęte. Podali sobie ręce i wtedy doktor Przypkowski, jak to on, zaproponował

- To może byśmy teraz panowie poszli na zgodę do „Tęczy” co?

- Ależ skąd panie docencie – odpowiedzieli prokuratorzy – jesteśmy przecież w robocie.

\* \* \*

Był taki głuchoniemy człowiek w Jędrzejowie, na którego wołano: Buba. Nikt w mieście nie wiedział skąd do nas trafił, jak naprawdę się nazywał, gdzie mieszkał, z czego żył? Taki człowiek znikąd. Ale jednocześnie był wszędzie. Gdziekolwiek coś się w mieście działo, zawsze pierwszy zjawiał się uśmiechnięty Buba. Gestykułował, coś tam po swojemu mamrotał, usiłował pomagać, gdy taka była potrzeba. Potrafił rozumieć ludzi choć nie słyszał i o nic nie pytał.

Przy tym wszystkim był człowiekiem który wszystko widział jak ta stara mądra sowa z angielskiej bajki, ” the more she saw, the less she spoke”. która im więcej widziała tym mniej mówiła.

Nasz Buba odznaczał się jednak samodzielnością. Mimo kalectwa nie zebrał, nie oczekiwał od nikogo pomocy ani współczucia. Żył najlepiej jak umiał z takim dającym się zauważyć poczuciem własnej godności

Dziwny, dobry nieszczęśliwy człowiek.

\* \* \*

Jakiś czas temu razem z Jankiem Hatysem pojechaliśmy sobie do leśniczówki w okolice jego rodzinnego Cierna. W młodości bywaliśmy tu często, bo kuzyn Janka, tamtejszy gajowy dawał nam trochę zarobić przy naganianiu zwierzyny pod myśliwskie strzelby. Ciekawiły nas zmiany jakie tu zaszły od tamtych lat, więc zaraz po przyjeździe wyszliśmy na ganek i patrzyliśmy na zimę i las. Drzewa stały tu jak dawniej, w śnieżnych czapach, na szybach okien w gajówce widać było mroźne płaskorzeźby, a na plac przed leśniczówką, jak kiedyś saniami, zjeżdżały teraz modne, terenowe samochody z myśliwymi. Jutro razem ze świtaniem miało rozpocząć się polowanie. Za starzy z Jankiem byliśmy żeby brać w nim udział, ale ciekawiło nas bardzo, jakim zmianom w międzyczasie uległ piękny kiedyś myśliwski obyczaj.

Może jest to sprawa upływu lat i nowych obyczajów, ale wydaje się, że dzisiaj jakby brakuje trochę atmosfery tamtych łowów. Flinty myśliwskie są teraz prawie doskonałe, wyposażone w przeróżne lunety i noktowizory z odpornymi na wilgoć nabojami. Myśliwi też, jakby bardziej tacy niecierpliwi, ot odstrzelić co należy, wsiąść w samochód i wrócić do domu.

Tak sobie o tym wszystkim myślałem, a potem już przy ognisku, gdy podawano sobie do rąk piersiówkę z jałowcówką, żałowałem bardzo, że nie zaproszono tu trębacza, który jak kiedyś odtrąbiłby na koniec polowania hejnał na śmierć dzika, jelenia, lisa czy sarny. Bo dopiero wtedy można by powiedzieć, że odbyło się tu prawdziwe misterium łowieckie.

Przy tamtych polowaniach przed laty kręciliśmy się z Jankiem obok myśliwych już od świtu. Niebo świeciło jeszcze dużymi, zimowymi gwiazdami, a garnuszek z gorącym, wiejskim mlekiem parzył dłonie. Wtedy właśnie odbywało się losowanie stanowisk. Niby każde było dobre, ale ja zawsze pragnąłem, żeby wujek Janka wylosował to obok rzeki, bo tam

zwierzyna uciekała przeważnie w pław. A do zwierząt walczących z topielą strzelać nie było wolno. Podobnie zresztą jak do zająca, który „stanął słupka”, do kaczki na wodzie, siekającej kuropatwy czy lochy prowadzącej małe. Tak bowiem stanowił honorowy kodeks myśliwski.

Pytałem niektórych myśliwych czy dzisiaj tamten obyczaj jest również przestrzegany? Twierdzili, że tak, że prawdziwi „polowacze” są tym zasadom wierni. Zawsze byliśmy przecież krajem wielkich i mądrych myśliwych. Potwierdzają to nawet karty naszej, narodowej literatury. Każdy myśliwy, nim ukończy terminowanie łowieckie i otrzyma broń do ręki, starał się przeczytać „Puszcze” Ejsmonda i „Sobola i panny” Weysenhoffa, bo są tam niczym w biblii usankcjonowane zasady łowieckiej godności.

Ja przy tamtych przed laty nagonkach uwielbiałem wręcz takie opowieści. Sadowiłem się między uczestnikami polowania, dokładałem polan do ogniska i słuchałem, słuchałem. W każdej takiej opowieści było przecież coś niesamowitego. Jakiś jeleni, na przykład, o bajecznym porożu, który tylko przy pełni księżyca wychodził na rykowisko. Albo o lisie przecherze, cwaniaku nad cwaniaki albo o odyńcu wielkim jak koń. Jasiu Hatys twierdzi, że w każdym większym leśnym kompleksie do dziś są takie miejsca z zaczarowanym jeleniem i odyńcem wielkim jak koń, bo wciąż w poświacie księżyca spotyka je każde następne pokolenie myśliwych.

Najbardziej jednak lubiliśmy słuchać opowieści, w których zwierzęta były górą, gdy udawało się im przechytryć człowieka. W tym bowiem zaklęty jest cały urok łowiectwa, kiedy szansa potyka się z możliwością.

Dziś, przy całej tej nowoczesnej broni myśliwskiej, wszystkich tych ambonach i rejonach łowczych, zwierzęta nie mają szans w spotkaniu z człowiekiem. Dlatego w naszych lasach, niestety coraz mniej jest zwierzyny, a leśnicy prawie osobiście znają wszystkich swoich podopiecznych.

W tym temacie, że tak powiem Janek Hatys tam w Ciernie opowiedział nam bardzo fajną anegdotkę na temat współczesnych polowań. Oto ona.

Do lasu na polowanie przyjechał jakiś ważny gość. Razem z leśniczym weszli na ambonę i czekają. Po chwili na polanę wbiega zając. Leśniczy od razu w krzyk:

- Nie strzelać !!. Niech pan nie strzela. To jest Małgosia. My do Małgosi nigdy nie strzelamy.

- Aha.

Po jakimś czasie na polanie pojawia się znów zając. A leśniczy w krzyk:

- Strzelaj pan, Teraz pan strzelaj. To jest Adaś.

My do Adasia zawsze strzelamy.

\* \* \*

Opowiadamy na łamach tej książki o czasach i zdarzeniach bardzo odległych, toteż zrozumieć niektóre sytuacje czy powiedzonka z tamtych lat wcale nie jest łatwo. O, choćby takie słowo jak kindersztuba.

Jechałem kiedyś pociągiem do Krakowa i siedzący naprzeciw mnie w przedziale jakiś młody człowiek cały czas rozwiązywał krzyżówki. W pewnym momencie podniósł oczy i zapytał..

- Przepraszam, wiesz pan może, co to jest kindersztuba?

- Pewnie, że wiem. Jest to rodzaj takiego kodeksu moralnego i etycznego, jaki w moich czasach wynosi się z rodzinnego domu. I innymi słowy taki zakodowany już na zawsze zestaw imperatywów moralnych, co człowiekowi wolno, a czego pod żadnym pozorem, czynić nie powinien.

- Ale mnie chodzi o sześć liter- odpowiedział mój rozmówca – na tyle jest tu kratek

- Na sześć liter, to chyba będzie „ogłada”.

- O właśnie, widzi pan, ogłada. Teraz się zgadza.

Skinąłem mu głową i pomyślałem, że jak bardzo słowo kindersztuba jest już, dziś niemodne. Bo przecież nikt dzisiaj tak naprawdę nie zajmuje się wychowywaniem dzieci. Dzieci się teraz „chowić”, to znaczy daje się jeść, pić, wydziela kieszonkowe, ubiera zgodnie z telewizyjną modą i spełnia inne zachcianki.

A kindersztuba? Po co ona komu? Żeby się dzieciak stresów nabawił. W szkole mają religię i lekcję wychowawczą i to im powinno wystarczyć.

Okazuje się jednak, że nie wystarcza. Bo tylko w domu cierpliwością i codziennym przykładem można wpajać dziecku zasady, według których nie czyta się cudzych listów i nie wystawia fałszywego świadectwa, nie czyni źle bliźniemu, aż stanie się to imperatywem, czyli takim nawykiem na całe życie.

Moja mama do chłopaków na stacji często mówiła tak.

- Szkoła jest szkołą, tam zdobywacie wiedzę, a kultury bycia, żeby nie siorpać przy jedzeniu, pracować skarpety żeby nie śmierdziały, nie sikać po desce ustępowej, etc, etc, to tego musicie nauczyć się w domu.

Takich rad i poleceń było codziennie bez liku.

- Bo skoro tu mieszkacie – mówiła – to chcąc nie chcąc muszę zastąpić wam rodziców. A wyglądało to tak:

- Staszek pokaż mi ręce. Z taką żałobą za paznokciami chcesz iść do szkoły? Natychmiast obetnij pazury.

Albo: Pana poznać po cholewach a inteligenta po wyczyszczonych butach.

Podśmiewywaliliśmy się oczywiście z tych mamy upartych nakazów wychowawczych, ale coś tam z nich jednak zostało. Bo czym jak mówią, skorupka za młodu?

Gdzieś w pięćdziesiątym piątym albo szóstym roku wracaliśmy ze Stasiem Kowalczykiem, wtedy studentem Politechniki Śląskiej w Gliwicach, do Jędrzejowa. Była zima, pociąg spóźnił się prawie godzinę, więc przy piwku czekaliśmy w dworcowym bufecie. I wtedy przysiadło się do o nas jakichś dwóch meneli. Zagadywali, molestowali więc postawiłem im po piwie, potem Staszek zrobił to samo, ale im wciąż nie wystarczało. Zwłaszcza jeden z nich był szczególnie natarczywy. Na szczęście w sukurs przyszedł na drugi z tych meneli. Powiedział do kumpla:

- Daj już spokój temu panu. Widzisz przecież, że to jest lepszy gościowa.

O, właśnie. Bo Staszek był zawsze takim lepszym gościem. Może po trosze zasługa to mojej mamy, która tak uparcie wpajała nam zasady kindersztuby?

\* \* \*

O panu Janie Klamce, o którym już trochę w tej książce pisałem, można by opowiadać bez liku. Bo też i postać to była wyjątkowa, barwna, oryginalna charakterem i obyczajem znakomicie wpasowana w folklor naszego miasta. W pamięci jędrzejowian tych zwłaszcza, którzy przeżyli tu okupację i wczesne lata powojenne, postać wręcz legendarna. Był, jak pamiętamy, dorożkarzem, fiakrem, sałatą, jak go wtedy nazywano i lubił, co mu tylko dodawało wdzięku, być często pod wpływem... Ale patriotą trzeba dodać był wielkim. W czasie okupacji niemieckiej, kiedy był po, to jeździł swą dryndą po mieście śpiewał „jeszcze Polska nie zginęła”. Niemcy jakoś dawali mu spokój, a nas niewolników podnosił wtedy na duchu. Nie lubił też potem tej nowej: „od Ruskich” jak mawiał, władzy. Niektórzy przypisują mu nawet twierdzenie: „przeżyliśmy okupację, przeżyjemy demokrację”.

Józek Gierczak opowiadał o pani Klamce przezabawną historię.

Otóż po uzyskaniu stopnia doktora na wydziale architektury Politechniki Wrocławskiej przyjechał Józek do Jędrzejowa, żeby się mamie i kolegom pochwalić dyplomem. W tym celu na drugi dzień wsiadł do dorożki pana Klamki, aby ze szpanem podjechać do kawiarni na „Gubałowce”, gdzie umówił się z kumplami. Pan Klamka oczywiście go poznał, obaj byli przecież z Podklasztorza, więc zapytał: co słyhać?

Józek odpowiedział, że wszystko pięknie i pochwalił się swoim doktoratem.

- To znaczy, że jesteś doktor, tak? - zawołał zadowolony pan Klamka. Ludzi będziesz leczył.

- Nie, nie. Ja mam doktorat z architektury – wyjaśnił Józek.

- To znaczy, że recept nie będziesz wypisywał, co?

- Nie.

- Pfi. A to ci z ciebie doktor. Taki sam jak nasz Przypkowski. Znaczy, będziemy mieli tera w Jędrzejowie dwóch wariatów. Wio Zośka - popędził batem swoją kobyłę – wio!

A tak między nami. Jędrzejów tamtych lat bez Jasia Klamki?

Niewyobrażalne, co?



## „Naprzód” miłość nasza

Bo kto z nas, jędrzejowskich chłopaków, nie był w „Naprzodzie” zakochany? Wszyscy chyba. A przecież nie była to miłość wcale łatwa, często gorzka i irytująca, ale przez to właśnie szczerą, jak każda miłość prawdziwa. My ten nasz „Naprzód” od dawna już i po dzień dzisiejszy ciągle mamy w sercach i wspomnieniach i emocjach nieustannych od euforii po skrajną rozpacz. Pierwszy raz, bodaj w 1948 roku widziałem, jak znany nam wszystkim profesor Antoni Dylski, licealny wuefista, ocierał łzy z oczu po przegranym przez „Naprzód” 2:1 meczu ze „Skrą” Częstochowa. Albo jak Józek Porębski, chłopak z Podklasztorza czyli twardziel z „Piekiła” a płakał jak bóbr, gdy strzelił naszym „samobója” w meczu ze Skarżyskiem Kamienną. Bo nie ma miłości bez cierpienia.

Więc jak by dzisiaj na to wszystko nie spojrzeć, to stwierdzić trzeba, że był nam ten „Naprzód” taką wielką szkołą życia, gdzie ćwiczyło się lojalność, wytrwałość, kształtowało charaktery i uczyło odpowiedzialności za siebie i innych. Wszyscy więc bez wyjątku coś tam ważnego temu naszemu „Naprzodowi” zawdzięczamy.

Dlatego pewnie tak niezmiennie szukamy w gazetach albo w Internecie wiadomości jak tam naszym jędrzejowianom w III lidze się wiedzie?

Kronikarze jędrzejowskiej piłki twierdzą, że zawody sportowe w „nożną” odbywały się w naszym mieście jeszcze przed II wojną światową. Wtedy istniał już klub sportowy o nazwie „Naprzód” powstały z fuzji chłopaków którzy kopali piłkę w miejscowym gimnazjum i tych z Seminarium Nauczycielskiego na Podklasztorzu.

Ta prawdziwa jednak piłka nożna ze wszystkimi późniejszymi fascynacjami zaczęła nas pasjonować zaraz po zakończeniu wojny, czyli gdzieś wiosną 1945 roku. W któreś niedzielne popołudnie naszą ulicą, wtedy już 14 Stycznia, zaczęli gremialnie zmierzać w stronę boiska przy Klasztorze Cystersów prawie wszyscy mężczyźni z miasta. Okazało się, że idą na mecz, pierwszy wtedy po wyzwoleniu. Oczywiście my chłopacy z Podklasztorza pobiegliśmy również. A tam było już bardzo świątecznie. Orkiestra z kolejki wąskotorowej grała marsze wojskowe, boisko piłkarskie miało świeżo wysypane wapnem linie oznaczające auty, kornery a także biały punkt na polu karnym do tak zwanych „jedynastek”.

I zaczął się mecz: Żonaci – Kawalerowie. Pamiętam, że w bramkach zamiast dzisiejszych siatek ze sznurka, założone były siatki metalowe z drutu (bo pewnie tych sznurkowych jeszcze nie było), więc gdy piłka wpadała do bramki to rozlegało się takie metaliczne bum, bum.

Byliśmy ostatnio na tym boisku z Józkiem Gierczakiem i Zbyszkim Ciałowiczem i oczywiście wspominaliśmy, wspominaliśmy. Wszyscy trzej graliśmy przecież kiedyś w „Naprzodzie”. Józek Gierczak mówi, że pierwszy jego kontakt z piłką nożną rozpoczął się od noszenia butów panu Ryszardowi Osińskiemu.

- Był moim idolem – dodaje - i na pewno najlepszym wtedy piłkarzem w Jędrzejowie. Grał na stoperze i stanowił mózg drużyny. Spokojny, opanowany, świetny technik i taktyk. Natomiast wzorem napastnika był nam Henryk Kobierski. Elegant w każdym momencie tak na boisku jak poza nim.

Całą zresztą tamtą powojenną drużynę potrafiliśmy wymienić jednym tchem, choć od tamtych czasów lat przeszło niemało. Na bramce grał Zdzisław Sputo, „Śiwy” jak na niego wołano, albo Chmielarz Tadeusz. Zmieniał ich czasem Henryk Łaszcz, późniejszy dyplomata i ambasador Polski w wielu krajach świata. Obronę stanowili: Stefan Wiczorek, rzeczony wyżej Ryszard Osiński oraz nasze wtedy bożyszcze, czyli Józef Kornalski. Tak jak on umiał wybijać piłkę z pola karnego, hen, hen i strzelać jedenastki w górne okienko bramki, to nie potrafił potem nikt, ale to nikt. W pomocy grali: Stanisław Trlik oraz któryś z braci Suchmielów, bo nie mogliśmy dojść który: Antoni, Wincenty czy Henryk. No i atak. Na prawym skrzydle szalał szybki jak błyskawica Józek Wieliński, na łączniku Jerzy Szyrmer, w środku czyli na centrze, ów niezrównany Henryk Kobierski. Po lewej zaś stronie Henryk Sajdak i na skrzydle Marian Grym. Pan Marian grał tylko lewą nogą, bo prawą jak mówili, miał tylko do podpórki, ale za to jak grał.

Był drugim po Kobierskim. Oczywiście występowali wtedy jeszcze inni piłkarze, ale pamięć jakoś ich nie przechowała.

Od tamtej więc wiosny zaczęło się w Jędrzejowie piłkarskie szaleństwo. Wszyscy chcieliśmy gonić za piłką. Grało się najczęściej na podwórkach tak zwanych „szmaciankami”, czyli takimi „piłkami” zrobionymi własnoręcznie ze szmat i

sznurka. Nie odbijały się one oczywiście od ziemi, ale kopać się dało. Bo takich prawdziwych piłek, czyli futbolówek, było w całym Jędrzejowie może z pięć.

Posiadanie własnej piłki to była wśród kolegów nobilitacja nie lada. To jej właściciel wybierał przecież chłopaków z którymi chciał grać w drużynie. Przysługiwało mu też prawo strzelania karnych i kornerów a nadto w każdej chwili mógł przerwać mecz, wziąć piłkę pod pachę i pójść do domu.

Mieć własną futbolówkę, było więc marzeniem każdego z nas i muszę tu powiedzieć, że nam, kilku chłopakom, z naszej IX b, to marzenie udało się zrealizować.

Odbywały się wówczas w całej Polsce tak zwane „Marsze Narodowe”. Nas z klasy szło w tych marszach sześciu: to znaczy Andrzej Kalinin, Jurek Klimczak, Lutek Pawlik, Czarek Pawlikowski, oraz dwaj bracia Lechowie, bliźniacy Mietek i Sławek. Zajęliśmy wtedy II miejsce w swojej grupie wiekowej i w nagrodę otrzymaliśmy wełniany sweter z paczki UNRA. Ponieważ nas było sześciu a sweter jeden, przeto któraś z matek wpadła na pomysł, jak go podzielić. Spruła go, włóczkę wyprała, zwinęła w kłębki i komuś sprzedała, ale pieniędzy z tej sprzedaży starczyło ledwie na samą oponę, czyli tą wierzchnią skórę, bo na dętkę, czyli tak zwana „blazę”, już forszy nie starczyło. Któryś chłopaków przyniósł wtedy z rzeźni na Rakowie pęcherz wołowy. Po wysuszeniu pasował jak ulał do naszej futbolówki. Była trochę cięższa od normalnej, ale grać nią można było do woli. I to właśnie była ta radość, o której mówiłem powyżej. Każdy z nas, uczestników tamtego marszu, miał do tej piłki prawo przez dwa dni. Potem przekazywał następnemu. Sprawdzano wtedy jej stan, więc piłka aż się świeciła, taka była wypieszczona i wyglancowana.

A dzisiaj, o zgrozo, na podwórku moich sąsiadów leży w krzakach i moknie zapomniana przez dzieci prawdziwa futbolówka. W naszych latach rzecz nie do pomyślenia.

Miejsz do grania w piłkę nożną też nie było w Jędrzejowie zbyt wiele. Nie wszystkie szkoły miały boiska. Te nieliczne, jak przy gimnazjum, używane były właściwie od rana do wieczora. Grali tu wszyscy wielcy i znani potem jędrzejowianie jak: Zbyszek Ciałowicz, Staszek Kasperek, Bobek Kniewski wielu, wielu innych o których jeszcze opowiemy.

Najważniejszym jednak wśród nas był wtedy Waldek Wiejacz, bo on, jako jeden jedyny w całym naszym gimnazjum miał tak zwane „korki”, czyli prawdziwe piłkarskie buty. Boże, jak myśmy mu tych butów zazdrościli. Większość z nas grała przecież po prostu na boska i tylko niektórzy bogatsi w takich szmacianych trampkach, czyli „tenisówkach” jak się wówczas mówiło.

Szczytem więc marzeń wszystkich jędrzejowskich chłopaków była oczywiście gra w „Naprzodzie”. Tam przecież dostawało się cały konieczny do gry sprzęt: getry, koszulki, spodenki, o które potem trzeba było zadbać, to znaczy prać, naprawiać, a buty czyścić i glancować, żeby potem z gracją chodzić sobie po mieście, o tak dla szpanu z piłkarskimi „korkami” zawieszonymi sznurówkami na ramieniu.

Wspomnień też zostało wiele o meczach wygranych i przegranych i ludziach z pasją, szlachetnych i ciekawych. Na przykład taki pan Jureczko, kierownik drużyny, który po meczach wyjazdowych kupował nam (pamiętacie?) słodkie bułki z salcesonem (z „salsonem” jak zazwyczaj mówił), bo drużynę na więcej nie było stać.

Albo pan Janusz Pajęczkowski, wielka osobowością tamtych lat o niekwestionowanym autorytecie nie tylko sportowym, ale i wychowawczym. Wszyscy ówczesni jędrzejowscy futboliści wspominają go z wielką estymą i szacunkiem, bo jemu właśnie i jego talentom wychowawczym wielu młodych wówczas chłopaków zawdzięcza późniejsze, uczciwe patrzyenie na świat i życie. Był nam takim, jak to dziś mówią „Idolem”, który potrafił także świecić dobrym, osobistym przykładem, a w jędrzejowskim sporcie był chyba największą wszech czasów osobowością.

Byliśmy ostatnio u niego ze Zbyszkiem Ciałowiczem. Jest niestety po wylewie, trochę sparaliżowany, ale i tak pogadaliśmy o piłce, o dawnym „Naprzodzie” i o kolegach, którzy rozjechali się po świcie i o tych również, którzy grają pewnie wciąż w piłkę, ale gdzieś tam już na niebiańskich łąkach.

Jędrzejowska piłka tamtych lat, to nie tylko był „Napród”. Zrodził się bowiem także, za sprawą oczywiście wszędobylskiego Józka Gierczaka, ewenement w tamtych czasach zupełny, czyli Harcerski Klub Sportowy „Zryw”. Więc kto jak kto, ale właśnie Józek może o tej drużynie opowiedzieć najwięcej i najlepiej.

- Filarami tego naszego „Zrywu” – mówi - byli wtedy: Wojtek Leśkiewicz, Leszek Augustynik (represjonowany w następnych latach przez UB), Marian Barański. Bramkarzami zaś: Wiktor i Zygmunt Biernaczy i...czas niestety zaciera pamięć. Były mecze zapamiętane do dziś, gdy wygraliśmy z Pińczowem, albo z Chmielnikiem czy Włoszczową. Radość, jakiej z tego doznawaliśmy, nie podlega dziś żadnym wymiarom, zwłaszcza, że sił dodawały, co tu dużo mówić, nasze koleżanki. Nikt w to teraz nie uwierzy, ale na mecze do okolicznych miasteczek jeździliśmy przeważnie na rowerach z kolegą na ramie.

- Ja podobno grałem wtedy niezłe – opowiada dalej Józek Gierczak - tak przynajmniej twierdzą znawcy tematu, najlepszy mianowicie jędrzejowski bramkarz, Zbyszek Ciałowicz i późniejszy Prezes „Naprzodu” Staszek Kasperek, więc jak im nie wierzyć?

Niestety, nasz harcerski klub nie trwał wcale długo. Tak jak zresztą całe tamto prawdziwe harcerstwo wchłonięte potem przez komsomolski ZMP.

Z piłki też zrobiono wtedy politykę. Stary „Naprzód” z tradycjami od 1928 roku zamieniono na „Gwardię” Jędrzejów i oddano pod egidę milicji. Cały zresztą ówczesny sport zreformowano na stalinowską modłę. Zamiast klubów, kiedyś samorządnych i niezawisłych utworzono związki podlegające różnym administracyjnym lub przemysłowym pionom. Na Śląsku przy kopalniach był to przeważnie „Górnik”, przy hutach „Hutnik”, albo „Stal” przy zakładach metalowych..”. Nie wszystkim oczywiście to się podobało. W naszym Jędrzejowie na przykład zawodnicy z „Gwardii” zaczęli wnet odchodzić, do powstałej właśnie „Spójni”. Dopiero w roku 1957 na fali tak zwanej odwilży „Naprzód” odrodził się na nowo, ku radości wszystkich jego sympatyków i trwa nam szczęśliwie do dziś.



**KS “ NAPRZÓD” Jędrzejów na obozie w Karpaczu -1958**

Od lewej: Ryszard Osiński - trener.

Mieczysław Szczerba, Edward Wielński - prezes KS “Napdzód”,  
Janusz Pajęczkowski, Zbigniew Ciałowicz, Stanisław Przybyła,  
Stanisław Poler, Marian Sajdak, Józef Jach, Władysław Gliwiński,  
Adam Gałczyński, Stanisław Pieprzyca, Jan Kaczmarek, Ryszard Gałczyński,  
Henryk Koprowicz, Feliks Smerodziński, Na podstumęcie stoi: Wacław Ulak.

Oczywiście najwięcej o „Naprzodzie” Jędrzejów opowiedzieć może świetny kiedyś bramkarz tego klubu Zbyszek Ciałowicz. Swoją piłkarską karierę rozpoczynał od drużyny juniorów. Ale już wtedy zauważono jego wielki talent bramkarski dzięki czemu został wytypowany na obóz kadry polskich juniorów, która miała brać udział w turnieju piłkarski UEFA w Budapeszcie. Razem ze Zbyszkiem na tym obozie trenowały takie późniejsze tuzy polskiego piłkarstwa jak: Stanisław Ośliżło (wtedy z Kolejarza Stalinogród, potem Górnik Zabrze), Władysław Kawula z Wisły Kraków czy Romana Lentner z „Polonii” Bytom.

Bramki „Naprzodu”, już tej dorosłej, seniorskiej zaczął bronić Zbyszek Ciałowicz w roku 1956. I o tamtych właśnie czasach rozmawiamy sobie oglądając przy okazji stare fotografie i poźółkłe już gazety.

- Na mecze tak zwane „wyjazdowe” jeździło się wtedy zwyczajnym ciężarowym samochodem – mówi Zbyszek - tyle że oplanowanym, z drewnianymi ławkami na pace. Najczęściej była to ciężarówka Tadka Chmielarza za kierownicą której siedział przeważnie wielki kibic naszego „Naprzodu” Gienek Ćwikliński. Wyjazdy nie były zresztą zbyt dalekie, ot w granicach województwa zaledwie. Na rogatkach Jędrzejowa w kierunku Kielc i Wodzisławia stały wtedy takie placówki kontrolne z uzbrojonymi po zęby żołnierzami KBW czyli Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Na każdy wyjazd z miasta trzeba było mieć odpowiednią przepustkę. Dlatego właśnie tamta wolność była taka bardziej na smyczy..

Jechało się więc trochę nerwowo, ale wracało się różnie. W humorach kiepskich gdy się przegrywało i na wesoło kiedy victoria po naszej była stronie. Kazik Gliwiński wyciągał wtedy swoją harmonię, przez chwilę szukał po klawiszach odpowiedniej tonacji, no i zaczynały się śpiewy.

„Piłkarze Naprzodu

To jest wesoła brać

Nie smuć się porażką

Lecz chćą wciąż wygrywać.

Niech żyje nam kierownik

A kto? (pytał Kazik)

Pan Jureczko (odpowiadano chórem)

Przez szereg długich lat

A jedenastka prosi

O litra albo dwa”

Gdy jednak pan Jureczko nie reagował na tego rodzaju zaczepki więc po chwili śpiewano mu piosenkę następną:

Oj wyszłam za starego

Z niedoli, z niedoli

A jemu instrumentum

Nie stoi, nie stoi.

Trza mi jechać na jarmark

Po śnury, po śnury

Żeby mu instrument

Podźwignąć do góry, do góry.

(A komu? – pytano i tu padało nazwisko wiadomo czyje.)

Kazik Gliwiński to był niezwykle fajny i zdolny chłopak. Nie tylko świetny piłkarz ale także sporej miary artysta. To przecież on układał muzykę do śpiewanych przez nas piosenek i pisał ich słowa. I ciągle nas zaskakiwał jakimiś nowymi

przebojami. Kiedy w wiosce o nazwie Piaski tuż za Jędrzejowem, powstała druga, konkurencyjna dla naszego Naprzodu drużyna, a mianowicie „Piaskowianka”, to Kazik ułożył zaraz na ten temat piosenkę, zwłaszcza, że jednym z założycieli tej drużyny był jego dobry kumpel Bolek Kurowski. A piosenka brzmiała tak:

Siedzi Bolek w rynsztoku  
 Piaskowianka hej  
 Piaskowianka hej.  
 Trzyma litra przy boku  
 Piaskowianka hej  
 Przyszedł kumpel do niego  
 Piaskowianka hej  
 Piaskowianka hej  
 Jak się mota kolego?  
 Piaskowianka hej.

Wszystkie powojenne piłkarskie talenty w Jędrzejowie – opowiada dalej Zbyszek Ciałowicz - szlifowały się na boisku szkolnym naszego gimnazjum. Grano tu różnymi szmaciankami i piłkami własnej roboty tacy późniejsi świetni grajkowie jak: bracia, Zygmunt i Janusz Wielińscy, Edward i Jan Ziółkowsy, Rysiek i Janek Gałczyńscy, Kazik i Włodek Gliwiński, Stanisław Kasperek, Jan Gołębiowski, Zbigniew Kosek i wielu innych, którzy w późniejszym czasie poprzez drużynę juniorów stawali się zawodnikami pierwszej drużyny „Naprzodu”.

Klub posiadał w zasadzie dwie sekcje wyczynowe: piłkarską i tenisa stołowego. Kierownikiem, a właściwie kierowniczką drużyny juniorów, w której ja również występowałem, była wtedy znakomita tenisistka, pani Danuta Osińska, żona piłkarza, a później trenera Ryszarda Osińskiego.

W roku 1953 nasza drużyna juniorów, wtedy już klubu sportowego „Spójnia” zdobyła wicemistrzostwo województwa kieleckiego przegrywając po dogrywce finałowy mecz 2:3 ze Spójnią Kielce na neutralnym boisku w Zagnańsku. W naszej drużynie grali wtedy Stanisław Kasperek, Józef Jach Staszek Sito, Adam Pardała, Olek Ciekalski, Władysław Gliwiński i ja na bramce, Zbigniew Ciałowicz.

### **Curriculum vitae**

#### **Zbigniew Ciałowicz – „Naprzód”**

*W czerwcu 1954 roku zdawałem maturę. Zajęliśmy już miejsca w specjalnie porozstawianych ławkach na Sali gimnastycznej i czekaliśmy tylko na przyście komisji egzaminacyjnej. I wtedy jedna z naszych profesorek zauważyła moje kolorowe skarpetki na nogach wystające poniżej granatowych spodni. Takie skarpetki w jaskrawe paski były wtedy bardzo modne, ale ideologicznie wielce niebezpieczne. Nosili je tylko bikiniarze, dzolerzy i sługusy zachodniego imperializmu.*

*Kiedy więc gorliwa pani profesor zauważyła moje skarpetki, to od razu krzyknęła:*

*- Ciałowicz natychmiast wracaj do domu zmienić skarpety.*

*Zerwałem się, pobiegłem, na szczęście mieszkałem blisko szkoły, więc zdążyłem. Ale strachu miałem, a miałem.*

*Egzamin wstępny na Wydział Budownictwa Lądowego Politechniki Krakowskiej zdałem bez kłopotu. Równolegle ze mną na Wydział Geodezji AGH w Krakowie dostał się Stanisław Kasperek, mój kolega z Liceum i piłkarz z tego samego co ja „Naprzodu”. Razem po tem mieszkaliśmy na stacji, przy placu na Groblach w Krakowie i razem zaczynaliśmy samodzielne, studenckie życie. Za Jędrzejowem jednak tęskniliśmy bardzo.*

Wiosną 1957 roku, właściwie nie wiadomo z jakich przyczyn, odnowiła mi się przeżyta wcześniej choroba płuc. Koniec ze sportem, koniec beztroskiego życia. Swój „Dom Studencki” przy ulicy Bydgoskiej musiałem zamienić na Pólsanatorium Przeciwgruźlicze, gdzie z przeleżałem prawie rok.

Ale wracając do naszego „Naprzodu”. Gdzieś w roku 1957 wrócił on do swojej dawnej nazwy i od razu wywalczył awans do III ligi. Ja grałem wówczas w krakowskim AZS-ie, ponieważ studiowałem na Politechnice.

I wtedy, któregoś dnia, zgłosili się do mnie działacze „Naprzodu” z propozycją powrotu do Jędrzejowa. Poprzedziła to pewna tragedia, mianowicie zginął pod kołami pociągu Zdzisław Zaręba, który wraz z Ryśkiem Gałczyńskim stanowili parę wysokiej klasy bramkarzy.

Propozycję oczywiście przyjąłem, bo był to przecież mój klub i już niebawem znalazłem się w „Naprzodzie”, a wraz ze mną kilku krakowskich kolegów. Romuald Mens, Stanisław Poller, oraz zawodnik LZS Piaski Józef Jach.

W Jędrzejowie grałem przez prawie dwa sezony. Czy byłem bramkarzem dobrym czy takim sobie, nie mnie oceniać. Ale nie było chyba tak źle, skoro w jakiś czas potem otrzymałem z kilka propozycji zmiany barw klubowych w tym z „Unii” Tarnów, „Staru” Starachowice czy „Rakowa” Częstochowa.

Wszystkie te kuszące zamysły transferowe, spalił jednak wnet na panewce i rozstrzygnął o tym właściwie jeden mecz z „Błękitnymi” Kielce.

To spotkanie odbywało się w niedzielę, a ja już w poniedziałek miałem zdawać ostatni egzamin przed obroną pracy dyplomowej. Nie myślałem, oczywiście o tym oczywiście. Grałem mecz i był akurat rzut różny. Skoczyłem w górę do piłki i wtedy któryś z przeciwników podstawia mi tak zwane „siodełko”. Jak ścięty padam na plecy i tyłem głowy uderzam o ziemię. Nagle zrobiło mi się cicho i ciemno. Nie wiedziałem zupełnie, co się ze mną stało. Gdy oprzytomniałem zobaczyłem mamę przy łóżku i przyjaciela rodziny doktora Janusza Kwaśnika. Wtedy się dowiedziałem, że był to wstrząs mózgu, co chyba tłumaczył kompres z lodu na mojej głowie. Oczywiście o egzaminie jaki miałem właśnie zdawać na Politechnice Krakowskiej mowy być nie mogło. Termin oczywiście przepadł. Tak samo zresztą jak przepadłem dla kibiców, dla działaczy „Naprzodu” i niektórych kolegów. Zostałem sam ze swoimi wcale nie małymi problemami.

Tyle, że upór, młodość i chęć zostania „kims” w życiu spowodowały, iż po krótkiej rekonwalescencji pojechałem na uczelnię kontynuować studia. W ciągu miesiąca zdałem brakujący egzamin i obroniłem pracę dyplomową. Stałem się magistrem inżynierem budownictwa lądowego. Wtedy też podjąłem męską decyzję. Jak oni mnie, tak ja im. I opuściłem Jędrzejów. Otrzymałem bowiem bardzo atrakcyjną propozycję pracy jako bramkarz-inżynier w Pińczowie. Jako piłkarz w miejscowej „Nidze”, a jako inżynier? Zostałem niebawem dyrektorem Pińczowskiego Kombinatoru Budowlanego. Szczęście więc było pełne choćby z racji bliskiej odległości od Jędrzejowa, gdzie wciąż mieszkała moja mama.

# Co nam zostało z tamtych lat?

Przede wszystkim wspomnienia, no i oczywiście przyjaźnie. O przyjaźniach wiadomo, że są stare jak świat i każde pokolenie opowiadać o nich może bez końca. Nie zmienia to jednak faktu, że przyjaźnie wtedy są ważne, kiedy dotyczą nas osobiście. Każda z nich bowiem potrzebuje do spełnienia przynajmniej dwóch serc i dwóch lojalności. Musi też być uczuciem bezinteresownym i szczerym, jak pierwsza miłość na przykład albo młodość. Dlatego zapewne najlepsze przyjaźnie trafiają się nam gdzieś w wieku 15-19 lat, bo przypominają wtedy pierwsze zakochanie i rodzą się bardziej z fascynacji, czy wzajemnej afektacji, niż z racjonalnych pobudek. Trwają też niezbyt długo, bywa, że tyle samo, co czas wakacji, wycieczki czy obozu sportowego, ale są za to szczerze i często przechowywane są przez lata całe gdzieś w sercu głęboko i pamięci.

W takim właśnie mniej więcej czasie, to jest między 15, a 16 rokiem życia przyszło mi przebywać w Domu Dziecka w Nagłowicach, ulokowanym wówczas w dawnym dworze Mikołaja Reja, gdzie moja mama otrzymała posadę wychowawczyni. Ów Dom Dziecka stał w pięknym lesie sosnowym i był zupełnie innym domem dziecka, niż bywają współczesne jego odpowiedniki. Wychowankowie tego domu byli dziećmi wojny, przez wojnę osieroceni i przez wojnę przysposobieni do trudnej sztuki samodzielnej egzystencji. Dobrze wiedzieli, na czym polega dobro, u kogo należy szukać wsparcia i serca. W ich wspomnieniach nie było tatusiów, takich jak dziś „damskich bokserów” czy alkoholików wywołujących domowe burdy. Ich rodzice byli zawsze wielcy, bohaterscy. Cierpieli gdzieś w niemieckich obozach koncentracyjnych, albo walczyli o Polskę gdzieś tam w wielkim świecie, skąd niebawem mieli powrócić, żeby odmienić ich zły los i zabrać z sobą w rodzinne strony.

Tamten Dom Dziecka w Nagłowicach był przepelniony po sufit trzypiętrowymi łózkami, pachniał wojskowymi kocami i taką czarną pastą do podłóg, ale to właśnie tam spotkałem swoich pierwszych, prawdziwych przyjaciół. Jestem prawie pewien, że to dzięki tamtym przyjaźniom jestem dziś takim człowiekiem, jakim jestem. Ileż to nocy przegadaliśmy leżąc na swoich piętrowych łózkach, marząc o bardziej ludzkim świecie niż ten, jaki nas wówczas otaczał. Składaliśmy też sobie przyrzeczenia, że nigdy nie sprzeniewierzymy swoich ideałów. Ćwiczyliśmy wolę i charakter, tworzyliśmy coś w rodzaju świętego sprzysiężenia. Nosiliśmy nawet w kieszeniach takie jednakowe amulety, bowiem nie wystarczała nam już sama biologiczna radość przyjaznego trzymania się za ręce i wspólnego śpiewania przy harcerskim ognisku.

Tylko przez jedno lato trwała tamta nasza przyjaźń, bo oto wnet rodzice zaczęli wracać z wojny i zabierali swoje dzieci do domów. Pomimo to chłopców z tamtych czasów pamiętam do dziś, choć Boże, minęło już tyle lat.

Nie każde, oczywiście, przyjaźnie potrafiły przetrwać próbę czasu. Niektóre stały się tylko wspomnieniem, inne uleciały z pamięci i serca. Tak to już w życiu jest.

Kiedyś na ulicy w Krakowie spotkałem Marka Łabęde, wychowanek tamtego Domu Dziecka w Nagłowicach. Nie widziałem go od wielu lat, więc wspomnień powinno być sporo. Tymczasem staliśmy naprzeciw siebie i kiedy zakończyły się sakramentalne pytania „a pamiętasz?”, a pamiętasz? nie za bardzo mieliśmy potem o czym rozmawiać. Czas zrobił swoje. On patrzył mi w oczy, uśmiechał się i mówił w kółko – „ach ty stary byku”, ach ty stary byku” a mnie zrobiło się smutno, bo już w chwilę po naszym rozstaniu, nie potrafiłem sobie przypomnieć jego twarzy. Ciągle pamiętałem tamtą z młodych lat.

Dzisiaj z prawdziwymi przyjaźniami jest już grzej. Po którejś tam dziesiątce życia nie zyskuje się już nowych, a przeciwnie tych dawnych przyjaźni ciągle ubywa. Najczęściej zabiera ich śmierć, albo pan Alzheimer, co powoduje, że stajemy się w ten sposób coraz bardziej osamotnieni, trochę jakby wyalienowani z teraźniejszości i tylko najbliższa rodzina pomaga nam utrzymywać jaki taki fason.

Ale bywają też wśród nas tacy, którzy przekonani są światem, że takich prawdziwych przyjaźni w ogóle nigdy nie było, że wymyślili je tylko fantaści i poeci na nasz naiwniaków użytek. Od zawsze przecież najważniejsze były dobre układy i interesowne znajomości, które jedynie dla ułatwienia nazywane są przyjaźnią.

Być może. Sam już nie wiem, co o tym myśleć, bo kiedy się patrzy na współczesną rzeczywistość.

Kiedy więc przeczytałem wyżej napisane słowa swoim kolegom, współautorom tej książki, to od razu na mnie naskoczyli.

- Co ty wygadujesz? – wołali. Każdy z nas o swoich kolegach i tamtych przyjaźniach mógłby opowiadać a opowiadać, bez końca.

- Taak? To proszę.

Zaczął Józek Gierczak.

Przyjaciół, czyli takich kolegów nad kolegami miałem w życiu mnóstwo. Ale prawdą jest również, że w młodości było ich najwięcej i wspomina się je najlepiej. Bo to i szkoła i sport i harcerstwo. Takim, który mi wtedy najbardziej imponował, był sporo ode mnie starszy Tadek Chmielarz. Autorytet w Jędrzejowie ogromny, bo to i artysta malarz z niego był i piłkarz i harcerz i motocyklista. Razem ześmy jego „dekawką” jeździli do Oksy, gdyż bardzo mu się tam podobała młynarzówna, Danusia Banasik. Mnie zresztą też. Tadeusz był takim druhem, na którym zawsze i wszędzie można było polegać. Gdy po kilkudziesięciu latach spotkaliśmy się obaj na jakiejś oficjalnej imprezie w Jędrzejowie, to najpierw spojrzeliśmy na siebie i... wybuchnęliśmy niepohamowanym śmiechem. Wzbudziło to oczywiście pewną sensację wokół, ale ten śmiech zastąpił nam słowa. Najpiękniej moim zdaniem wyrażał radość ze spotkania i afirmację przyjaźni, która potrafiła oprzeć się upływowi czasu.

- Jurek Skrobiszewski i Janek Nowak to już chyba jedyni żyjący moi przyjaciele rówieśnicy. Do dziś utrzymujemy ze sobą dobre, serdeczne stosunki. Jurek Skrobiszewski był jedynym w tamtych latach chłopakiem, który nie wyjechał z Jędrzejowa na Śląsk czy do Krakowa przed ukończeniem liceum. Ja także nie wyjechałem. Dlatego jest mi specjalnie bliski. Jurek nie miał nigdy i nie ma chyba do dziś trudności z artykułowaniem zawsze słusznych poglądów i opinii. Ale przecież wiedzę i fachową i ogólną ma szeroką. Jeszcze w liceum oświadczył twardo, że zostanie inżynierem i został. Ambitny, konkretny i uparty. Niezawodny przyjaciel.



rok 1949. od lewej: Włodek Kielbassa, Leszej Afanasjew, Zymek Pęczak, Józek Gierczak

- Janek Nowak to sztuka z charakterem: spokojliwy, energiczny, pracowity jak mrówka, budzący respekt, a jednocześnie uprzedzająco grzeczny i umiejący słuchać. Już jako stomatolog przywiózł sobie z Krakowa uroczą brankę, Ziutę (też



stomatolog) i żyli potem ze sobą długo i szczęśliwie ciesząc się dwoma córami i wnukami. Podobno prawdziwy mężczyzna musi mieć syna i wybudować dom. Janek dom wybudował.

- Zymek Pęczak- ułożony, grzeczny, kulturalny, miły w obejściu. W pewnej chwili, z niewiadomego powodu zerwał kontakty z resztkami jędrzejowskiej wiary. Wróć na łono, przyjacielu.

- Leszek Afanasjew. To był facet, słuch, głos, muzykalność, aparycja, dowcip i niestety charakter jakby trochę słaby. Uzależniał od trunków nie tylko siebie ale i swoich kumpli, których zawsze wokół miał wielu. Był też w tamtych latach uważany za wroga publicznego nr 1 wszystkich zetempowców. Bo nosił się, jak mówiono, po bikiniarsku no i naśmiewał się z nich często i dowcipnie. Jak to on im mówił?

*Przeżyliśmy potop szwedzki*

*Przetrzymamy i radziecki*

- Szliśmy kiedyś – ciągnie swoją opowieść Józek Gierczak - na taki ekstra bal do Sudołu, to znaczy Jurek Chrzanowski, nazywany przez nas „inżynier światło”- bo elektryk, Włodek Kielbassa i ja. Włodek to był nieprzeciętnie inteligentny chłopak. Odznaczał się przy tym poczuciem humoru, odwagą i mocną posturą fizyczną.

Więc gdyśmy szli na ten bal to dogoniła nas po drodze jakaś bryczka w dwa konie z podpitymi trochę mężczyznami. Chcieliśmy ją zatrzymać żeby się z nimi zabrać, ale furman podciął konie i pojechali. Wtedy któryś z nas puścił za nimi wiązkę naryczów i oni to usłyszeli, bo zawrócili. Okazało się, że byli funkcjonariuszami jędrzejowskiego. Ja i Jurek Chrzanowski, o hańbo, daliśmy nogę. Włodek Kielbassa zaś, po małej bójce w pojedynkę, znokautował tych ubeków i woźnicę bryczki również. Całe miasto nazajutrz opowiadało o tym incydencie. Czekano tylko, kiedy nas zwiną. Nie było więc rady, trzeba było uciekać. Wcześniej rano zaraz po tym balu w Sudole wsiedliśmy z Włodkiem do pociąg i wyruszyli na planowaną zresztą wcześniej ucieczkę do Lipuszy koło Kościerzyny, gdzie ojciec Włodka pracował jako nadleśniczy. W Jędrzejowie nie było nas ponad miesiąc. Nasze matki szukały nas w tym czasie gdzie mogły, podobnie zresztą jak miejscowy Urząd Bezpieczeństwa. Dopiero po czasie, gdy sprawa przycichła, wróciliśmy do domu.

\* \* \*

Z Antkiem Rokickim znałem się właściwie od zawsze. Lata przecież całe mieszkaliśmy w jednym domu na Podklasztorzu u państwa Świtalskich, Mieliśmy wspólną sień przy której my Kalininowie zajmowaliśmy mieszkanie od podwórka, a Rokiccycy od frontu. Tego domu nie ma już niestety a stał przy ulicy, która dawniej nazywała się Klasztorna, w czasie okupacji była „Główna” a potem 14- go Stycznia na pamiątkę wkroczenia sowietów do Jędrzejowa.

Antek był wtedy moim najlepszym i nieodzownym kumplem do zabaw i dziecięcych tajemnic. Już wtedy był chłopcem takim bardzo serdecznym i koleżeńskim, a przy tym uczył się rzeczywiście wspaniale. Kierownik naszej podstawówki pan Tyszkiewicz mówił nawet, że dla Antka Rokickiego to stopnie były nawet za małe. W naszej szkole tylko o Aciku Zajtzu mówiono podobnie. Tyle, że Zajtz został potem wybitnym naukowcem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a z Antkiem Rokickim coś się dziwnego stało. Nie podjął dalszej nauki. Cały Jędrzejów znał go potem jako inkasenta elektrowni.

Teraz, gdy czasem siadamy z Antkiem do wspomnień, to przychodzi nam często na myśl jego ojciec Roman Rokicki. Bo był to człowiek niezwykły. Pracował jako mechanik na takim wielkim walcu drogowym na parę, więc często z tego powodu przebywał poza domem. Ale gdy wracał, na niedzielę na przykład, lub inne święto, to lubił sobie coś wypić i wtedy w sieni naszego domu urządzał takie śpiewające koncerty. I co dziwne nie przeszkadzało to nikomu z lokatorów, zwłaszcza, że była to właściwie jedyna alkoholowa przywara pana Rokickiego. Mało tego Otwieraliśmy wtedy drzwi naszych mieszkań, żeby lepiej go słyszeć, a on nam śpiewał i śpiewał z głową uniesioną do góry uniesioną i natchnioną. Zawsze wtedy zachodziliśmy w głowę skąd w człowieku tak drobnutkiej postury siedział taki niezwykle mocny bas, na miarę Szaliapina prawie.

Dopiero po latach, gdy już chodziłem na koncerty i przedstawienia operowe, uświadomiłem sobie nagle, że tę czy inną arie operową słyszałem już wcześniej w sieni naszego domu w wykonaniu pana Rokickiego.

Tylko skąd on znał wtedy partię Mefista z „Don Govaniego” na przykład, albo słynną arię Skouby ze „Straszego dworu”? Radia przecież Rokiccy nie mieli, a tak zwane patefony na korbkę albo gramofony do odtwarzania ebonitowych płyt były tylko w salonach zamożnych domów. A pan Rokicki te arie śpiewał.

Mój stary kumpel Antek Rokicki mieszka do dziś w Jędrzejowie i trzeba przyznać, że umiał się urządzać, bo żonę ma przemiłą zresztą panią mecenas, znanego w mieście radcę prawnego.

Drugim moim kolegą, którego znałem odkąd sięgała pamięć, był Jurek Klimczak. Taki „serdeczny druh od lat i od serca”, jak mu kiedyś napisałem w dedykacji na jednej ze swoich książek.

Mówią, że z dobrego domu wychodzą dobrzy ludzie. W przypadku Jurka Klimczaka ta максима w pełni się sprawdziła. Jego tata był głównym młynarzem w młynie „Róż”, czego wiec jak czego, ale mąki w domu państwa Klimczaków nigdy nie brakowało. Mama Jurka znana była z tego, że uwielbiała robić wypieki. Ileż to razy jej synalek ściągał na jej słynnej kruche ciasteczka całą zgraję zawsze łasych na słodczyce kolegów. Jako jeden z pierwszych na całym Podklasztorzu miał własny rower, a potem nawet motocykl marki „Panonia”. Rwał na ten motor co ładniejsze dziewczyny w Jędrzejowie, a rwał, ale też lojalnie przyznać trzeba, że nam kumplom też dawał czasem pojeździć.

Jurek skończył potem wrocławską Akademię Wychowania Fizycznego i wrócił do Jędrzejowa gdzie uczył w szkole i działał równocześnie na tak zwanej niwie społecznej i sportowej. Był taki czas, że rządził nawet całym miastem jako przewodniczący Rady Narodowej, a i sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR też był. Jak by jednak na to nie patrzeć Jędrzejów tamtych lat wiele mu zawdzięcza.

Co jednak w tym wszystkim najważniejsze, to dobra pamięć jaką tu po sobie zostawił. Corocznie bowiem odbywają się Jędrzejowie takie masowe biegi przełajowe nazywane pięknie „Memoriałem imienia Jerzego Klimczaka”. Dobrze, iż ktoś pomyślał, że Jurkowi to się należało.

Lucek Pawlik, to był chłopak, którego u nas na Podklasztorzu prawie wszyscy lubili. Miał coś w sobie takiego sympatycznego od losu, albo od stwórcy jak woła inni, dość, że wszędzie był mile widziany.

Lucek przyjechał do Jędrzejowa jakoś zaraz po wojnie z pobliskich Motkowic gdzie jego ojciec w czasach okupacji niemieckiej był policjantem. Pełnił tam tę funkcję z rozkazu dowództwa Armii Krajowej, bowiem podziemie chciało po prostu mieć swojego człowieka w granatowej, pracującej dla Niemców, policji.

Pan Pawlik swój akowski rozkaz wykonał do końca, za co potem ubowcy kilka razy zamykali go do więzienia. Luckowi też z tą ojcowską przeszłością nie było łatwo. Dla zetempowców w gimnazjum zawsze był taki ideologicznie trefny. Niby kolegowali z nim, jak to chłopaki z chłopakami, ale dystans polityczny był.

Jasiek Zając mówi, iż przed maturą informował Lutka, że się nim interesują, (wiadomo kto), że przychodzą do szkoły i rozpytują. Może by wiec lepiej było, gdyby złożył papiery na Politechnikę Gliwicką, bo tam kadra z dawnego Lwowa dużo mniej ideologiczna niż w innych miastach?

I Lutek Pawlik tak zrobił, podobnie zresztą jak Staszek Kowalczyk, też wtedy wróg klasowy, bo syn tak zwanego „kułaka” ze wsi Imielnica.

Obaj potem skończyli studia i zostali inżynierami górniczymi. Wybrali zawód najtrudniejszy z trudnych, bo niebezpieczny i pod ziemią, ale Lucek jak pamiętam zawsze był taki charakterny, uczciwy, zasadniczy i pryncypialny. Widać to w nim było już w czasach młodości, kiedy musiał pomagać swojemu dziadkowi, panu Kulaskowi w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Ojca wciąż mu przecież zamykali w ubeckich aresztach, więc to dziadka gospodarstwo stanowiło podstawę egzystencjalną całej ich rodziny.

Zdarzyło się kiedyś, że Lucek ze swoim dziadkiem prowadzili krowę do byka. W gospodarstwie rolniczym to rzecz normalna. Miał z tego być cielak na wiosnę, a może dwa i mleko codziennie dla całej rodziny. Szli więc z tą krową w stronę Sudołu i zaraz za mostem kolejowym, dziadek Kulasek wstąpił do sklepu pana Majchrzaka w tak zwanym „Domu Parafialnym” kupić sobie papierosy. Na ten czas kazał Luckowi przytrzymać krowę.

Stoi Lutek z tą krową, a tu idzie ojciec Gerard od Cystersów..

- Gdzie ty chłopcze idziesz z tą krową – pyta.
  - Do byka – odpowiada Lucek.
  - Do byka? To nie może tego zrobić ojciec albo dziadek?
  - Nie proszę księdza – odpowiada Lutek. To musi byk.
- Cały „Kacka”, jak bym go dziś słyszał.

\* \* \*

Wspomnienia tę głównie mają zaletę, że pozwalają z oddali niejako spojrzeć na miniony czas, ludzi i zdarzenia.

Jakoś wiosną 2000 roku gdy za książkę pt. „W cieniu złych drzew”, traktującej w sporej części o Jędrzejowie, otrzymałem Literacką Nagrodę „Solidarności” to na jej promocje do Teatru im. Mickiewicza w Częstochowie przyjechały całe władze ówczesnego Jędrzejowa z Burmistrzem i Przewodniczącą Rady Miasta, panią doktor Teresą Szwach. Honor to był dla mnie ogromny. A ponieważ piszemy tu o przyjaźniach tych współczesnych również, przeto o pani doktor Szwach też słów kilka.

Niedawno zgadaliśmy się na jej temat z Jankiem Hatysem. On pamięta jeszcze z liceum ciemnooką Teresę Chowaniec. Otrzymał wtedy polecenie od Zarządu Szkolnego ZMP, że mam wziąć pod opiekę ideologiczną którąś z najmłodszych klas liceum. Chodziło o to, żeby ich poinformować o nowych zadaniach socjalistycznej szkoły, że zdobywamy wiedzę dla dobra naszej ludowej ojczyzny i że jesteśmy młodą gwardią proletariackich mas, która jutro rządzić będzie Polską.

Mnie przypadła wtedy ósma klasa, do której chodziła właśnie Teresa Chowaniec. Znałem już wcześniej jej brata i siostry Barbarę i Ewę. Obydwie pracują do dziś w służbie zdrowia. Barbara jako farmaceutka, Ewa zaś lekarzem reumatologiem.

Teresa zdała maturę w 1954 roku, a potem ukończyła studia medyczne w Gdańsku. Wszystko w terminie i zgodnie z planem. Zaraz potem wróciła do swojego Jędrzejowa, już jako Teresa Szwach, na podyplomowy staż lekarski w Szpitalu Powiatowym. Nie przypuszczała jeszcze wtedy, że za kilka lat będzie dyrektorem tej placówki.

Największą aktywnością społeczną i polityczną wykazała się Teresa w trakcie tak zwanej transformacji ustrojowej w latach 1998 – 99, co wymagało wtedy nie lada odwagi. Nikt przecież nie wiedział, jak to się wszystko skończy. Została wtedy wybrana na Przewodniczącą Miejskiej Rady Narodowej w Jędrzejowie.

Dzisiaj jest na emeryturze, ale nadal pozostaje praktykującym lekarzem. Jej syn Piotr, też lekarz, już trzykrotnie uczynił ją babcią, więc teraz wnuki to jej świat.

Dla doktor Szwach najważniejszy w kategoriach zawodowych jest fakt, że już od kilku lat w plebiscycie pacjentów na najbardziej życzliwego i kompetentnego lekarza permanentnie uzyskuje w Jędrzejowie I –sze miejsce i 4-te lub 5-te w całym województwie.

I dodam tu już na koniec, i nie bez dumy, że właśnie z rąk pani doktor Teresy Szwach, wtedy Przewodniczącej Miejskiej Rady Narodowej, otrzymałem bardzo dla mnie ważną, Statuetkę Jędrzejowianina 2000 roku.

Takie wyróżnienie to przecież wielki honor dla każdego jędrzejowianina. A ja za takiego wiążę się uważam.

\* \* \*

Janek Zając, co zrozumiałe, wszystkich swoich przyjaciół i najbliższych kolegów upatruje w ZMP- wskim aktywie tamtych lat.

- Bo szczególnie ci, którzy podobnie jak ja pochodzili ze wsi, byli mi wtedy ostoją i oparciem - mówi. Wszystko mnie przecież z nimi łączyło. Podobnie żeśmy myśleli, podobny mieliśmy stosunek do pracy i obowiązków. Nam przecież nic nie przychodziło łatwo. Zналиśmy dobrze wiejską biedę, głodne przednówki i służbę u bogaczy za psie przeważnie pieniądze. I te ciągle poniżające określenia, wsioki, wsioki. Więc jeżeli my tego nie zmienimy to kto? - pytaliśmy samych siebie. Tych którzy myśleli podobnie pamiętam do dziś.

Staszek Cieślik. Chodził do tej samej co ja podstawówki w Imielnie. Potem w Jędrzejowskim Liceum pełnił funkcję przewodniczącego Zarządu Szkolnego ZMP i był już wtedy ideologicznie bardzo wyrobiony. Namówił mnie i razem

wstąpiliśmy do Partii. Było to wtedy ewenementem na skale krajową, bowiem tylko w naszym liceum działała wtedy POP, czyli Podstawowa Organizacja Partyjna. I co najciekawsze, nie było w niej nikogo z grona profesorskiego. Staszek Cieślik ukończył potem w Moskwie studia metalurgiczne, ale w swoim zawodzie nie pracował nigdy. Poświęcił się całkowicie działalności politycznej. Był między innymi I-szym sekretarzem KW PZPR w Legnicy i członkiem KC Partii.

Edek Kwiecień był synem sołtysa w moim rodzinnym Jakubowie. Polityką właściwie nigdy się nie interesował, a mimo to zawsze był mi kimś bliskim

Widziałem się z nim niedawno, bo w 2010 roku w Warszawie, gdzie spokojnie żyje sobie na emeryturze.

W czasach licealnych mieszkaliśmy razem na jednej stacji w Jędrzejowie. Nasza przyjaźń datuje się jeszcze z lat chłopięcych. Opowiadałem już w tej książce jakim byłem wtedy jakaś. Słowa jednego nie potrafiłem wypowiedzieć normalnie. I ten Edek któregoś dnia zaczął się z tego mojego jkania naśmiewać. Jak ja wtedy do niego dopadłem, jak go rąbnąłem o ziemię. Tłukliśmy się ile weszło, ale on oberwał więcej, bo śliwa mu czerwona wyrosła na nosie. Muszę tu jednak powiedzieć, że Edek potrafił zachowywać się honorowo. Wtedy też podniósł się z ziemi. wytarł nos i wyciągając rękę powiedział: przepraszam. To właśnie od tamtej bijatyki zaczęło się nasze kumpelstwo i trwa niezmiennie do dziś.

Edek po ukończeniu Politechniki Wrocławskiej pracował najpierw w Zakładach Świerczewskiego w Warszawie, gdzie opracował kilka patentów technicznych do dziś stanowiących tajemnice wojskową. Potem, aż do emerytury był dyrektorem technicznym w fabryce telewizorów kolorowych w Piasecznie.

Józek Góra. Gdy ja zdawałem maturę to on właśnie został wybrany na moje miejsce Przewodniczącego Zarządu Szkolnego ZMP. Był uczniem niezwykle zdolnym, prymusem całej szkoły. Ukończył potem „chemię spożywcza” na Politechnice Łódzkiej. W tej dziedzinie uzyskał stopień profesora, był potem dziekanem na wydziale swojej specjalizacji, a także pełnił przez jakiś czas funkcję rektora Politechniki.

Tadeusz Krzeszowski. Też chluba jędrzejowskiego liceum. Jak pamiętam nie angażował się prawie wcale w działalność polityczną czy społeczną w naszej szkole. Ale uczył się świetnie. Szczególnie w naukach humanistycznych imponował nam wiedzą i odczytaniem. Nie dziwota więc, że po maturze ukończył Filologię Polską na KUL-u w Lublinie i jak niewielu absolwentów naszego liceum wrócił potem do Jędrzejowa, gdzie uczył języka polskiego. Pamiętam też, że dwukrotnie recenzował twórczość innego naszego sławnego krajana, Andrzeja Kalinina na promocjach jego książek w jędrzejowskim Domu Kultury.

Ideologicznie i politycznie bardzo był mi bliski Henryk Majecki. Chodziliśmy do tej samej szkoły, siedzieliśmy w jednej ławce, razem też działaliśmy w ZMP. Henio był jędrzejowianinem z ulicy Barbary. Uczył się świetnie. Jako „przodownik nauki i pracy społecznej, został skierowany na studia do Związku Radzieckiego, gdzie w Kazaniu ukończył wydział historyczno filozoficzny. Do końca życia pracował jako dyrektor Archiwum Wojewódzkiego w Białymstoku tam także wykładał na jednej z wyższych uczelni tego miasta. Zmarł w roku 2008.

Władek Kulis, obecnie adwokat w Gdańsku. W naszym liceum był aktywistą najpierw w harcerstwie potem w ZMP. Ukończył prawo na Uniwersytecie warszawskim. Z Władkiem łączyła się wtedy w Jędrzejowie taka bardzo romantyczna historia miłosna z kiepskim niestety zakończeniem. Otóż Władek zakochany był i chyba z wzajemnością w rzeczywistości prześlicznej Lilce Baranównie. To była taka znana wszystkim szkolna para. Nauczyciele patrzyli na nich z pobłażaniem, a brać licealna trochę z zazdrością. Bo spotkać taką miłość, kto by nie chciał? Lilka wyjechała potem na studia do Krakowa i tam poznała jednego z braci słynnego rodu Czumów. Zakochała się i wyszła za niego za mąż, ale życie nie było dla niej łaskawe. Zmarła wiele lat temu na nieuleczalna wtedy chorobę.

Taką niezwykle barwną postacią w ówczesnym Jędrzejowie był bez wątpienia Janusz Wieliński. Był bardzo żywym chłopakiem. Grał w piłkę w „Naprzodzie”, szalał na prywatkach, wszędzie go było pełno. Ukończył potem Liceum Pedagogiczne, zdał egzamin wstępny na Uniwersytet Warszawski ale studiów nie skończył. Po powrocie do Jędrzejowa ożenił się z Cyganką. I to była sensacja na całe miasto. Chłopak z takiego dobrego rodu Wielińskich i Cyganka? Nie, jak świat światem czegoś takiego jeszcze w Jędrzejowie nie było. A oni się w sobie po prostu zakochali. Żona Janusza była nie tylko piękną, ale mądrą i bardzo wartościową dziewczyną. Mimo wysiłków nie potrafiła jednak Januszowi pomóc. Cały więc wysiłek włożyła w wychowanie trójki ich synów.

\* \* \*

Zbyszek Ciałowicz ze wszystkich swoich kolegów z tamtych lat zapamiętał najbardziej Zdzicha Adamskiego, z którym zresztą przyjaźni się do dziś. Dzidek w tamtych licealnych latach był dla naszych zetempowców takim wręcz pokazowym wrogiem klasowym. Jego ojciec był ponieważ tak zwanym prywaciarzem. Bardzo nielubianym przez władzę w tamtych czasach, bowiem wszystko wtedy w Polsce musiało być państwowe, albo co najmniej uspołecznione, a on uparcie utrzymywał wciąż swój prywatny młyn we wsi Wrona niedaleko Oksy.

Dzidek zresztą poszedł w jego ślady. Po maturze też zabrał się za młynarstwo i do dziś utrzymuje młyn, tyle, że teraz już elektryczny.

Stasiu Kasperek. Inżynier geodeta po Akademii Górniczo – Hutniczej w Krakowie, człowiek dla Jędrzejowa bardzo zasłużony i mój kolega od czasów szkolnych i wspólnego kopania piłki w „Naprzodzie”. Razem w naszym liceum zdawaliśmy maturę i razem potem mieszkaliśmy na stacji u pani Trojan w Krakowie. Ja zostałem bowiem studentem Politechniki Krakowskiej a on AGH. Na tej stacji to było tyle pcheł, że żyć się nie dało. Ciągłe gdzieś nas gryzły: w domu, na wykładach, na ulicy. Aż powiedzieliśmy dosyć i cały nasz pokój posypaliśmy proszkiem DDT, takim amerykańskim specyfikiem na wszelkie robactwo. Staszek od razu dostał jakiejś alergicznej wysypki, mnie piekły oczy. Bo chyba przesadziliśmy trochę z tym posypywaniem. Wszystko w pokoju mieliśmy białe i w takim amerykańskim zapachu.

Staszek Kasperek po studiach wrócił do domu w Jędrzejowie, był tu potem Naczelnikiem Miasta i Gminy a także Prezesem „Naprzodu”.

O Staszku Palimące należy tu napisać trochę więcej. Była to bowiem, postać piękna i kapłan niezwykle z taką uczciwością polityczną w życiu i byciu, która szczególnie w tamtych minionych już na szczęście czasach, była wręcz wyjątkowa. Uczyliśmy się w tej samej klasie razem zdawaliśmy maturę.

Staszek zamierzał „iść” na weterynarię, lecz kiedy się tam nie dostał wstąpił do seminarium duchownego. Pamiętam dobrze ten dzień, kiedy nagle zjawił się u nas domu w Jędrzejowie w sutannie.

Święcenia kapłańskie otrzymał 11 czerwca 1960 roku w Kielcach. Od pierwszych lat swojej działalności duszpasterskiej zyskał miano znakomitego i patriotycznego kaznodziei. W związku z tym zaczęły się nim interesować odpowiednie służby władzy ludowej. Był, nawet kilka razy, przesłuchiwany na tę okoliczność w Wydziale do Spraw Wyznań. Poinformowano także kielecką Kurię Biskupią, że przeciw księdzu Stanisławowi Palimące wszczęto kilka postępowań karnych z racji jego szkodliwej działalności dla ustroju Państwa Polskiego.

Ale ksiądz Stanisław w niczym nie zmienił swojego postępowania. W dalszym ciągu głosił swoje kazania i brał w obronę krzywdzonych i represjonowanych. Pracował potem w Białogoni koło Kielc, następnie w Kazimierzy Wielkiej i w Proszowicach. W każdym z tych miejsc był sobą, czujny na biedę i niesprawiedliwość społeczną.

W końcu ówczesny biskup kielecki zlecił mu organizację nowej parafii i budowę kościoła w Klimontowie, żeby go czymś konkretnym zająć i odciągnąć od polityki. Wtedy właśnie wybuchł stan wojenny. Ksiądz Stanisław stał się jednym z tych kapłanów, na których opozycja mogła zawsze liczyć. Jeszcze więc bardziej stał się solą w oku ówczesnej władzy. Śledzono go nieustannie i na każdym kroku utrudniano życie.

Aż przyszedł tamten dzień 27 luty 1985 roku. Ksiądz Stanisław zaraz po śniadaniu odwiózł kleryka do punktu katechetycznego i długo potem nie wracał do domu. Zaniepokojona tym siostra księdza, Otylia Kaczmarek, wyszła na podwórze plebanii, gdzie przy garażu znalazła martwego brata. Obok w rozwalonych drzwiach tkwił rozbity jego samochód, Fiat 125. Według oficjalnej wersji niezabezpieczone auto staczając się z wjazdu do garażu najechało na księdza, powodując jego śmierć na miejscu.

Z taką wersją zdarzeń śledztwo szybko umorzono mimo, że sekcja zwłok wykazała złamanie podstawy czaszki, stłuczenie mózgu, rany tłuczone twarzy oraz złamanie ręki i prawego uda. Mimo tych ustaleń władze pozostały przy wersji nieszczęśliwego wypadku.

Pogrzeb tragicznie zmarłego księdza stał się w Klimontowie taką wielką manifestacją religijną i patriotyczną. Wzięło w nim udział ponad 200 księży i setki wiernych z całej okolicy.

Już w wolnej Polsce Sejmowa Komisja Nadzwyczajna pod kierownictwem Jana Marii Rokity, orzekając w sprawie śmierci księdza Palimąki stwierdziła, że okoliczności jego śmierci nasuwają wiele wątpliwości. Nie zabezpieczono żadnych dowodów, nie sprawdzono odcisków palców w samochodzie, nie przesłuchano wszystkich świadków. Okazało się również że w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zniszczono wszystkie dokumenty w tej sprawie.

Prokurator z Prokuratury Generalnej, Aleksander Herzog uznał, że śledztwo było prowadzone nieprawidłowo, tendencyjnie, podobnie jak w sprawach Piotra Bartoszcze, Grzegorza Przemyska czy księdza Sylwestra Zycha.

W dniu 3 maja 1990 roku biskup Jan Gruda poświęcił w Klimontowie tablicę upamiętniającą księdza Palimąkę, podkreślając Jego zasługi w odzyskaniu przez Polskę Niepodległości.

My jednak, koledzy Staszka, najbardziej zapamiętaliśmy go z tamtych naszych młodych lat, a także później, gdy jako już ksiądz lubił nam opowiadać pewną anegdotkę, podobno prawdziwą.

A brzmiała ona tak:

Był jeszcze wtedy alumnem w seminarium duchownym i pierwszy raz w życiu, już w sutannie, jechał na święta Boże Narodzenia do domu. Na przeciw niego w przedziale wagonu kolejowego usiadł jakiś starszy pan o głosie z akcentem bardzo biblijnym. Chwilę dłuższą przyglądał się swojemu współpasażerowie a potem zapytał.

- Przepraszam bardzo. A pan to pewnie jesteś księdzem, tak?
- Jeszcze nie – odpowiedział Staszek – ale za rok, jak Bóg da..
- O, już za rok? To będziesz pan wygrany. Bo taki ksiądz to jest niezły geszeft. I plebanie dają i biskupem później można zostać.
- Wszystko jest w reku Boga – odpowiedział skromnie Staszek.
- A co jest po takim biskupie dalej?
- Co dalej? Dalej to już jest kardynał
- O widzisz pan. Kardynał to jest dopiero posada, co? Pierwsza klasa. I papieżem może później zostać.
- Każdy kardynał może zostać papieżem.
- No, a jakbyś tak pan, nie przymierzając takim papieżem został? No nie uśmiechaj się pan. Załóżmy, że pan zostaniesz papieżem, to co dalej?
- No co dalej? Nic. Panem Bogiem przecież nie zostanę.
- Widzisz pan, widzisz. A jednemu z naszych się udało.

Andrzej Latacz, pseudonim „dziadek”. Kolega z klasy. Był taki mały i drobny, że niektórzy traktowali go jak maskotkę szkoły. W czasie przemarszów harcerskich przez miasto to albo szedł z werblem na przedzie albo na końcu zamykał pochód. Przy tym wszystkim był bardzo lubiany za pogodę ducha i poczucie humoru, na swój temat również. Kiedyś na akademii szkolnej z jakiejś tam okazji po wypowiedzeniu przydzielonych mu tekstów zaśpiewał tak and hoc krakowiaka na swój temat: „a Andrzejek jeden miał dwójeczek siedem”, czym wprawił w entuzjazm całą widownię. Tylko dyrekcja miała mu za złe.

# Zmierzchem o świcie

Zapytano kiedyś pewną stuletnią prawie hrabinę, jakie lata były najlepsze w jej długim życiu?

- No, w czasie Rewolucji Październikowej – odpowiedziała..

- Jak to? Przecież wtedy zrabowano wam cały majątek, a panią z rodziną wywieziono hen na Syberię.

- Tak, zgadza się. Ale miałam wtedy dwadzieścia lat.

No właśnie. Z nami teraz jest podobnie. Młodość przypadła nam przecież w czasach niezwykle trudnych, kiedy próbowano nam zmieniać utrwalony w tradycjach ład i porządek, na zupełnie nowy, rodem od Marksa i Engelsa.

Trudno teraz oceniać postawy ludzi, którzy brali wtedy w tym udział. Dla tych ideowych, jak Janek Zając, Waldek Wiejacz, Heniek Majecki czy im podobnym, nie był to żaden koniunkturalizm. Oni wierzyli święcie we wszystko co robili, zgodnie zresztą z młodzieńczą wrażliwością, która od zawsze przecież na lepsze próbowała zmieniać świat.

My też mieliśmy wtedy po naście lat i pełne głowy marzeń.

I co z tego zostało?

No, choćby owa stara i mądra prawda, że czas upiększa wspomnienia, potrafi także goić rany, niwelować dawne animozje, a nawet pogodzić niegdysiejszych przeciwników ideologicznych. Bo czas to najważniejszy sojusznik życia i każdy jego moment wart jest pamięci. Jak to mówił kiedyś poeta: „chwilo trwaj”.

Tylko że tak trudno jest ten czas zatrzymać. Różne ma przecież zwyczaje w zależności od miejsca, sytuacji i nastroju. Raz biegnie, a raz się wlecze. My stare ramole, to jest autorzy tych wspomnień, wiemy coś na ten temat. Najwięcej owego cennego czasu zabierają nam wszystkie te cholerne poobiednie drzemki, te zasypiania przy telewizorze i te przesiadywania w poczekalniach lekarskich gabinetów. Mimo to, a może dlatego tak nam się wciąż chce gonić życie, żeby jeszcze to i tamto zobaczyć, żeby przechytrzyć starość i kalendarz. Niczego nie chcemy uronić z czasu, jaki został nam dany. Dokumentujemy go, archiwizujemy w zdjęciach fotograficznych, w pamiętnikach. Przeszukujemy strychy i stare archiwa, gromadzimy różne antyki i rupiecie, w których zakłęty jest nasz czas. Bo wszystko to jest nam potrzebne dla identyfikacji lat, w których przyszło nam żyć.

I stąd właśnie zrodził się pomysł na ten nasz pamiętnik, pisany już zmierzchem o naszym świcie.

# Wizytówki



## **Józef, Jerzy Gierczak**

Doktor habilitowany, inżynier architekt.

Profesor nadzwyczajny i pracownik naukowo-dydaktyczny Politechniki Wrocławskiej

Urodzony 30. Lipca 1929 roku w Jędrzejowie

1955 dyplom magisterski wydziału architektury politechniki wrocławskiej

1965 doktorat

1994 doktor habilitowany

1998 profesor nadzwyczajny wydziału architektury politechniki wrocławskiej

1970-1974 dziekan wydziału architektury politechniki wrocławskiej

1974-1981 dyrektor instytutu architektury i urbanistyki tejże politechniki

1972-1977 kierownik zakładu architektury budynków mieszkalnych

1977-1981 kierownik zespołu badawczego architektury mieszkaniowej

od 2001r. - profesor nadzwyczajny w wyższej szkole sztuki i projektowania w Łodzi

1984-1987 Associate Professor University of Mosul Iraq

od 1983r, członek Stowarzyszenia Architektów RP

odznaczenia:

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski

Złoty Krzyż Zasługi

Medal Komisji Edukacji Narodowej

Złota Odznaka Politechniki Wrocławskiej

Złota Odznaka Zasłużony dla Dolnego Śląska

Nagrody II i III stopnia Ministra NSZWiT

publikacje i twórczość:

14 publikacji architektonicznych w tym: książka- monografia „Fenomen auta w przestrzeni”, skrypt dla studentów wydziału architektury [współautor], 17 prac nieopublikowanych

ważniejsze projekty architektoniczne:

Instytut Obróbki Plastycznej w Poznaniu,

Pogotowie Opiekuńcze w Opolu,

pięć szkół podstawowych w województwie opolskim,

Kościół parafialny pod wezwaniem świętego Brata Alberta w Sędziszowie, woj. świętokrzyskie,

12 nagrodzonych lub wyróżnionych konkursów architektonicznych i opracowań porównawczych, w tym współautorskie,

Centrum Zdrowia Dziecka w Międzyzlesiu k. Warszawy,

Dom Technika KGHM w Lubinie, Dom Handlowo-Usługowy we Wrocławiu, oraz kilkadziesiąt opracowań studialnych.



O sobie profesor Józef Gierczak mówi tak:

W październiku 1949 rozpocząłem studia na Wydziale Architektury. Politechniki Wrocławskiej i zostałem wrocławianinem. Tu założyłem rodzinę, tu zbudowałem dom, ale ja ciągle jestem jędrzejowianinem, takim zwyczajnym chłopakiem z Podklasztorza.

Od autorów tej książki dodamy jeszcze, że Józef Gierczak wykształcił ponad stu architektów w tym kilku doktorantów doktorów, którzy pracują teraz w różnych miejscach na świecie sławiąc polską naukę.

## Jan Zając



Magister prawa, Sędzia Sądu Wojewódzkiego w stanie spoczynku.

1960 -1966 Prokurator Powiatowy w Kazimierzy Wielkiej.

1966 -1975 Kierownik Wydziału administracyjnego KW PPZR w Kielcach

1975 -1977 Kierownik Wydziału Organizacyjnego i członek sekretariatu KW w Kielcach

1977-1990 Prezes Sądu Wojewódzkiego w Kielcach

1990-1998 Wizytator d/s penitencjarnych SW

1985 -1990 Sędzia Trybunału Stanu Rzeczypospolitej Polskiej

funkcje społeczne:

1966-1988 Radny Wojewódzkiej Rady Narodowej

1977-1990 członek Głównej Komisji Badania Zbrodni hitlerowskich w Polsce

1982-1989 Przewodniczący Wojewódzkiego Zarządu Zrzeszenia Prawników Polskich

1975-1990 Przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa

odznaczenia:

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski

Krzyż Kawalerski Orderu odrodzenia Polski

Złoty Krzyż Zasługi RP

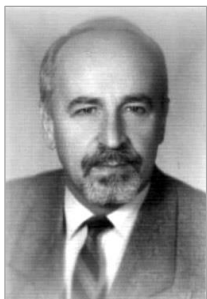
Odnaczenie: „Bene Merentibus Iustitiae” nadane przez Krajową Radę Sądownictwa - Justitiae w roku 2008

Odnaczenie: Zasłużony dla Wymiaru Sprawiedliwości (tytuł Honorowy nadany przez Radę Państwa RP

Państwowy (nadane przez prezesa Rady Ministrów)

Złota Honorowa Odznaka Zasłużony dla Kielecczyzny, oraz ponad 20- cia innych medali odznaczeń.





### Zbigniew Ciałowicz

Inżynier budownictwa, doktor nauk technicznych

1954-1960 Studia na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Krakowskiej,  
dyplom magistra inżyniera.

1960-1957 Dyrektor Pińczowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego

1964-1968 Studia zaoczne na Akademii Górniczo hutniczej w Krakowie, dyplom inżyniera górnika

1967-1969 Dyrektor Ostrowieckiego Przedsiębiorstwa Bud. Przemysłowego

1969-1977 Dyrektor Kieleckiego Kombinatów Budownictwa Mieszkaniowego

1973-1975 Doktorat Nauk Technicznych

1976-1982 Dyrektor Kieleckiego Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego

1982-1986 Kierownik Biura Techniczno Handlowego „EXBUD” w Budapeszcie

1986-1992. Dyrektor Kieleckiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego

1992-2004 Dyrektor Przedsiębiorstwa „BRTOCHEM” w Kielcach



Reprezentacja Szkoły Ćwiczeń.  
Z piłką i w rogatywce jej kapitan Zbyszek Ciałowicz  
A od lewej: :Zdzisaw Smerdziński, Jan Kitliński, Janusz Cukier,  
a dalej Stanisław Tutaj, Zbigniew Misztal  
w rzedzie dolnym: Jan Latos, Zdzisław Wachowicz, Olek Ciekalski,  
Stefan Sito, Mieczysław Kopczyński

Krajowy rzeczoznawca ds. konstrukcji budowlanych w zakresie projektowania i realizacji  
odznaczenia, wyróżnienia i medale:

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski – 1974

Złoty Krzyż Zasługi – 1970

Srebrny Krzyż Zasługi -1964

Złota Odznaka im Janka Krasickiego - 1974

Odnaka Za Zasługi dla Kielecczyny - 1969

Złota Odznaka Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa - 1969

Złota Odznaka Centralnego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych - 1972

Złota Odznaka Zasłużony dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych

Zasłużony dla Miasta i Gminy Jędrzejów – 1989

Należy tutaj dodać jeszcze kilka informacji o których Zbyszek Ciałowicz nie chce za bardzo mówić. O tym mianowicie, że w młodości był takim wzorcem dla wielu kolegów z ówczesnej naszej piłkarskiej braci. Bo nie tylko sport była dla niego ważny. Ukończył aż dwie wyższe uczelnie: Politechnikę Krakowską a potem Akademię Górniczo Hutniczą nie korzystając przy tym z żadnych sportowych: ani innych tego typu ulg. Zrobił potem doktorat, a jako naczelny dyrektor kilku Kombinatów Budowlanych w województwie świętokrzyskim i nie tylko, pozostawił po sobie sporo wspaniałych pomników w postaci choćby wielu osiedli mieszkaniowych ze szkołami, kinami, żłobkami i obiektami sportowymi.

Opracował nadto i opatentował kilka unikatowych zupełnie projektów z zakresu budownictwa i jego konstrukcji. Realizowano je potem na wielu budowach w kraju i zagranicą, na Węgrzech na przykład. Rzecz by więc można, że wszystkie one noszą markę; made in Zbigniew Ciałowicz. A zaczęło się wszystko jak na tej fotografii

## Jan Hatys

Studia ukończył z tytułem magistra historii i filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. Zaraz potem skierowany do Pracy w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Kielcach, gdzie pełnił funkcję szafa archiwum.

Podjął też pracę wykładowcy historii i filozofii w Studium Nauczycielskim w Kieleckim.

W roku 1960 zorganizował Instytutu Nauk Społecznych przy ówczesnej Wyższej Szkole Inżynierskiej w Kielcach (dziś Politechnice Świętokrzyskiej) gdzie przez szereg lat pełnił funkcję kierownika.

Od lat 70 tych do emerytury, nauczyciel akademicki w kieleckiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, a potem Uniwersytecie Świętokrzyskim.

odznaczenia:

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenie Polski

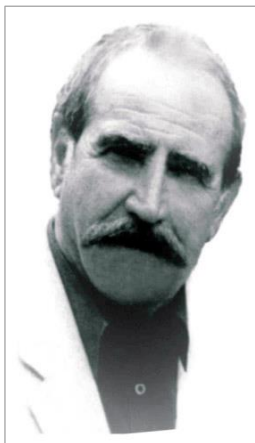
Srebrny Krzyż Zasługi.

Złota odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego

Złota odznaka: Zasłużony dla Ziemi Kieleckiej

Złota odznaka Towarzystwa Wiedzy Powszechnej

Złota Odznaka SAiW (Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli)



### **Andrzej Kalinin**

pisarz, publicysta, członek PEN Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich,

uhonorowany orderem **Gloria Artis** (Zasłużony dla Kultury Polskiej)

współpraca z paryską „Kulturą”, Nowojorskim Dziennikiem Polskim i innymi czasopismami w kraju i zagranicą

laureat nagród literackich:

**Czesława Miłosza** za książkę „...i Bóg o nas zapomniał” (potem w lekturach szkolnych)

**Solidarności** za książkę „W cieniu złych drzew” (przetłumaczona na język angielski)

**Karola Miarki** za całokształt twórczości.

odznaczenia:

Złoty Krzyż Zasługi

Złoty Krzyż Sybiraków

Złota Honorowa Odznaka Zasłużony dla Województwa Śląskiego (razem z Kazimierzem Kutzem i Wojciechem Kilarem)

książki:

...i Bóg o nas zapomniał - 1993

Las wokół - 1995

Za progiem dnia - 1996

W cieniu złych drzew - 2000

A życie jak rzeka - 2003

Ze sztambucha starego komucha - 2009

Opowieści o świcie i zmierzchu: rzecz o dawnym Jędrzejowie (i nie tylko) - 2011

*Koniec książki "Opowieści o świcie i zmierzchu..."*



**ISBN 978-83-63052-05-8**